

WORLD WARCRAFT

KRAĆ NIENAWIŚCI



KEITH R. A. DECANDIDO

KEITH R.A. DECANDIDO



Krąg
Nienawiści

(Cycle of hatred)

Przełożył: Michał Studniarek



2006

Spis treści

Karta tytułowa

A potem...

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

NOTA HISTORYKA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

EPILOG

A POTEŁ, JAKKOLWIEK BARDZO SIĘ ZA TO NIENAWIDZIŁ, BYROK UCIEKŁ.

Było to dla niego trudne nie tylko dlatego, że wciąż tkwiący w udzie sztylet spowalniał jego bieg. Ucieczka z pola bitwy była hańbą, lecz Byrok wiedział, że ma do wykonania znacznie ważniejsze zadanie - Płonące Ostrze wróciło, tylko tym razem w ludzkiej postaci. Wszyscy jego przeciwnicy, nie tylko ci dwaj, których zauważył wcześniej, nosili ów symbol: jako naszyjnik, tatuaż lub cokolwiek innego.

I tę właśnie wieść musiał zanieść Thrallowi.

Dlatego Byrok biegł.

A potem się potknął. Lewa noga nie chciała się unieść tak, jak powinna, zaś prawa wciąż była w ruchu i tak doszło do upadku. Piach i źdźbła wysokiej trawy dostały mu się do nosa, ust i oka.

Muszę... wstać...

– Nigdzie nie pójdziesz, potworze. - Usłyszał przez tupot ludzkich stóp Byrok, a potem poczuł ucisk, kiedy dwóch ludzi usiadło mu na plecach, skutecznie go unieruchamiając. - Ponieważ tak się składa, że nadszedł twój kres. Orki nie należą do tego świata, więc cię z niego usuniemy. Pojmujesz?

Byrok zmusił się do uniesienia głowy tak, by zobaczyć dwóch ludzi. Splunął na nich.

Roześmieli się.

– Do roboty, chłopcy. *Galtak Ered'nash!*

– *Galtak Ered'nash!* – odpowiedzieli wszyscy pięcioro i zaczęli bić orka.

*GraceAnne Andreassi DeCandido,
Heldze Borck, Ursuli K. Le Guin,
Constance Hassett, Joanne Dobson
i innym kobietom, które nauczyły mnie tak wiele.*

PODZIĘKOWANIA

Po pierwsze, pragnę podziękować Chrisowi Metzenowi z Blizzard Games, którego wpływu na wszystko, co wiąże się z „Warcraftem”, nie można zbagatelizować. Nasze rozmowy telefoniczne i korespondencja mailowa były niezwykle owocne i pełne zadziwiająco twórczej energii.

Po drugie, dziękuję Marco Palmieriemu, mojemu redaktorowi w wydawnictwie Pocket Books, i jego szefowi Scottowi Shannonowi - obaj uznali, że napisanie tej książki jest świetnym pomysłem; oraz mojej wspaniałej agentce Lucienne Diver.

Po trzecie, dziękuję innym autorom powieści ze świata „Warcrafta”, Richardowi Knaakowi, Jeffowi Grubbowi i Christie Golden. W szczególności „Ostatni strażnik” Jeffa i „Władca klanów” Christie bardzo mi pomogły, dzięki charakterystykom odpowiednio Aegwynn i Thralla.

Jestem również wdzięczny „the Malibu Gang”, „the Elitist Bastards”, „Novelscribes”, „Inkwell” i wszystkim innym listom dyskusyjnym, które pomagają mi zachować rozum poprzez doprowadzanie mnie do szaleństwa; CITH i CGAG; ludziom w Palombo, którzy mnie tolerują; *Kyoshi* Paulowi i innym dobrym ludziom w dojo; i jak zawsze, wszystkim, którzy ze mną mieszkają, ludziom i kotom, za wyrozumiałość i ciągłe wsparcie.

NOTA HISTORYKA

Powieść ta dzieje się rok przed „World of Warcraft”, a trzy lata po inwazji Płonącego Legionu i pokonaniu go przez połączone siły orków, ludzi i nocnych elfów („Warcraft 3: Reign of Chaos” i „Warcraft 3: The Frozen Throne”).

JEDEN



Erik właśnie ścierał piwo z czaszki demona zawieszanej nad barem, gdy do środka wszedł obcy. Do gospody i tawerny *Zguba demonów* rzadko przychodzili nieznajomi. Nieczęsto zdarzały się dni, by Erik nie rozpoznawał twarzy klienta. Choć nie znał ich imion - twarze rozpoznawał, ponieważ widywał je bardzo często. Erika nie obchodziło jednak, kto przychodził do jego tawerny, jeśli tylko miał pieniądze i był spragniony.

Siedzący przy stole obcy wyglądał, jakby na kogoś czekał albo czegoś szukał. Nie patrzył na ciemne drewniane ściany - zresztą i tak nie było ich prawie widać, gdyż *Zguba demonów* nie miała okien, a oświetlało ją zaledwie kilka pochodni - ani na niewielkie, okrągłe stoły i zydle. Erik nigdy nie próbował ustawiać stołów w jakimś szczególnym układzie, ponieważ goście i tak przestawiali je tak, jak im pasowało.

Po minucie obcy podniósł się i podszedł do baru.

– Czekam na obsługę.

– Tu jej nie ma - odparł Erik.

Nigdy nie widział powodu, by marnować pieniądze na obsługę. Jeśli ktoś chciał się napić, mógł podejść do baru. Jeśli był zbyt pijany, by to

zrobić, to i tak nie powinien więcej pić, gdyż pijani byli skłonni do wszczynania bójek. Erik prowadził spokojną tawernę.

Obcy rzucił srebrną monetę na bar i spytał:

– Jaki masz najdroższy trunek?

– Dziczy grog z północy. Robią go orki, fermentują w...

Obcy skrzywił się.

– Nie... żadnych orczych trunków.

Erik wzruszył ramionami. Ludzie miewali dziwne gusta, jeśli chodziło o trunki. Widział już, jak miejscowi spierają się o wyższość piwa nad whisky z większą zaciekłością niż w sprawach polityki czy religii. Jeśli ów osobnik nie lubił orczych trunków, Erikowi nic do tego.

– Mam kukurydzianą whisky... świeża partia, z tamtego miesiąca.

– Kupuję.

Obcy uderzył pięścią w drewniany bar, poruszając skorupkami orzechów, pestkami i innymi śmieciami, które się na nim zgromadziły. Erik sprzątał bar mniej więcej raz do roku - w przeciwieństwie do czaszki demona, nikt właściwie nie mógł zobaczyć baru, a on nie widział powodu, by myć coś, czego nie widać.

Jeden ze stałych klientów, żołnierz, który zawsze pił grog, odwrócił się do obcego.

– Możesz mi powiedzieć, co masz przeciwko orczej gorzale?

Obcy wzruszył ramionami, zaś Erik zdjął z półki butelkę kukurydzianej whisky i nalał nieco do w miarę czystego kubka.

– Nie mam nic przeciwko orczym trunkom, szlachetny panie... to o same orki mi chodzi. - Nieznajomy wyciągnął rękę. - Nazywam się Margoz. Z zawodu jestem rybakiem i muszę rzec, że nie jestem zadowolony z tego, jak w tym sezonie napełniają mi się sieci.

– To znaczy, że wcale nie jesteś dobrym rybakiem - odparł żołnierz, nie trując się, by uściśnąć rękę rozmówcy lub się przedstawić.

Margoz się zorientował, że żołnierz nie jest w przyjaznym nastroju, więc opuścił dłoń i ujął w nią kubek z whisky.

– Jestem dobrym rybakiem, szlachetny panie... łowiłem w Kul Tiras, nim okoliczności zmusiły mnie do przeniesienia się tutaj.

Naprzeciw Margoza siedział kupiec, który parsknął swoim ale.

– Okoliczności, jasne. Zapisaleś się, by walczyć z Płonącym Legionem, prawda?

Margoz pokiwał głową.

– Jak wielu innych. Usiłowałem ułożyć sobie życie w Theramore... ale jak to możliwe, skoro ci przekłęci Zielonoskórzy zabierają najlepsze łowiska dla siebie?

Erik przyłapał się na tym, że kiwa głową przysłuchując się pierwszej połowie wypowiedzi Margoza. Sam przybył do Theramore po pokonaniu Płonącego Legionu... nie po to, by walczyć, gdyż walka skończyła się, zanim jeszcze wyruszył, ale by przejąć swoje dziedzictwo. Brat Erika, Olaf, zginął walcząc z Legionem, pozostawiwszy dość grosza, by Erik mógł otworzyć karczmę, którą jego brat pragnął wybudować po zakończeniu służby. Oprócz pieniędzy Erik odziedziczył też czaszkę demona, którego Olaf pokonał. Erik nigdy nie palił się specjalnie do otwierania karczmy, ale nie palił się też do wielu innych rzeczy, otworzył więc *Zgubę demonów*, by uczcić pamięć swego brata. Jak słusznie się spodziewał, ludzcy mieszkańcy Theramore ciągnęli do miejsca, którego nazwa symbolizowała wygnanie demonów, co doprowadziło do powstania miasta-państwa.

– Nie zgadzam się - powiedział żołnierz. - Walczyłeś na wojnie, rybaku... wiesz, co orki dla nas zrobiły.

– Nie obchodzi mnie to, co zrobiły, szlachetny panie - odparł Margoz - ale raczej to, co teraz z nami robią.

– Wzięły wszystko, co najlepsze - odparł kapitan łodzi, siedzący przy jednym ze stołów znajdujących się za żołnierzem. - Wokół Ratchet gobliny zawsze faworyzują orki przy naprawach albo wynajmowaniu magazynów. W zeszłym miesiącu musiałem czekać pół dnia, nim pozwoliły mi rozładować mojego skifa, lecz kiedy dwie godziny potem zjawiała się jakaś orcza łódź, dostała miejsce od razu.

– No to poszukaj sobie innego miejsca niż Ratchet. - Żołnierz odwrócił się w jego stronę.

– To nie zawsze jest najlepsze rozwiązanie - parsknął kapitan.

– I żeby jeszcze potrzebowali częstszych napraw - wtrącił człowiek siedzący obok kapitana. Erik uznał, że to musi być jego pierwszy oficer, ponieważ był podobnie ubrany. - Mają dęby w górach nad Orgrimmarem, robią z nich swoje statki. A my co? Tylko słaba sosna. Pilnują tej swojej dębiny, trzymają całe dobre drewno, a nasze, zbudowane z tego śmiecia, łodzie przeciekają.

Kilka głosów mruknęło zgodnie.

– Zatem wszyscy wolelibyście, aby orków tu nie było?! - Żołnierz uderzył pięścią w bar. - Bez nich bylibyśmy tylko żarciem dla demonów, i to jest fakt.

– Nie sądzę, by ktokolwiek temu przeczył. - Margoz pociągnął whisky ze swego kubka. - Mimo to wydaje się, że jest pewien brak równowagi w dostępie do surowców.

– Wiesz, że orki były kiedyś niewolnikami - powiedział ktoś, lecz Erik ze swego miejsca nie mógł zobaczyć kto. - Niewolnikami ludzi, a także, jeśli się nad tym zastanowić, Płonącego Legionu. Nie można ich obwiniać o to, że teraz chcą wziąć wszystko, czego zapragną.

– Można, jeśli zabierają to nam - powiedział z naciskiem kapitan. Kupiec pokiwał głową.

– Wiesz, one nie są stąd. Przybyły z innego świata, sprowadzone przez Płonący Legion.

– Może powinny wrócić, skąd przysły - mruknął pierwszy oficer.

– Zastanawiam się, co sobie myślała lady Proudmoore - powiedział Margoz.

Erik zmarszczył czoło. Kiedy padły te słowa, w karczmie nagle zrobiło się bardzo cicho. Wcześniej wiele osób mrucało coś, zgadzając się lub nie z innymi rozmówcami.

Lecz kiedy tylko Margoz wypowiedział nazwisko Jainy Proudmoore - i co gorsza, wypowiedział je w dość uwłaczający sposób - nagle zrobiło się cicho.

Za cicho. Przez trzy lata prowadzenia tawerny Erik nauczył się, że są dwie chwile, kiedy należy się spodziewać bijatyki: kiedy jest za głośno lub kiedy jest za cicho. W tym drugim przypadku zaczynały się naprawdę paskudne rozróby.

Wstał drugi żołnierz, siedzący obok pierwszego. Był szerszy w barach od swego kolegi i nie mówił za wiele, a jeśli już, to jego dudniący głos sprawiał, że czaszka demona drżała na swoich hakach.

– Nikt nie będzie mówił źle o lady Proudmoore, chyba że chce żyć bez zębów.

Margoz głośno przełknął ślinę i odparł szybko:

– Nigdy nie wyrażałem się o naszej przywódczyni inaczej, niż z należytych szacunkiem, szlachetny panie, daję na to słowo. - Łyknął więcej kukurydzianej whisky, niż to było rozsądne za jednym razem, przez co oczy niemal wyszły mu na wierzch. Kilka razy potrząsnął głową.

– Lady Proudmoore była dla nas bardzo dobra - powiedział kupiec. - Po tym, jak odegnaliśmy Płonący Legion sprawiła, że staliśmy się społecznością. Twoje narzekania są słuszne, Margozie, lecz żadna z tych spraw nie jest winą lady. Spotkałem już wcześniej kilku magów i większość była warta mniej niż pył z moich sandałów. Lecz lady jest dobra i nie znajdziesz tutaj nikogo, kto by mówił o niej źle.

– Nigdy nie zamierzałem jej uwłaczać, szlachetny panie - odparł rybak, nadal trzęsąc się nieco po przełknięciu zbyt dużej porcji whisky. - Lecz należy się zastanowić, dlaczego nie zawarto żadnych umów handlowych, by nabyć to wspaniałe drewno, o którym wspominali ci szlachetni panowie. - Pomyślał przez chwilę. - Być może próbowała, lecz orki nie pozwoliły.

Kapitan łyknął swego ale, po czym odparł:

– Być może orki powiedziały jej, by opuściła Northwatch.

– Powinniśmy opuścić Northwatch - powiedział kupiec. - Ziemie Jałowe to terytorium neutralne, tak było od początku.

Żołnierz zeszywniał.

– Jeśli sądzisz, że je zostawimy, to jesteś szalony.

– To tam orki walczyły z admirałem Proudmoorem - wtrącił Margoz.

– Tak, to zawstydzające. Lady Proudmoore jest tak dobrą przywódczynią, jak wielkim durniem był jej ojciec. - Kupiec pokręcił głową. - Powinniśmy cały ten przypadek puścić w niepamięć, lecz nie będzie tak, dopóki...

– Moim zdaniem powinniśmy sięgnąć dalej, poza Northwatch - wtrącił kapitan.

– Oszalałeś?! - spytał kupiec, najwyraźniej zirytowany, choć Erik nie wiedział czym, wtrąceniem czy pomysłem, i nie obchodziło go to.

– A ty?! Orki nas wypierają! Są na całym pięknym kontynencie, a my mamy tylko Theramore. Trzy lata mijają od chwili, kiedy Płonący Legion

został pokonany. Czyż nie zasługujemy na coś więcej, niż bycie na własnej ziemi tylko niższą klasą... której przyznano jedynie kloakę miasta-państwa?

– Theramore to najpiękniejsze miasto na ziemiach ludzi. - Żołnierz wypowiedział te słowa z dumą, tylko po to, by ciągnąć dalej bardziej zrezygnowanym tonem. - Lecz to prawda, że orki mają więcej ziemi. Dlatego tak ważne jest Northwatch, pozwoli nam ustanowić obronę poza murami Theramore.

– Poza tym, - zaśmiał się do swego kubka pierwszy oficer - orki nas nie lubią. I jeśli o mnie chodzi, to wystarczający powód, aby się tam utrzymać.

– Nikt cię o zdanie nie pytał - odparł drwiąco kupiec.

– A może powinien - odezwał się ktoś przy barze. Erik przesunął się nieco i okazało się, że to pisarz z doków. - Orki zachowują się tak, jakby posiadały Kalimdor na własność, a my jesteśmy tu tylko gośćmi. A to przecież także nasz dom, czas, żebyśmy zaczęli się tak zachowywać. Orki to nie ludzie, nie pochodzą nawet z tego świata. Jakie mają prawo, by dyktować nam, jak mamy żyć?

– Ale mają prawo żyć po swojemu, prawda? - spytał kupiec.

Żołnierz pokiwał głową i odparł:

– Powiedziałbym, że zasłużyły sobie na to, walcząc z Płonącym Legionem. Gdyby nie one... - dopił resztkę wina, po czym przesunął kubek w stronę Erika. - Daj ale.

Erik zawahał się, jego ręka już sięgała po butelkę grogu. Żołnierz przychodził do *Zguby demona* od chwili, kiedy Erik otworzył lokal, i nie pił niczego, poza grogiem.

Lecz bycie stałym klientem dawało mu prawo do nie zadawania mu głupich pytań. Poza tym, dopóki płacił, mógł pić nawet wodę z mydlinami.

– Faktem jest, - powiedział kapitan - że to nasz świat, myśmy się tu urodzili. Orki są tylko gośćmi w naszym domu, i najwyższy czas, by

zaczęły się tak zachowywać!

Rozmowa potoczyła się dalej. Erik podał jeszcze kilka drinków, wrzucił parę kubków do miednicy, by je potem umyć, i dopiero podawszy kupcowi następne ale zorientował się, że Margoz, który rozpoczął całą rozmowę, już wyszedł.

Nie zostawił nawet napiwku. Erik pokręcił z niesmakiem głową, lecz imię rybaka już wyleciało mu z głowy.

Zapamiętał jednak jego twarz. I zapewne, kiedy drań przyjdzie tu znowu, napluje mu do drinka - tylko raz zamówił, a zaczął sprawiać kłopoty. Erik nienawidził takich rozrabiaków. Po prostu ich nie znosił.

Coraz więcej osób zaczynało narzekać na orki. Siedzący obok żołnierza łamignat tak mocno walnął swoim kubkiem o bar, że ale chlapnęło na czaszkę demona. Erik z westchnieniem wziął ścierkę i ją przetarł.



Niegdyś Margoz bałby się samotnie chodzić po ciemnych ulicach Theramore. Oczywiście w tak zamkniętej społeczności jak Theramore nie zdarzało się zbyt wiele przestępstw - wszyscy znali prawie wszystkich, a jeśli nie, znali kogoś, kto ich znał, więc zbrodnie nie były zbyt częste. A jeśli się zdarzyły, żołnierze lady Proudmoore karali winnych szybko i boleśnie.

Margoz zawsze był drobny i słaby, a duzi i silni zwykle zaczepiają drobnych i słabych, więc mężczyzna starał się unikać samotnego chodzenia po nocy. Nigdy nie wiadomo, jaki duży i silny osobnik kryje się w ciemnościach, pragnąc udowodnić swą wielkość poprzez pobicie kogoś

słabszego. Margoz wiele razy był ofiarą. Nauczył się, że najlepiej jest robić to, czego chcą, i zadowolić ich, żeby uniknąć przemocy.

Ale Margoz już nie znał tego strachu. Ani żadnego innego, jeśli o to chodzi. Teraz miał opiekuna. Oczywiście, musiał wykonywać jego polecenia, ale tym razem nagrodą były potęga i bogactwo. W dawnych czasach nagrodą było nie zostanie pobitym niemal na śmierć. Może i była to wymiana jednego ściskającego żołądek strachu na inny, ale Margoz uznał, że i tak jest lepiej.

W powietrzu unosiła się słona bryza znad portu. Margoz odetchnął głęboko, a zapach wody dodał mu sił. W *Zgubie demonów* przynajmniej częściowo powiedział prawdę - rzeczywiście był rybakiem, choć niezbyt dobrym. Nie walczył jednak przeciwko Płonącemu Legionowi, jak twierdził, przybył tu dopiero po jego wygnaniu. Liczył na więcej możliwości niż miał w Kul Tiras. To nie była jego wina, że miał kiepskie sieci - na inne nie mógł sobie pozwolić, ale nie mógł powiedzieć tego władzom w porcie.

Gdyby tak powiedział, znów zarobiłby bicie.

Dlatego przybył do Kalimdoru, podążając razem z wieloma innymi pragnącymi pracować dla ludzi lady Proudmoore. Lecz Margoz nie był wśród nich jedynym rybakiem, nie był też bynajmniej najlepszy.

Nim pojawił się jego opiekun, Margoz żył w ubóstwie. Nie łowił nawet tyle, by się wyżywić, nie wspominając już o sprzedaży, i poważnie zastanawiał się nad chwyceniem kotwicy i wyskoczeniem z nią za burtę. Przynajmniej skróciłby swoją mękę. Lecz wtedy właśnie pojawił się jego opiekun i wszystko zaczęło iść lepiej.

Margoz wkrótce dotarł do swojego skromnego mieszkania. Opiekun nie pozwolił mu się przenieść do lepszego lokalu, mimo jego narzekań - nazywał je niestosownym skomleniem - na brak świeżego powietrza,

kiepskie wyposażenie i szczury. Ale opiekun stwierdził, że taka nagła zmiana jego sytuacji przyciągnęłaby uwagę, a na razie miał pozostać niezauważony.

Aż do tej nocy, kiedy kazano mu się udać do *Zguby demonów* i zacząć zasiewać niechęć wobec orków. W dawnych czasach nigdy nie odważyłby się postawić nogi w takim miejscu. Ludzie, którzy mogliby go pobić, zwykle zbierali się w dużych grupach w tawernach, i z tego właśnie powodu wolał ich unikać.

A raczej niegdyś wolał ich unikać.

Wszedł do swojego pokoju. Siennik grubości kromki chleba; konopne prześcieradło, które drapało tak bardzo, że używał go jedynie w wyjątkowo lodowate noce, a i wtedy był to trudny wybór; lampa, i niewiele więcej. Przez pokój przebiegł szczur i znikł w jednej z licznych szczelin w ścianie.

Margoz westchnął, gdyż wiedział, co musi teraz zrobić. Pomijając niemożność przeniesienia się do lepszego mieszkania, w swoich kontaktach z opiekunem rybak najbardziej nie lubił smrodu, jaki później go otaczał. Był to efekt uboczny magii, jaką posługiwał się jego opiekun, lecz niezależnie od przyczyn, drażnił Margoza.

Mimo wszystko, moc była tego warta. I możliwość chodzenia po ulicach, i picia w *Zgubie demonów* bez strachu przed pobiciem.

Margoz sięgnął pod koszulę i wyciągnął naszyjnik ze srebrnym wisiorkiem w kształcie płonącego miecza. Ściskając go tak mocno, że czuł, jak jego krawędzie wbijają się w dłoń, wypowiedział słowa, których znaczenia nigdy nie poznał, lecz które wypełniały go niewypowiedzianą grozą za każdym razem, kiedy je wypowiadał.

– *Galtak Ered'nash. Ered'nash ban galar. Ered'nash havik yrthog. Galtak Ered'nash.*

Smród siarki zdawał się przepęłniać mały pokój. Tego właśnie nie znosił Margoz.

Galtak Ered'nash. Zrobiłeś, jak ci rozkazałem?

– Tak, panie. - Margoz z zawstyżeniem uświadomił sobie, że jego głos jest piskliwy. Odchrząknął i próbował odezwać się niższym głosem. - Zrobiłem, jak prosiłeś. Jak tylko wspomniałem o problemach z orkami, właściwie cała tawerna się przyłączyła.

Właściwie?

Margozowi nie spodobała się groźba zawarta w tym jednym słowie.

– Jeden mężczyzna się sprzeciwiał, ale inni do pewnego stopnia zwrócili się przeciwko niemu. Właściwie dostarczyłem punktu skupienia dla ich złości.

Możliwe. Dobrze sobie poradziłeś.

To była wielka ulga.

– Dziękuję, panie, dziękuję. Cieszę się, że mogłem pomóc. - Zawahał się. - Jeśli wolno, panie, czy może teraz byłby dobry czas na ponowne rozważenie tematu zmiany mieszkania? Być może zauważyliście tego szczura...

Pomogłeś nam. Zostaniesz wynagrodzony.

– Tak powiedzieliście, panie, ale... cóż, miałem nadzieję, że nagroda nadejdzie wcześniej. - Postanowił wykorzystać swoje długoletnie obawy. - Wiecie, że tej nocy byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Samotne chodzenie w pobliżu doków może być...

Dopóki służysz, nie stanie ci się nic złego. Nigdy więcej nie musi ci towarzyszyć strach, Margozie.

– O...oczywiście. Po prostu...

Po prostu chcesz żyć życiem, którym nigdy nie było ci dane żyć. To zrozumiałe. Bądź cierpliwy, Margozie. Swoją nagrodę otrzymasz we właściwym czasie.

Smród siarki zaczął ustępować.

– Dziękuję, panie. *Galtak Ered'nash!*

Głos opiekuna powiedział cicho *Galtak Ered'nash* i w pokoju Margoza znów zapanowała cisza.

Rozległo się uderzenie w ścianę, po nim zabrzmiał krzyk sąsiada:

– Przestań w końcu wrzeszczeć! Próbujemy zasnąć!

Niegdyś po takich słowach Margoz skuliłby się ze strachu. Tej nocy po prostu zignorował je i ułożył się do snu na sienniku z nadzieją, że smród nie przeszkodzi mu w zaśnięciu.

DWA



Nie rozumiem tylko, jaki sens ma mgła?

Kapitan Bolik, dowódca orczego statku handlowego *Orgath'ar* wiedział, że będzie żałował swoich słów w chwili, gdy poczuł się zmuszony do odpowiedzi na pytanie swojego ordynansa.

– A czy musi mieć sens?

Rabin potrząsnął głową, nie przerywając czyszczenia kłów swojego kapitana. Nie był to zwyczaj, któremu hołdowałyby większość orków, lecz Bolik czuł, że jego obowiązkiem jako kapitana *Orgath'ara* jest prezentowanie się jak najlepiej. Orki były szlachetnym ludem, porwanym ze swej ojczyzny i zniewolonym, zarówno przez demony, jak i ludzi. Jako wolny ork zamieszkały w Durotarze pod łagodnymi rządami wielkiego wojownika Thralla, Bolik uważał, że powinien jak najbardziej odróżniać się od dawnych niewolników. To oznaczało dbanie o siebie, choć ta idea mogła być obca większości orków, i tego też oczekiwał od swojej załogi.

Z pewnością była to prawda w odniesieniu do Rabina, który polecenia kapitana traktował poważniej niż większość załogi *Orgath'ara*. Rabin przycinał brwi, czyścił zęby i kły, polerował i piłował paznokcie, a ozdoby ograniczył do gustownego minimum - jedynie kolczyk w nosie i tatuaż.

W odpowiedzi na pytanie Bolika, Rabin stwierdził:

– Cóż, wszystko na świecie ma jakiś sens, prawda, panie? To znaczy, woda istnieje, żebyśmy mieli ryby do jedzenia, i żeby można po niej pływać. Powietrze istnieje, żebyśmy mogli oddychać. Ziemia daje nam również jedzenie, nie wspominając o miejscu do budowania domów. Robimy łodzie z tego, co dają nam drzewa. Nawet deszcz i śnieg... dają nam wodę, którą możemy pić, w przeciwieństwie do morskiej. Wszystko to ma sens.

Rabin zabrał się za piłowanie paznokci kapitana i Bolik odchylił się do tyłu. Jego zydel znajdował się niedaleko grodzi kajuty, więc się o nią oparł.

– Ale mgła nie ma sensu?

– Właściwie tylko wchodzi nam w drogę, i nie daje nam nic.

Bolik uśmiechnął się. Jego świeżo wyczyszczone zęby błyszczały w słabym blasku lampy. Ze względu na mgłę, na którą właśnie narzekał Rabin, przez bulaj nie wpadało do kajuty żadne światło.

– Ale śnieg i deszcz też nam wchodzi w drogę - zauważył kapitan.

– To prawda, kapitanie, to prawda. - Rabin skończył piłowanie paznokcia u kciuka i zabrał się za dalsze palce. - Ale, jak już mówiłem, śnieg i deszcz mają większy cel. Nawet jeśli nam przeszkadzają, przynajmniej jest z nich jakaś korzyść. Ale powiedzcie mi, panie, co daje mgła? Nie pozwala nam zobaczyć, gdzie się kierujemy, i nic nie daje nam w zamian.

– Może. - Bolik popatrzył na swojego ordynansa. - A może po prostu jeszcze nie znamy kryjących się w niej korzyści. W końcu kiedyś nie wiedzieliśmy, że śnieg to po prostu zamarznęty deszcz. Orki wówczas postrzegały śnieg jako problem, tak samo jak ty teraz postrzegasz mgłę. W końcu poznaliśmy jego prawdziwy cel... jak powiedziałaś, dostarczać nam wody do picia w zimnej porze roku. Nie jest to więc wina mgły, tylko

nasza, że nie widzimy jeszcze prawdy. Świat mówi nam to, co powinniśmy wiedzieć, kiedy jesteśmy na to gotowi, a nie wcześniej. Takie jest życie.

Rabin rozważył jego słowa, kończąc piłowanie i zaczynając polerowanie.

– Przypuszczam, że tak właśnie może być. Ale dzisiaj nic nam to nie pomoże, prawda, panie?

– Nie, nie pomoże. Jak to znosi załoga?

– Najlepiej jak może - odparł Rabin ze wzruszeniem ramion. - Oko mówi, że na górze nie widzi nawet swoich kłów.

Bolik spochmurniał. Kołysanie statku było stałe, lecz teraz jakby stało się silniejsze. Zwykle znaczyło to, że znajdują się w pobliżu innego statku.

Bolik podniósł się z zydła, przerywając Rabinowi pracę.

– Skończymy później.

Rabin podniósł się z kolan i pokiwał głową.

– Dobrze, kapitanie.

Bolik chwycił odziedziczony po ojcu buzdygan i wyszedł z kajuty na wąski korytarz. *Orgath'ar* – Bolik nazwał go na pamiątkę swego szlachetnego ojca Orgatha, pierwotnego właściciela buzdyganu, który zginął w walce z Płonącym Legionem - został zbudowany przez gobliny, ponieważ Bolik pragnął tego, co najlepsze. Szkutnik, bystry stary goblin imieniem Leyds, zapewnił Bolika, że korytarze będą wyjątkowo szerokie, żeby zmieściły się w nich orki. Niestety, dla niskiego goblina wyjątkowo szeroki oznaczało co innego niż dla Bolika, dlatego kapitan z trudem mieścił się na schodach prowadzących na pokład.

Wchodząc na górę, ujrzał swojego pierwszego oficera, Kaga, który właśnie cofał się ze schodów.

– Właśnie do was schodziłem, panie. - Kag uśmiechnął się, a jego długie kły niemal wbiły mu się w oczy. - Powinienem był się domyślić, że sami

wyczujecie zmianę.

Bolik roześmiał się, wchodząc na pokład. Gdy tylko znalazł się na górze, pożałował, że nie zawołał Kaga do siebie na dół. Mgła była tak gęsta, że niemal mógł ją ciąć swoim mieczem. Znał *Orgath'ara* na tyle dobrze, że był w stanie dojść do krawędzi pokładu nie widząc, gdzie idzie, teraz był to jedyny sposób, by tam dotrzeć. Kag podążył za nim i stał niemal nos w nos z kapitanem, gdyż tylko w ten sposób się widzieli.

Uświadomiwszy sobie, że nie będzie w stanie zobaczyć innych statków - właściwie nie miał nawet dowodów na to, że znajdują się na wodzie, ponieważ jej też nie widział - obrócił się do pierwszego oficera.

– Co to?

Kag potrząsnął głową.

– Trudno powiedzieć. Oko mówi, że niewiele widzi. Zauważył jakiś statek, ale czasem wydaje mu się, że to jeden z konwojów wojskowych z Theramore... a czasem, że wygląda jak zwykły ludzki albo orczy statek.

– A co ty sądzisz?

Kag odezwał się bez wahania.

– Oko by nic nie powiedział, gdyby nie był pewien. Jeśli mówi, że widział okręt z Theramore, a później, że coś innego, to znaczy, że widział dwa różne statki. Sądzę, że to dwa statki. Poza tym, kilwater jest wystarczający dla dwóch, albo dla jednego zataczającego kręgi. W tej mgle każdy wygląda tak samo.

Bolik pokiwał głową. Ich oko, Vak, był w stanie popatrzeć na dwie plamki na horyzoncie i powiedzieć, która z nich jest łodzią rybacką, a która okrętem wojennym. Ponadto potrafił stwierdzić, czy łódź rybacka została zbudowana przez gnomy, czy przez ludzi, i czy okręt wojenny pochodzi z czasów przed inwazją Płonącego Legionu, czy po niej.

– Trzy statki tak blisko to proszenie się o kłopoty. Może będziemy musieli zadać w róg. Niech...

– Statek!

Bolik spojrział w stronę masztu, próbując zobaczyć Vaka, lecz maszt krył się we mgle. Głos Vaka dochodził z miejsca nazywanego przez ludzi bocianim gniazdem z powodów, których Bolik nie był w stanie pojąć - wiedział, że bocian to taki ptak, lecz nie był pewien, co jego gniazdo ma wspólnego z miejscem dla obserwatora.

– Co widzisz? - zawołał Kag.

– Zbliża się statek! Ludzie! Nie widzę bandery!

– Co z okrętem wojennym?

– Nie widzę ich teraz, ale widziałem jeszcze chwilę temu. Płyną teraz równolegle.

Bolikowi się to nie podobało. Ludzki statek bez bandery zwykle oznaczał piratów. Nie musiał - wywieszanie bandery w takiej mgle właściwie nie miało sensu - mógł też po prostu nie widzieć orczego statku. Bolik wolał nie ryzykować - zwłaszcza swojego ładunku. Jeśli skrzynie nie dotrą bezpiecznie na Wzgórza Brzytwy, Bolik nie dostanie pieniędzy, co oznacza, że załoga nie dostanie pieniędzy. Dni, kiedy załoga nie dostawała pieniędzy, nie były dobrymi dniami dla kapitana.

– Zadmijcie w róg. I ustawcie strażników przy luku.

Kag pokiwał głową.

– Tak, panie.

– Harpuny!

Słyszając okrzyk Vaka, Bolik zaklął. Harpuny mogły oznaczać jedną z dwóch rzeczy. Albo drugi statek uznał *Orgath'ara* za jedną z wielkich morskich istot w rodzaju wieloryba czy węża morskiego. Albo też byli to piraci, a do harpunów były przywiązane liny do abordażu.

Ponieważ węże morskie i wieloryby zwykle nie zapuszczały się tak daleko na północ, Bolik wolał założyć, że chodzi o to drugie.

Harpuny wbiły się w pokład, w bok schodów prowadzących pod pokład i w inne miejsca, których Bolik nie widział we mgle. Później przywiązane do nich liny naprężyły się.

– Przygotować się na abordaż! - zawołał Kag.

– Przeciąć liny! - zawołał ktoś.

Rozległ się odgłos, jaki wydaje pięść, gdy trafi w czyjąś szczękę, po czym rozległ się głos Kaga:

– Nie bądź głupi! Miecze nie mogą przeciąć tych lin, a nas zostawisz odsłoniętych!

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się samych piratów, którzy wyskoczyli z mgły niczym zaczarowani. Bolik zauważył, że byli to ludzie, i żaden z nich nie nosił munduru. Bolik w ogóle nie wiedział, co oni noszą - ludzka fascynacja ubiorem wykraczającym poza rzeczy absolutnie niezbędne zawsze zdumiewała Bolika. Wiedział, co nosili żołnierze lady Proudmoore i to mu wystarczało.

– Zabić piratów! - krzyknął, choć jego załoga nie potrzebowała takiej zachęty. Rozgorzała walka. Bolik uniósł buzdygan swego ojca i zamachnął się na najbliższego przeciwnika, który uskoczył, po czym natarł na niego z mieczem.

Bolik sparował cios lewą ręką, lecz nim zdążył zamachnąć się po raz wtóry, człowiek już uniósł swoją broń do zasłony. Robiąc to, pochylił się jednak i przysunął swój brzuch do Bolika, dzięki czemu orczy kapitan mógł łatwiej trafić go pięścią. Człowiek zgiął się we dwoje i padł na pokład, kaszląc, zaś Bolik opuścił buzdygan na jego kark.

Wyskoczyło zaraz dwóch następnych, licząc pewnie, że przestraszą go przewagą dwóch na jednego. Lecz Bolik był ulepiony z twardej gliny. Choć

urodził się na tym świecie jako niewolnik, został oswobodzony przez Thralla i przysiągł sobie, że nie będzie już zginał karku przed żadnym człowiekiem. To prawda, walczył już u ich boku, lecz nigdy żadnemu z nich się nie kłaniał.

Tak samo jak tym dwóm, którzy szli na niego.

Pirat po lewej zaatakował - jego ostrze było dziwnie zakrzywione, Bolik widział ten rodzaj broni tylko raz - zaś ten po prawej zamachnął się dwoma krótkimi mieczami. Bolik zablokował zakrzywione ostrze lewą ręką - tym razem ostrze przebiło jego przedramię - zaś buzdyganem sparował jeden z dwóch mieczy. Drugi minął pierś Bolika zaledwie o włos.

Choć poruszenie wywołało przeszywający ból w jego lewej ręce, Bolik szybko opuścił kończynę z tkwiącą w niej bronią. Jego siła i dźwignia sprawiły, że wróg po lewej został rozbrojony, jego oręż tkwił w ciele orka. Kopnąwszy pirata po prawej, Bolik chwycił głowę tego po lewej i pociągnął w dół, zmuszając człowieka do ukłęknięcia.

Pirat od dwóch mieczy poleciał do tyłu, wymachując rękami; zdołał uniknąć kopnięcia, które mogło złamać mu nogę, lecz za to stracił równowagę.

Bolik, wciąż trzymając w mocarnej lewej ręce głowę pirata z zakrzywionym ostrzem, odrzucił głupca na bok. Głowa człowieka zderzyła się z masztem z miłym dla ucha stukiem.

Jednak ten ruch dał drugiemu napastnikowi czas na odzyskanie równowagi. Kiedy zaatakował go swoimi dwoma małymi mieczami, Bolik odchylił się do tyłu i w prawo, wyprostował prawą rękę za plecami, po czym zamachnął się buzdyganem nad głową, opuszczając go gwałtownie i zabijając przeciwnika na miejscu.

– Vak! - zawołał Bolik w stronę bocianiego gniazda, wyciągając z ramienia zakrzywiony miecz i rzucając go na pokład obok nieprzytomnego

właściciela. - Zatrąb w róg!

Piraci zapewne nie znali orczego języka i nie spodziewali się nagłego dźwięku rogu przeciwmgielnego.

Kilka sekund później powietrze przeszył rozdzierający uszy hałas. Przygotowany na to Bolik czuł, jak dźwięk wibruje w jego kościach. Przypuszczał, że podobnie odbiera to jego załoga, choć nie mógł ich dostrzec.

Jednak ludzie, których Bolik widział, zostali zaskoczeni. Na to liczył kapitan orków. Ci jego podkomendni, których mógł dostrzec, natarli z nową siłą. Sam kapitan zaczął wywijać buzdyganem nad głową, dopóki nie znalazł dobrego celu. Broń jego ojca spadła na ramię najbliższego pirata, który z wrzaskiem padł na pokład.

Bolik słyszał, jak ktoś wykrzykuje w ludzkim języku słowo, które, jak był przekonany, oznaczało odwrót. Jak się okazało - miał rację, piraci zaczęli piąć się po linach z powrotem na swój statek. Bolik widział, jak Kag odcina jednemu z nich nogę, przez co ofiara spadła do Wielkiego Morza.

– Gonimy ich? - spytał Kag, odwracając się do Bolika.

– Nie, niech odpływają - pokręcił głową kapitan. W tej przeklętej mgle nie miało to większego sensu. - Sprawdźcie, co z ładunkiem.

Kag kiwnął głową i pobiegł w stronę ładowni. Dudnienie jego kroków niosło się echem.

– Gniazdo, co z ludzkim statkiem? - spytał Bolik, patrząc do góry.

– Nie ruszyli się - odparł Vak - dopóki nie otrąbiliśmy mgły. Wtedy odpłynęli. Już ich nie widzę.

Bolik zacisnął pięści, ściskając rękojęść ojcowskiego buzdygana tak mocno, iż pomyślał, że zaraz pęknie. Ludzie byli ich sprzymierzeńcami. Jeśli któryś z cennych żołnierzy lady Proudmoore znajdował się w pobliżu,

to dlaczego nie było ich tu, kiedy piraci wdzierali się na pokład *Orgath'ara*?

– Panie, - powiedział Kag, wróciwszy razem z Forxem, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo ładunku - jedna ze skrzyń została rozbita. Inna została wyrzucona za burtę przez jednego z ludzi, aby osłonić jego ucieczkę.

– Wysłali większość swoich ludzi do ładowni, ale ich odparliśmy, panie, słowo. Inaczej zabraliby wszystko.

– Dobra robota, Forx. Zostaniecie wynagrodzeni. - Bolik wiedział, że jego słowa mają swoją wymowę. Dwie stracone skrzynie oznaczały, że dwadzieścia procent ich ładunku było bezużyteczne, a to oznaczało dwadzieścia procent zysku mniej. Bolik położył dłoń na ramieniu Forxa. - Otrzymacie zapłatę w takiej wysokości, jakby cały ładunek dotarł nienaruszony. Stratę pokryję z mojej kiesy.

Oczy Kaga rozszerzyły się.

– To dla nas zaszczyt, kapitanie.

– Wcale nie - obroniliście mój okręt. Będziecie za to wynagrodzeni.

Forx uśmiechnął się.

– Powiadomię wojowników, panie.

Kiedy odszedł, Bolik spojrzał na Kaga.

– Oszacuj straty, wyrzuć trupy ludzi do morza i ustaw nas z powrotem na kursie. - Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze między kłami. - A kiedy wrócimy, chcę, byś znalazł posłańca. Thrall musi się o wszystkim natychmiast dowiedzieć.

– Tak jest, kapitanie - skinął głową Kag.

Spoglądając na mgłę, która pozwoliła piratom podpłynąć tak blisko, Bolik przypomniał sobie słowa Rabina i uznał, że żaden pożytek z mgły nie był tego wart...

TRZY



Lady Jaina Proudmoore stała na szczycie Wzgórza Brzytwy, spoglądając na teren, gdzie pomagała utworzyć najbardziej nieprawdopodobny sojusz w dziejach świata.

Wzgórze Brzytwy leżało, rzecz jasna, na ziemi orków, lecz Jaina i Thrall zgodzili się, biorąc pod uwagę jej umiejętności, że najlepiej będzie spotykać się na jego ziemi, gdzie Thrall zwykle przebywał. Jeśli zaś chodzi o Jainę, jej magiczne umiejętności pozwalały w jednej chwili przenieść się wszędzie, gdzie tylko chciała.

Prawdę mówiąc, kiedy dostała zaproszenie od Thralla, poczuła ulgę. Wyglądało na to, że jej życie składa się z jednego, wielkiego pasma kryzysów. Walczyła z demonami, orkami i wodzami, los świata spoczywał w jej drobnych dłoniach niejednym razem.

Kiedyś była ukochaną Arthasa, kiedy ten był jeszcze szlachetnym wojownikiem, lecz został skażony i teraz był Królem Liczem, dowódcą Plagi, najbardziej okrutnym wodzem na świecie. Wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała stawić mu czoła w walce. Medivh, przeklęty przez Sargerasa mag, który, wzywając do tego świata orki i demony, skazał

ludzkość na zagładę, stał się lojalnym sojusznikiem, który przekonał Jainę i Thralla do połączenia sił z nocnymi elfami, przeciw Płonącemu Legionowi.

Potem, kiedy ludzie zbudowali Theramore jako swój nowy dom w Kalimdorze, Jaina myślała, że wszystko się uspokoi. Lecz podczas jej rządów nigdy nie było spokojnie, nawet w czasach pokoju, a ona przekonała się, że codzienne rządy Theramore sprawia, iż niemal zaczynała tęsknić za czasami, kiedy sama musiała walczyć o życie.

Niemal, ale nie do końca. Prawdę mówiąc, niewielu rzeczy żałowała - ale ona również chwyciła się możliwości wytchnienia niczym wędrowiec kropli wody na pustyni.

Stojąc na skraju wzniesienia spoglądała w dół, na niewielką orczą wioskę, położoną u stóp wzgórza. Surowy, brązowy krajobraz upstrzyły dobrze chronione osiedla. Nawet w czasach pokoju orki chciały być pewne, że ich domy nie zostaną łatwo zdobyte. Między chatami spacerowało kilka z nich, pozdrawiając się wzajemnie i czasem zatrzymując na pogawędkę. Widząc tę powszednią krzątanicę, Jaina nie mogła się nie uśmiechnąć.

A potem usłyszała niski, miarowy łomot zapowiadający przybycie powietrznego okrętu Thralla. Odwróciła się i zobaczyła ogromny sterowiec. Kiedy się zbliżył, zauważyła, że w niewielkiej gondoli, pod napędzającym pojazd wielkim, napełnionym gorącym powietrzem płóciennym balonem, stoi tylko Thrall. Płótno zdobiły rozmaite symbole, w niektórych z nich Jaina rozpoznała piktogramy, używane w starej odmianie orczego języka. Wiedziała, że jeden z nich to symbol rodziny Thralla, klanu Lodowego Wilka. Był to główny element, który odróżniał orcze statki powietrzne od tych, którymi latali ludzie Jainy - statki, które Theramore dzierżawiło od goblinów były zdecydowanie mniej malownicze. Jaina zastanawiała się, czy orczy sposób nie jest lepszy - nadawać martwym transportowcom osobowość podobną do tej, jaką miały żywe wierzchowce.

W przeszłości, kiedy spotykali się na szczycie wzniesienia, Thrall sprowadzał ze sobą przynajmniej jednego czy dwóch strażników. Fakt, że był teraz sam świadczył o tym, jak bardzo cenił sobie Jainę.

Kiedy pojazd się zbliżył, Thrall pociągnął za kilka dźwigni i sterowiec zwolnił, aż wreszcie zawisł nad szczytem. Pociągnąwszy za ostatnią dźwignię, Thrall wyrzucił sznurową drabinkę i zszedł po niej na dół. Podobnie jak większość orków, miał zieloną skórę i czarne włosy, które zaplatał w przerzucony teraz przez ramię warkocz. Czarna, płytowa zbroja z brązowymi zdobieniami należała do Orgrima Młota Zagłady, mentora Thralla i orka, od którego wzięła swoją nazwę stolica Durotaru. Do pleców miał przymocowaną potężną, dwuręczną broń, od której pochodził przydomek Młot Zagłady.

Jednak tym, co wyróżniało Thralla, były jego rzadko spotykane wśród orków niebieskie oczy. Przebijała z nich zarówno inteligencja, jak i łagodność.

Trzy lata temu, kiedy budowano zarówno Theramore, jak i miasta Durotaru, Jaina dała Thrallowi talizman: niewielki kamień z wyrzeźbionym jednym ze starych runów *Tirisfalen*. Drugi, taki sam, znajdował się w jej posiadaniu. Wystarczyło tylko, by Thrall chwycił go i pomyślał o niej, a talizman Jaina zaczynał lśnić; działał także w drugą stronę. Kiedy tylko chcieli spotkać się w tajemnicy, by omówić jakieś sprawy dotyczące ich i ich ludów z dala od polityki, czy choćby porozmawiać jak starzy przyjaciele, wystarczyło, by jedno z nich uaktywniło talizman. Jaina mogła się wtedy teleportować na szczyt, a Thrall przybywał swoim statkiem - nie sposób było tu dotrzeć w inny sposób.

– Dobrze cię widzieć, przyjacielu. - Jaina powitała go z ciepłym uśmiechem i mówiła szczerze. Przez całe życie nie spotkała nikogo równie honorowego i wiernego, jak ten ork. Kiedyś zaliczyłaby między nich także

swego ojca i Arthasa. Lecz admirał Proudmoore nalegał na zaatakowanie orków w Kalimdorze, nie chcąc uwierzyć własnej córce, kiedy ta mówiła, że orki są takimi samymi ofiarami Płonącego Legionu, jak ludzie, i nie są złe. Podobnie jak wielu ludzi, których Jaina знаła, admirał Proudmoore nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że świat jest inny, niż za czasów jego młodości. W tym światopoglądzie mieściła się także obecność orków i Jaina znalazła się w strasznej sytuacji, kiedy musiała zdradzić własnego ojca na rzecz ludu Thralla w nadziei, że uda się jej powstrzymać rozlew krwi.

Jeśli chodzi o Arthasa, stał się jednym z największych źródeł zła tego świata. Obecnie Jaina znalazła się w sytuacji, kiedy ufała przywódcy orczego klanu bardziej, niż człowiekowi, którego niegdyś kochała i własnemu ojcu.

Kiedy jej ojciec zaatakował, Thrall - który widział ból w jej oczach, gdy mówiła mu, jak pokonać admirała - dotrzymał słowa, jednak nigdy nie zaakceptował tego, że świat jest taki, jaki jest. Jako dziecko został złapany i wychowany przez człowieka, Aedelasa Blackmoore'a, na doskonałego niewolnika i otrzymał nawet stosowne imię* [* Thrall (ang.) - niewolnik [przyp. tłum.]]. Lecz Thrall zerwał łańcuchy i poprowadził swój lud do wolności, a potem przywrócił im zwyczaje, niegdyś odebrane przez demoniczne hordy, które sprowadziły orki na ten świat.

Teraz Jaina zauważyła dziwny wyraz błękitnych oczu Thralla. Jej przyjaciel był wściekły.

– Nie podpisywaliśmy żadnego traktatu - zaczął natychmiast, nawet nie odpowiadając na jej powitanie. - Nie robiliśmy w naszym sojuszu żadnych zastrzeżeń. Polegaliśmy na umocnionej wspólnie przelaną krwią więzi i nigdy siebie nie zdradziliśmy.

– Nie zdradziłam cię, Thrallu - odparła szybko Jaina, lecz z wypraktykowaną łatwością powstrzymała swoje emocje. Nie podobał się jej zarzut o zdradę, i to rzucony tak od razu, nawet bez żadnej zdawkowej uprzejmości, ani też wzmianka o rzekomym zerwaniu łączącej ich więzi, jednak już jako uczennica czarodzieja nauczyła się, że silne emocje i magia nie zawsze dobrze na siebie wpływają. Chwyciła mocniej ozdobioną ornamentem laskę, pamiątkę po jej mistrzu, arcymagu Antonidasie.

– Wiem, że nie ty. - Ton Thralla nadal był wojowniczy. W przeciwieństwie do innych orków, gburowatość nie była jego sposobem bycia, bez wątpienia dzięki wychowaniu przez ludzi. - Jednak wygląda na to, że twoi ludzie mogą nie cenić sobie tej więzi równie mocno.

– O czym ty mówisz, Thrallu? - spytała czujnie.

– Jeden z naszych statków kupieckich, *Orgath'ar*, został zaatakowany przez piratów.

Jaina zmarszczyła czoło. Piractwo nadal stanowiło plagę mór, choć bardzo starali się temu zapobiec.

– Zwiększyliśmy liczbę patroli tak bardzo, jak to tylko było możliwe, lecz...

– Patrole są bez sensu, jeśli żołnierze będą tylko siedzieć i się przyglądać! *Orgath'ar* widział w pobliżu jeden z waszych patroli! Był na tyle blisko, że dostrzegł ich w gęstej mgle, a mimo to nie zrobił nic, by pomóc kapitanowi Bolikowi i jego załodze! Bolik zadał nawet w róg przeciwny, a twoi ludzie nie zrobili nic.

– Mówisz, że ich gniazdo dostrzegło patrol - powiedziała Jaina; jej spokój kontrastował z gniewem Thralla. - To nie musi oznaczać jeszcze, że on dostrzegł *Orgath'ara*.

To sprawiło, że Thrall zamilkł.

– Wasz lud ma lepszy wzrok, niż my - ciągnęła dalej. - A kiedy usłyszeli róg, prawdopodobnie uznali go za sygnał, by zejść wam z kursu.

– Skoro byli na tyle blisko, że mój lud mógł ich zobaczyć, to byli też na tyle blisko, by słyszeć piratów dokonujących abordażu! To prawda, że mamy lepszy wzrok, ale też nie skradamy się do walki. Nie wierzę, że wasz patrol nie słyszał, co się dzieje.

– Thrall...

Ork odwrócił się i wyrzucił ramiona w górę.

– Sądziłem, że tu wszystko będzie inaczej! Sądziłem, że wasz lud wreszcie zaczął traktować nas jak równych sobie. Powinienem był zdawać sobie sprawę, że kiedy przyjdzie do chwycenia za broń i wymierzenia jej przeciw jednemu ze swoich, żeby wspomóc orka, ludzie nas zdradzą.

Teraz to Jainie było trudno zachować spokój.

– Jak śmiesz tak mówić?! Sądziłam, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, przynajmniej nie uznasz nas od razu za winnych.

– Dowody...

– Jakie dowody?! Z kim jeszcze rozmawiałeś, poza kapitanem Bolikiem i jego załogą?!

Odpowiedzią na pytanie Jainy było milczenie.

– Dowiem się, który to był statek patrolowy. Gdzie został zaatakowany *Orgath'ar*?

– Pół ligi od wybrzeża w pobliżu Ratchet, godzinę drogi od portu.

Jaina pokiwała głową.

– Każę jednemu ze swoich żołnierzy to zbadać. Te patrole są koordynowane przez Northwatch.

Thrall zeszywniał.

– O co chodzi?

Ork odwrócił się w jej stronę.

- Jestem pod dużym naciskiem, by odzyskać twierdzę Northwatch siłą.
- A ja, by ją zatrzymać.

Thrall i Jaina spoglądali na siebie. Teraz, gdy znów na nią spojrzął, Jaina ujrzała w jego niebieskich oczach coś innego - nie gniew, lecz zmieszanie.

- Jak to się stało? - spytał ciszej Thrall. Wydawało się, jakby opuściła go cała wojowniczość. - Jak to się stało, że spieramy się o taką bzdurę?

Jaina nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Jesteśmy przywódcami, Thrallu.

- Przywódcy prowadzą swoich wojowników do walki.

– Owszem, w czasach wojny - odparła Jaina. - W czasie pokoju prowadzą ich inaczej. Wojna to wielki wysiłek, któremu podporządkowuje się codzienność, lecz kiedy się kończy, pozostaje trud życia codziennego. - Podeszła do starego towarzysza i położyła niewielką dłoń na jego potężnym ramieniu. - Zbadam to, Thrallu i dowiem się prawdy. A jeśli moi żołnierze nie wypełnili swoich obowiązków wynikających z sojuszu, to przysięgam ci, że zostaną ukarani.

Thrall pokiwał głową.

- Dziękuję ci, Jaino. I przepraszam za moje oskarżenia. Ale mój lud znosił tak wiele. Ja zniosłem tak wiele i nie pozwolę byśmy znów byli źle traktowani.

- Ja też nie - odpowiedziała cicho. - I może... - zawahała się.

- Co?

– Może rzeczywiście powinniśmy podpisać oficjalny traktat. Może rzeczywiście miałeś rację... możemy ufać sobie nawzajem, ty i ja, lecz nie wszyscy ludzie i orki tak myślą. A choć chcielibyśmy, by było inaczej, nie będziemy żyć wiecznie.

Thrall pokiwał głową.

– Często... trudno przypominać mi mojemu ludowi, że już nie jesteście naszymi nadzorcami. W pewnym sensie oni wciąż pragną kontynuować bunt, mimo iż czas zniewolenia orków dawno minął. Czasami mnie również opanowuje ich gorączka, szczególnie że zostałem wychowany w niewoli istoty nie lepszej od Płonącego Legionu. Czasem wierzę w najgorsze, i podobnie będzie z moim ludem, kiedy odejdę i nie będę im w stanie dłużej przypominać. Być może masz więc rację.

– Najpierw rozwiążmy ten kryzys - powiedziała Jaina, uśmiechając się do Thralla. - Później porozmawiamy o traktatach.

– Dziękuję. - Thrall potrząsnął głową i zaśmiał się.

– O co chodzi?

– W ogóle jej nie przypominasz, ale... kiedy się uśmiechnęłaś, tylko przez chwilę, przypominałaś mi Tari.

Jaina przypomniała sobie, że Taretha Foxton, zwana Tari, była córką jednego z domowników Aedelasa Blackmoore'a i pomogła Thrallowi uciec z jego łap - za cenę własnego życia.

Orki uwieczniały historię w postaci pieśni - *lok'amon* było kroniką początków rodu, *lok'tra* bitwy, a *lok'vanod* życia bohatera. Na ile wiedziała, jedyny człowiek, o którego życiu śpiewano *lok'vanod*, miał na imię Tari.

I dlatego Jaina pochyliła głowę i powiedziała:

– Takie skojarzenie jest dla mnie zaszczytem. Poślę pułkownik Lorenę do Northwatch, a kiedy dostanę jej raport, powiadomię cię.

Thrall pokręcił głową.

– Kolejna kobieta w twojej armii. Ludzie czasem mnie zadziwiają.

Ton głosu Jainy stał się lodowaty, znów mocniej uchwyciła laskę.

– Co masz na myśli? Czy w twoim świecie kobiety i mężczyźni nie mogą być równi?

– Oczywiście, że nie. Nie powiem też - dodał szybko, nim Jaina mu przerwała - że są nierówni... tak samo, jak nie powiedziałbym, że owad i kwiat są sobie równe. Służą zupełnie innym celom.

Jaina, zadowolona z takiego rozpoczęcia, powiedziała Thrallowi to samo, co powiedziała Antonidasowi, kiedy jako zuchwała młoda kobieta nalegała na zostanie jego uczennicą. Wtedy mag powiedział jej: „W naturze kobiet nie jest bycie czarodziejami, tak samo jak w naturze psów nie jest komponowanie arii.”

I tak samo jak wtedy, teraz powiedziała Thrallowi:

– Czyż nie odróżnia nas od zwierząt właśnie to, że możemy zmieniać swoją naturę? W końcu niektórzy utrzymują, że w naturze orków leży bycie niewolnikami. - Jaina potrząsnęła głową. - Jest jednak wielu, którzy myślą tak jak ty. Dlatego kobiety muszą pracować dwa razy ciężiej, by osiągnąć to samo, co mężczyźni... i dlatego ufam Lorenie bardziej niż innym swoim pułkownikom. Dowie się prawdy.

Słyszając to, Thrall odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Jaino Proudmoore. Przypominasz mi, jak wiele muszę się jeszcze dowiedzieć o ludziach, mimo iż zostałem przez nich wychowany.

– Biorąc pod uwagę, kto cię wychował, powiedziałabym, że to właśnie dlatego, że zostałeś przez nich wychowany.

Thrall pokiwał głową.

– Racja. Niech twoja pułkownik zbada tę sprawę. Porozmawiamy znów, kiedy skończy. - Ruszył w stronę drabinki sznurowej, która wciąż zwisała ze statku powietrznego.

– Thrallu. - Odwrócił się w jej stronę. - Nie pozwolimy, by ten sojusz upadł.

Znów pokiwał głową.

– Nie, nie pozwolimy. - I z tymi słowami wspiął się po linie.

Jaina ze swej strony wymruczała inkantację w języku znanym tylko magom i odetchnęła głęboko. Miała wrażenie, że jej żołądek jest wysysany przez nos, gdy szczyt, statek, Thrall i Wzgórze Brzytwy poruszyły się wokół niej, tracąc zarys i rozpluwając się we mgle. Po chwili wszystko złączyło się ponownie, przybierając znajomy kształt jej komnat na szczycie największego z zamków w Theramore.

Tu właśnie wykonywała większość swojej pracy, W tej niewielkiej komnacie z biurkiem i tysiącami zwojów, nie zaś w wystawnej sali tronowej. Jaina starała się jak najrzadziej zasiadać na tronie - nawet podczas tych dni, gdy udzielała audiencji, zwykle spacerowała przed zawstydzająco wielkim krzesłem, nie zaś sadowiła się na nim. Jej komnata bardziej przypominała gabinet Antonidasa, w którym nauczyła się swej sztuki, łącznie z zabałaganionym biurkiem i źle posortowanymi zwojami. Czowała się tu niemal jak w domu.

W sali tronowej było jeszcze coś, czego w jej komnacie nie było - okno z widokiem. Jaina wiedziała, że nic by się jej nie udało zrobić, gdyby miała widok na Theramore. Byłaby rozproszona albo przez zadziwienie wszystkim, co udało im się wybudować, albo strachem przed odpowiedzialnością.

Teleportacja była zawsze wyczerpującym procesem, i choć szkolenie Jainy pozwalało jej stać w gotowości bojowej tuż po teleportowaniu się, w normalnej sytuacji wolała dać sobie trochę czasu na odzyskanie sił. Teraz też dała sobie chwilę, nim zawołała sekretarkę.

– Duree!

Stara wdowa weszła głównymi drzwiami. Komnata miała trzy wejścia. Dwa były znane wszystkim - jedno, które właśnie wykorzystała Duree, i drugie prowadzące na korytarz i schody do prywatnych komnat Jainy.

Trzecie prowadziło do tajnego przejścia, które mogło służyć jako droga ucieczki. Wiedziało o nim zaledwie sześcioro ludzi, przy czym pięcioro było jego budowniczymi.

Duree spojrzała ostro na Jainę zza okularów.

– Nie musisz krzyczeć, siedzę tuż za drzwiami, jak zawsze. Jak poszło spotkanie z orkiem?

– Na imię ma Thrall - powiedziała z westchnieniem Jaina, nie po raz pierwszy.

Duree zamachała rękami tak gwałtownie, że niemal straciła równowagę. Okulary zsunęły jej się z nosa i zawisły na sznurku na szyi.

– Wiem, ale to takie głupie imię. To znaczy, orki mają imiona w rodzaju Piekielny Krzyk, Młot Zagłady, Drek'Than, Burx czy takie tam, a on nazywa się Thrall? Jaki szanujący się ork tak by się nazwał?

Nie próbując tłumaczyć, że Thrall szanuje się bardziej niż jakikolwiek inny ork, którego znała - ponieważ wyjaśnienie to nie zadziałało poprzednie sto razy - Jaina powiedział tylko:

– Drek'Thar, nie Drek'Than.

– Nieważne. - Duree z powrotem założyła okulary. - To porządne orcze imiona. Nie Thrall. Tak czy inaczej, jak poszło?

– Mamy problem. Sprowadź Kristoffa i każ jednemu z chłopaków znaleźć pułkownik Lorenę i powiedziec jej, żeby przygotowała oddział do Northwatch, a potem zgłosiła się do mnie. - Jaina usiadła przy biurku i zaczęła sortować zwoje, próbując znaleźć raporty ze statków.

– Czemu Lorena? Może powinnaś wziąć Lothara albo Pierce'a? Kogoś mniej... nie wiem, kobiecego? W Northwatch są sami twardzi mężczyźni.

Zastanawiając się, czy ta rozmowa będzie się powtarzać za każdym razem, kiedy wspomni o Lorenie, Jaina stwierdziła:

– Lorena jest twardsza niż Lothar i Pierce razem wzięci. Poradzi sobie.

Duree wydeła wargi, co u tak starej kobiety wyglądało żałościwie.

– To nie w porządku. Wojsko nie jest dla kobiet.

Jaina zrezygnowała z szukania raportów i spojrzała ze złością na sekretarkę.

– Podobnie jak rządy państwem-miastem.

– To coś zupełnie innego - powiedziała słabo Duree.

– Czyli?

– Po prostu tak jest.

Jaina potrząsnęła głową. Minęły trzy lata i Duree nadal nie była w stanie wymyślić lepszej odpowiedzi.

– Po prostu wezwij Kristoffa i poślij po Lorenę, zanim zamienię cię w trązkę.

– Zamień mnie w trązkę, a już nigdy nic nie znajdziesz.

Jaina wzniosła ręce do niebios.

– Już teraz nic nie mogę znaleźć. Gdzie są te przeklęte raporty ze statków?

– Kristoff je ma - powiedziała z uśmiechem Duree. - Mam mu powiedzieć, żeby zabrał je ze sobą?

– Proszę.

Duree ukloniła się, przez co znów spadły jej okulary. Później wyszła. Jaina przez chwilę zastanawiała się, czy nie rzucić za nią kulą ognistą, ale uznała, że to zły pomysł. Duree miała rację - bez niej Jaina nic by nie znalazła.

Wkrótce pojawił się Kristoff z kilkoma zwojami w ręku.

– Duree mówiła, że chcecie mnie widzieć, milady. A może pa prostu potrzebujecie tego? - Wskazał na zwoje.

– I to, i to. Dziękuję - dodała, biorąc od niego raporty.

Kristoff był szambelanem Jainya. Podczas gdy ona rządziła Theramore, Kristoff nim kierował. Uwaga, jaką przykładła do irytujących szczegółów, czyniła go idealnym kandydatem na to stanowisko, i tylko on powstrzymał Jainę przed atakami morderczej wściekłości, kiedy bycie przywódcą zbyt ciążyło jej niezbyt szerokim ramionom. Przed wojną był urzędnikiem wysokiego lorda Garithosa i już wówczas jego zdolności organizacyjne były legendarne.

Z pewnością nie osiągnął wysokiego stanowiska dzięki szczególnej sprawności fizycznej. Kristoff był wysoki, lecz bardzo chudy i wydawał się niemal równie delikatny, co Duree, która przynajmniej mogła zrzucić to na karb starości. Jego proste, ciemne, sięgające tuż za ramiona włosy okalały twarz o ostrych rysach i orlim nosie, która zdawała się wiecznie skrzywiona.

Jaina przekazała historię Thralla o ataku na *Orgath'ar* i pobliskim statku patrolowym, który nie zrobił nic, by im pomóc.

Kristoff uniósł wąską brew i stwierdził:

– Ta historia nie brzmi prawdopodobnie. Pół ligi od Ratchet, powiedzieliście?

Jaina pokiwała głową.

– W tym rejonie nie ma żadnych wojskowych okrętów, milady.

– Mgła była gęsta., możliwe, że okręt, który widział kapitan Bolik, zszedł z kursu.

Kristoff pokiwał głową, przyznając jej rację.

– Jednak milady, jest równie prawdopodobne, że kapitan Bolik się pomylił.

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne. - Jaina przeszła na drugą stronę biurka i usiadła na krześle, układając raporty na jedynej wolnej

przestrzeni. - Pamiętaj, że orki mają lepszy wzrok od nas, a na bocianie gniazdo posyłają tylko najlepszych.

– Musimy również rozważyć możliwość, że orki kłamią. - Nim Jaina zdążyła się sprzeciwić, na co miała wielką ochotę, Kristoff uniósł dłoń o długich palcach. - Nie mówię o Thrallu, milady. Wódz orków jest honorowym mężczyzną, to prawda. Dobrze, że mu ufacie, i wierzę, że przekazuje tylko, co powiedział mu jego lud.

– Co w takim razie chciałeś powiedzieć? - Jaina знаła odpowiedź na to pytanie, ale chciała, żeby Kristoff to potwierdził.

– Mówię to samo, co zawsze wam mówiłem, milady... nie wolno nam ślepo ufać orkom. Pojedyncze orki okazały się honorowe, to prawda, ale orki jako całość? Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy założyli, że każdy z nich życzy nam dobrze, i że wszystkie są tak oświecone jak Thrall. Był silnym sojusznikiem przeciwko Płonącemu Legionowi i ogromnym szacunkiem darzę jego dokonania... ale to wszystko jest tymczasowe. - Kristoff położył chude dłonie na biurku i pochylił się w stronę Jainy. - Jedyne co utrzymuje porządek wśród orków jest Thrall, a w chwili, gdy go zabraknie, mogę was zapewnić, milady, orki powrócą do starych zwyczajów i zrobią wszystko, by nas zniszczyć.

Jaina mimowolnie się roześmiała. Słowa Kristoffa były odzwierciedleniem rozmowy jej i Thralla - a jednak wychodząc z jego ust zdawały się mniej rozsądne.

Kristoff wyprostował się.

– Coś was bawi, milady.

– Nie. Wierzę, że przesadzasz.

– A ja wierzę, że nie dostrzegacie zagrożenia. Tylko to miasto chroni Kalimdor przed całkowitym zalaniem przez orki. - Kristoff zawahał się, co

było dla niego nietypowe. Szambelan zrobił wielką karierę dzięki mówieniu bez ogródek co myśli, i była to jedna z jego bardziej użytecznych cech.

– O co chodzi, Kristoffie?

– Nasi sojusznicy są... zatroskani. Wizja kontynentu będącego całkowicie pod władaniem orków dla wielu jest... niepokojąca. Obecnie nie robią zbyt wiele, częściowo dlatego, że są inne kwestie, ale...

– Ale w tej chwili jedynie ja powstrzymuję inwazję?

– Dopóki lady Proudmoore, wielki czarodziej, który zwyciężył Płonący Legion, włada ludźmi w Kalimdorze, reszta świata może spać spokojnie. W chwili, kiedy uwierzą, że lady Proudmoore nie może zapanować nad orkami, to się zmieni. A siły inwazyjne sprawią, że flota waszego nieżyjącego ojca będzie przy nich wyglądać jak parę łódek.

Jaina opadła na krzesło. W rzeczy samej, niewiele myślała o świecie poza Kalimdorem, za bardzo była zajęta walką z demonami, a później budową Theramore. Ale atak jej własnego ojca uświadomił jej, że ci, którzy nie walczyli u boku orków, nadal postrzegali je jako coś niewiele lepszego od zwierząt. Lecz Kristoff powinien znać prawdę. - Co sugerujesz, szambelanie?

– Ten kapitan Bolik może być podżegaczem, próbującym zwrócić Thralla przeciwko wam... przeciwko nam. Nawet z Northwatch jesteśmy właściwie osamotnieni za murami Theramore i łatwo możemy zostać otoczeni przez orki... i gorzej, gdyż trolle są już po ich stronie, a gobliny pewnie nie będą popierać nikogo.

Jaina potrząsnęła głową. Przewidywania Kristoffa były najgorszym koszmarem każdego człowieka na Kalimdorze. Wydawało się, że jeszcze wczoraj byli na najlepszej drodze, by uczynić takie koszmarnie niemożliwością. Handel z orkami szedł gładko, na Ziemiach Jałowych - neutralnym terytorium między Durotarem a Theramore - panował spokój i

porządek, a dwie rasy, które niegdyś się nienawidziły, od trzech lat żyły w pokoju.

Jaina zadawała sobie teraz pytanie, czy jest to zapowiedź tego, jak będzie w przyszłości, czy też tylko czas na odpoczynek i odzyskanie sił po walce z Płonącym Legionem, cisza przed nieuniknioną burzą.

Nim Jaina mogła zacząć się poważniej zastanawiać, do środka weszła wysoka kobieta o kwadratowej twarzy, ostrym nosie i szerokich ramionach. Miała na sobie typowy wojskowy mundur składający się ze zbroi płytowej i zielonego tabardu z symbolem kotwicy, godłem Kul Tiras, ojczyzny rodu Proudmoore.

Zasalutowawszy, powiedziała:

– Pułkownik Lorena melduje się na rozkaz, milady.

Jaina podniosła się.

– Dziękuję, pułkowniku. Spocznij. Czy Duree powiedziała ci, co jest potrzebne?

Obok Loreny Jaina zawsze czuła się malutka, i dlatego wolała stać w jej obecności, żeby choć w taki sposób nieco przydać wzrostu swej drobnej postaci.

Lorena opuściła rękę i splotła ramiona za plecami, ale nadal pozostała idealnie wyprostowana.

– Tak, pani - powiedziała. - W ciągu godziny wyruszamy do Northwatch, posłałam też gońca, żeby poinformował majora Davina o naszym przybyciu.

– Dobrze. To wszystko, dla was obojga.

Lorena zasalutowała, obróciła się na pięcie i wyszła. Kristoff jednak pozostał jeszcze.

Kiedy szambelan się nie odezwał, Jaina zachęciła go.

– O co chodzi, Kristoffie?

– Być może byłoby mądrze, gdyby oddział towarzyszący Lorenie pozostał w Northwatch i pomógł w budowie umocnień.

– Nie - odpowiedziała Jaina bez wahania.

– Milady...

– Orki chciałyby, żebyśmy w ogóle opuścili Northwatch, Kristoffie. I choć rozumiem, dlaczego nie możemy się na to zgodzić, nie zamierzam zrobić czegoś tak prowokującego jak wzmacnianie umocnień, szczególnie kiedy wierzą, że nie pomogliśmy im w walce z piratami.

– Nadal uważam...

– Zostałeś zwolniony, szambelanie - powiedziała lodowatym tonem Jaina.

Kristoff patrzył na nią przez chwilę, po czym uklonił się nisko, szeroko rozłożył ramiona i wyszedł, mówiąc wcześniej:

– Milady.

CZTERY



Nie jestem pewien, czy rozumiem, na czym polega problem, pani pułkownik. Lorena wyglądała przez okno niedużego biura straży w twierdzy Northwatch. Zdanie to wypowiedział major Davin, obecny dowódca twierdzy, który denerwował Lorenę od chwili, gdy przed godziną przybyła z sześćcioosobowym oddziałem. Siedzący na krześle przy niewielkim biurku Davin, przysadzisty brodaty mężczyzna, powiedział Lorenie, że jeden ze statków konwojujących zgubił się we mgle. Być może to właśnie ten statek widziały orki.

Lorena odwróciła się i spojrzała na niego z góry, co nie było trudne, gdyż siedział - ale nawet gdyby stał, i tak była od niego wyższa.

– Problem, majorze, polega na tym, że orki oczekiwały od nas pomocy. I powinny ją otrzymać.

– A po co? - Davin wydawał się autentycznie zdziwiony.

– Są naszymi sojusznikami. - Lorena nie mogła uwierzyć, że musi wyjaśniać takie rzeczy. W czasie wojny Davin odznaczył się bohaterstwem, jako jedyny przeżył brutalną masakrę swego plutonu, w czasie której zginął również eskortowany przez nich czarodziej. Dostarczone przez niego informacje okazały się bezcenne.

Teraz jednak wojenny bohater tylko wzruszył ramionami.

– Pewnie, walczyły przy naszym boku, lecz to była konieczność. One nie są nawet cywilizowane, pani pułkownik. Tolerujemy je tylko ze względu na Thralla, a jego tylko dlatego, że wychowali go ludzie. Nie obchodzi nas, co się z nimi stanie.

– Lady Proudmoore nie zgodziłaby się z tym stwierdzeniem - odparła Lorena z napięciem w głosie. - Ja również.

Odwróciła się. Za oknem rozciągał się wspaniały widok na Wielkie Morze i Lorena stwierdziła, że woli to niż spoglądanie na poirytowaną twarz Davina.

– Wysłałam swoich ludzi, by odnaleźli kapitana Avinala i jego załogę, bo chcę usłyszeć ich wersję opowieści.

Teraz Davin wstał.

– Z całym szacunkiem, pani pułkownik, nie ma *ich wersji*. Łódź Avinala zgubiła się, wróciła na kurs. Dotarła do domu. Jeśli orczy statek został zaatakowany przez piratów, to trudno, ale to nie nasz problem.

– Właściwie to nasz. - Nie chciała się nawet do niego odwracać. - Piraci nie są wybredni, jeśli chodzi o wybór celów. Napadają na gobliny, orki, trolle, ogry, elfy, krasnoludy... albo na ludzi. Jeśli w pobliżu Ratchet działają piraci, jest to jak najbardziej nasza sprawa.

– Pełnię tu służbę od trzech lat. - Tym razem Davin wydawał się rozdrażniony. - Nie musi mi pani mówić o piratach.

– Jeśli tak, to dlaczego musiałam panu przypominać, czemu napaść na orczy statek jest naszym kłopotem?

Do drzwi ostrożnie zapukał niski szeregowiec, którego mundur uszyto na osobę przewyższającą go co najmniej o głowę.

– Eee, sir, przyszło parę osób, chcą porozmawiać z panem i panią pułkownik, więc jeśli to możliwe, sir...

- Kto? - spytał Davin.
- Eee, kapitan Avinal, sir, i żołnierz, którego nie znam, sir.
- To pewnie Strov - odparła Lorena. - To jemu kazałam sprowadzić tu kapitana.

Davin popatrzył na Lorenę.

- Po co niepokoić człowieka i ściągać go na posterunek straży jak pospolitego przestępcę?

Lorena natychmiast zaczęła układać w myślach list do lady Proudmoore i generała Norrisa, w którym sugerowała przeniesienie Davina do kuchni.

- Po pierwsze, majorze, pomyślałam, że wolałby pan, abym rozmawiała z kapitanem w pańskiej obecności. Po drugie - czy zwykle ściągacie pospolitych przestępców na posterunek, czy też od razu wsadzacie ich do paki?

Najwyraźniej Davinowi wystarczyło patrzeć na nią ze złością, gdyż nie odpowiedział na to pytanie. Dlatego to Lorena zwróciła się do młodego strażnika:

- Proszę wprowadzić obu, szeregowy.

Strażnik spojrział na Davina, co zirytowało Lorenę. Major skinął głową i dopiero wtedy młodzieniec się cofnął.

Do biura weszło dwóch mężczyzn. Strov był najbardziej przeciętnym człowiekiem, jakiego знаła Lorena - przeciętny wzrost, waga, budową ciała, brązowe włosy i oczy, niewielki wąsik. Wyglądał jak każdy dorosły mężczyzna na tym świecie; był to jeden z powodów, dla których był tak dobrym tropicielem. Wtapiał się w tłum tak doskonale, że nikt w ogóle nie zauważał jego obecności.

Za Strovem wszedł mężczyzna o wyglądzie doświadczonego żeglarza. Twarz miał pokrytą zmarszczkami i ogorzałą od przebywania na słońcu,

szedł niepewnie, jakby się obawiał, że podłoga pod jego stopami zacznie się kołysać.

– Kapitanie Avinal - powiedział Davin, na powrót siadając na swoim krześle - to pułkownik Lorena. Lady Proudmoore wysłała ją, by dowiedziała się, dlaczego piracki okręt zaatakował statek orków.

– Sądziłem, że to oczywiste, pani pułkownik.

Lorena, rzuciwszy okiem na Davina, przyjrzała się Avinalowi.

– Major niezbyt dokładnie wyjaśnił, dlaczego tu jestem. Wiem, dlaczego statek piracki zaatakował orczego kupca... nie wiem natomiast, dlaczego im nie pomogliście.

– To dlatego on i jego ludzie niepokoiłi moją załogę? - spytał Avinal, wskazując na Strova.

– Kapitanie, szeregowiec Strov i jego koledzy wypełniają rozkazy lady, podobnie jak ja.

– Muszę ruszać na patrol, pani pułkownik. Jeśli to może zaczekać...

– Nie, kapitanie, nie może.

Avinal spojrzał na Davina. Oficer wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie leży w jego kompetencjach, a kapitan rzucił Lorenie mordercze spojrzenie.

– Dobrze. Kiedy ten atak miał miejsce?

– Pięć dni temu. Według majora Davina, byliście tego ranka w gęstej mgle.

– Tak jest.

– Widzieliście tego ranka jakieś inne okręty?

– Możliwe... widziałem tu i tam jakieś kształty, które wyglądały na okręty, ale nie jestem całkiem pewien. Raz byliśmy blisko łodzi, tyle wiem - słyszałem jej róg przeciwmgielny.

Lorena kiwnęła głową. To zgadzało się z tym, co orki powiedziały lady Proudmoore.

– Ale nie widzieliśmy niczego na pewno. Faktem jest, że nie widziałem nawet czubka własnego nosa. Pani pułkownik, pływam od pięćdziesięciu lat i nie widziałem jeszcze takiej mgły. Po pokładzie mógłby się przejść sam Sargerias i nie zauważyłbym tego. Szczerze mówiąc, z trudem powstrzymywałem swoich ludzi od buntu. Nikt z nas nie miał czasu przejmować się jakąś bandą zielonoskórych.

Lorena patrzyła na kapitana przez kilka sekund, po czym westchnęła:

– Dobrze kapitanie, dziękuję. To wszystko.

Avinal wyszedł, mamrocząc pod nosem coś o stracie cennego czasu.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Strov powiedział:

– Większość jego załogi mówi to samo.

– Jasne, że tak - odparł Davin. - Ponieważ to prawda, to jasne dla każdego, kto się nad tym choć przez chwilę zastanowi.

Lorena odwróciła się do majora.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie wspomniał pan, że kapitan Avinal przepływał blisko innej jednostki... i że użyła ona swojego rogu przeciwmgielnego?

– Nie sądziłem, że ma to jakikolwiek związek z naszą sprawą.

Lorena zmieniła układany w myślach list tak, by Davin trafił do latryny.

– Ocenianie związków różnych wydarzeń nie jest pańskim zadaniem, majorze. Pańskim zadaniem i obowiązkiem jest wypełnianie rozkazów przełożonych.

Davin westchnął ciężko.

– Proszę posłuchać, pani pułkownik... została pani tu przysłana by się dowiedzieć, czy kapitan Avinal uczynił coś niewłaściwego. Nie uczynił.

Jakie to ma znaczenie, czy jakaś banda zielonoskórych pozwoliła odebrać sobie ładunek?

– Właściwie to nie pozwoliła; sami odpędzili piratów.

Davin znów się zerwał, spoglądając na Lorenę tak, jakby ta oszalała.

– Zatem... z całym szacunkiem dla pani pułkownik, jaki sens ma to całe dochodzenie? Zielonoskórzy nie potrzebowali naszej pomocy, dlaczego więc traktuje nas pani jak przestępców? Jak już powiedziałem, nie zrobiliśmy niczego złego.

Lorena pokręciła głową, nie mogąc zgodzić się z tym stwierdzeniem.

PIĘĆ



Byrok nawet nie przypuszczał, że chodzenie na ryby będzie najszczęśliwszym czasem jego życia. Mogłoby się wydawać, że nie jest to dobre zajęcie dla orka. Z łowieniem ryb nie wiązała się żadna walka, żadna sława, żadne wyzwanie, żaden sprawdzian sił w pojedynku z równym sobie przeciwnikiem. Nie posługiwano się bronią, nie rozlewano krwi. Nie chodziło jednak o to co robił, ale dlaczego. Byrok zajął się rybołówstwem, ponieważ był wolny. Jako młodzik nasłuchiwał się fałszywych obietnic Gul'dana i jego Rady Cieni, obiecującej nowy świat, gdzie niebo jest błękitne, a mieszkańcy łatwo dadzą się podbić dominującej nacji orków. Byrok, wraz z innymi członkami swego klanu, postąpił według wskazówek Gul'dana nieświadom, że on i rada wypełniają polecenia Sargerasa i jego przeklętych demonów, nigdy nie zdając sobie sprawy, że ceną za nowy świat będą ich dusze. Minęło dziesięć lat, nim orki zostały pokonane. Zostały niewolnikami albo demonów, których uważały za swoich dobroczyńców, albo ludzi, którzy okazali się mieć w sobie więcej zapału do walki, niż demony sądziły.

Magia demonów sprawiła, że wspomnienia Byroka z ojczystego świata stały się niewyraźne. Ze względu na brak zainteresowania, podobnie stało

się ze wspomnieniami życia w ludzkich kajdanach. Pamiętał tylko, że praca była mordercza i zabiła tę reszkę jego duszy, którą mu pozostawiły demony.

A potem pojawił się Thrall.

Od tamtego momentu wszystko się zmieniło. Thrall, syn wielkiego Durotana - którego śmierć na wiele sposobów wyznaczała kres wcześniejszego stylu życia orków - uciekł swoim właścicielom i wykorzystał przeciw ludziom ich własną taktykę. Przypomniwał orkom ich dawno zapomnianą przeszłość.

W dniu, w którym Thrall i jego stale rosnąca armia uwolnili Byroka, przysiągł on sobie, że będzie służył młodemu orkowi, dopóki któryś z nich nie umrze.

Jak na razie śmierć nie nadchodziła, i to mimo wszelkich starań, jakich dokładały hordy demonów i ludzie-żołnierze. Jednak jeden z pomniejszych członków Płonącego Legionu zabrał Byrokowi oko. W zamian Byrok zabrał jego głowę.

Kiedy walka dobiegła kresu i orki osiadły na Durotarze, Byrok poprosił o zwolnienie ze służby. Obiecał, że jeśli tylko zabrzmi sygnał do walki, stanie pierwszy w szeregu, nawet z jednym okiem, lecz teraz chciał spożytkować wolność, o którą tak zawzięcie walczył.

Thrall naturalnie zwolnił go, podobnie jak wszystkich, którzy o to prosili. Rzecz jasna Byrok nie musiał łowić ryb. Na Durotarze było wiele doskonałej ziemi, jednak ludzie zamieszkiwali bagniste tereny na południu, gdzie nie mogli uprawiać zbóż, skupili się więc na łowieniu ryb. Sprzedawali swoje zdobycze orkom w zamian za ich plony.

Lecz Byrok nie chciał żadnej złowionej przez człowieka ryby. O ile to tylko było możliwe, nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Tak, ludzie walczyli u boku orków przeciwko Płonącemu Legionowi, lecz to był sojusz

z konieczności. Ludzie byli potworami, a Byrok nie chciał mieć nic wspólnego z tak niecywilizowanymi stworzeniami.

Dlatego, kiedy jednooki ork zobaczył sześciu ludzi w swoim ulubionym miejscu na Brzegu Martwego Oka, było to dla niego dużym zaskoczeniem.

Po pierwsze, miejsce połowów Byroka otaczała łąka, porośnięta wysoką trawą. Brak oka sprawił, że jego zdolności tropicielskie nieco osłabły, lecz nadal nie widział żadnych śladów, by ktokolwiek poza nim przechodził przez trawę - zwłaszcza ludzie, którzy jak na tak małe, lekkie istoty, poruszali się całkiem jawnie. Byrok nie widział też w okolicy swego łowiska żadnych statków powietrznych ani łodzi.

Jednak sposób, w jaki tu przybyli, nie był dla Byroka tak ważny jak fakt, że w ogóle przybyli. Odłożywszy swój sprzęt do połowu, odwiązał z pleców morgensztern. Broń była prezentem od Thralla, który dał mu go w chwili uwolnienia, i Byrok nigdzie się bez niej nie ruszał.

Gdyby na miejscu ludzi były inne orki, mógłby je zapytać, co tu robią, lecz od ludzi - a zwłaszcza ludzkich przybłęd - nie potrzebował takich wyjaśnień. Pozna ich zamiary znacznie bardziej subtelnyimi środkami. W najlepszym razie byli głupcami, którzy zapuścili się zbyt daleko na północ i nie zdali sobie sprawy, że dokonali najazdu na orcze ziemie. Byrok żył wystarczająco długo i zaczynał rozumieć, że głupota była znacznie częstszym wyjaśnieniem, niż zła wola.

W najgorszym przypadku mogli to być rzeczywiście najeźdźcy, a jeśli tak było, Byrok nie pozwolił im odejść ze swojego łowiska z życiem.

Ork nauczył się w niewoli ludzkiego języka, dlatego rozumiał, o czym cała szóstka rozmawia - a przynajmniej to, co zdołał podsłuchać. Z miejsca, gdzie przykucnął w wysokiej trawie, mógł usłyszeć zaledwie kilka słów.

Jednak to, co usłyszał, nie brzmiało zachęcająco. Jednym było *pokonać*, drugim *Thrall*. Podobnie jak *Zielonoskórzy*, którym to poniżającym

określeniem ludzie nazywali orki.

A potem usłyszał zdanie:

– Zabijemy je wszystkie i zagarniemy kontynent dla siebie.

Kolejny zadał jakieś pytanie, z którego Byrok zrozumiał tylko słowo *troll*. Ten, który chciał zagarnąć cały kontynent, odpowiedział:

– Je też zabijemy.

Rozgarnąwszy trawy, Byrok baczniej przyjrzał się ludziom. Nie zauważył w nich niczego szczególnego - dla orka wszyscy ludzie wyglądali tak samo - lecz zdołał zauważyć, że dwaj, stojący najbliżej niego, nosili symbol płonącego miecza: jeden jako tatuaż na ramieniu, drugi jako kolczyk.

Byrok przypomniał sobie, gdzie widział ten symbol, i krew mu zastygła w żyłach. Było to dawno temu, kiedy orki przybyły do tego świata na wezwanie Gul'dana: grupa nazywała się Płonące Ostrze, a na swoich zbrojach i sztandarach nosiła ten właśnie symbol. Płonące Ostrze były jednymi z najbardziej zagorzałych zwolenników Rady Cieni. Zostali potem pokonani, nie pozostał nikt z tego kochającego demony klanu.

Mimo to ci ludzie nosili ich symbol i mówili o zabiciu Thralla.

Byrok zerwał się na równe nogi i pobiegł w stronę całej szóstki, wywijając nad głową morgenszternem. Nawet przy całej jego masie, jedynym dźwiękiem był świst łańcucha, łączącego trzymaną przez orka rękojeść z dużą, żelazną kulą z kolcami, zataczającą kręgi wokół jego głowy.

Niestety, to wystarczyło. Dwaj ludzie - ci z symbolami Płonącego Ostrza - odwrócili się. Byrok wybrał za cel najbliższego z nich i cisnął morgenszternem prosto w jego ogoloną głowę. Nie przejmował się, że straci broń - żaden człowiek nie potrafiłby jej unieść, więc będzie spokojnie leżeć, dopóki znów jej nie chwyci.

- Ork!
- W samą porę!
- Zabić go!

Ponieważ nie było już mowy o zaskoczeniu, zaryczał głośno - to zawsze przerażało ludzi - i skoczył na człowieka z brodą. Jego wielka pięść zetknęła się z głową człowieka.

Łysol trzymał się za ramię - ku rozczarowaniu Byroka uniknął trafienia w głowę - i usiłował podnieść morgensztern. Gdyby ork miał czas, mógłby się nawet roześmiać.

Teraz jednak był zbyt zajęty łapaniem głowy drugiego człowieka, by rzucić nią w pozostałych. Nic jednak z tego nie wyszło, bo z prawej zaatakował go następny.

Przeklinając się za to, iż zapomniał, że z tej strony jest ślepy, Byrok zamachnął się prawą ręką, nawet kiedy jego bok przecięła błyskawica bólu.

Skoczyło na niego jeszcze dwóch, jeden uderzył pięścią, drugi nacierał z mieczem. Byrok zdołał stanąć pierwszemu na nodze i natychmiast ją złamać. Wrzask ofiary tylko zachęcił orka, który powtórzył manewr, jednak przeciwników było zbyt wielu. Nawet mimo tego, że dwaj z nich zostali poważnie ranni, dalej rzucali się na niego, a bez broni Byrok nie zdołałby pokonać sześciu ludzi.

Świadom, jak bardzo potrzebuje swego oręża, nabrał powietrza w płuca i wypuścił je z głośnym rykiem, z całej siły uderzając obiema pięściami do przodu. Zrzucił z siebie przeciwników tylko na chwilę, ale tylko chwila była mu potrzebna. Rzucił się w stronę morgenszterna, zaciskając palce na rękojeści.

Jednak nim zdołał go unieść, dwaj ludzie zaczęli bić go po głowie, a inny wbił mu sztylet w lewe udo. Byrok zamachnął się ramionami, żelazna kula przecięła powietrze, mijając ludzi o centymetry.

A potem, jakkolwiek bardzo się za to nienawidził, Byrok uciekł.

Było to dla niego trudne nie tylko dlatego, że wciąż tkwiący w udzie sztylet spowalniał jego bieg. Ucieczka z pola bitwy była hańbą, lecz Byrok wiedział, że ma do wykonania znacznie ważniejsze zadanie - Płonące Ostrze wróciło, tylko rym razem w ludzkiej postaci. Wszyscy jego przeciwnicy, nie tylko ci dwaj, których zauważył wcześniej, nosili ów symbol: jako naszyjnik, tatuaż lub cokolwiek innego.

I tę właśnie wieść musiał zanieść Thrallowi.

Dlatego Byrok biegł.

A raczej kuśtykał. Rany zaczęły dawać znać o sobie. Nawet oddychanie zaczęło sprawiać mu trudność.

Mimo to biegł dalej.

Jak przez mgłę zauważył, że sześciu ludzi go ściga, lecz nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie. Musiał wrócić do Orgrimmaru i powiedzieć Thrallowi, co się stało. Nawet mimo ran jego kroki były dłuższe niż ludzi, dlatego wiedział, że zdoła im uciec. Kiedy oddali się odpowiednio, zgubi ich w zaroślach swojej krainy, którą znał lepiej, niż jakkolwiek przybysz. Poza tym wydawało się, że tamci chcieli po prostu zapolować na orka. Prawdopodobnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że Byrok rozumiał ich plugawy język i dlatego nie wiedzieli, że ork rozpoznał, kim są. Będą ścigać go tylko tak długo, póki uznają to za użyteczne dla nich.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

W jego głowie nie było już myśli. Odpędził je wszystkie z wyjątkiem zdecydowanego nakazu stawiania jednej nogi za drugą, aż ziemia dudniła pod jego stopami. Ignorował ból w nodze i w tych wszystkich miejscach, gdzie go uderzyli albo skaleczyli, ignorując fakt, że jego jedyne oko zaczyna zasnuwać mgła, że zmęczenie wyciąga mu z kończyn wszystkie siły.

Nadal biegł.

A potem się potknął. Lewa noga nie chciała się unieść tak, jak powinna, zaś prawa wciąż była w ruchu i tak doszło do upadku. Piach i źdźbła wysokiej trawy dostały mu się do nosa, ust i oka.

Muszę... wstać...

– Nigdzie nie pójdziesz, potworze - usłyszał Byrok przez tupot ludzkich stóp, a potem poczuł ucisk, kiedy dwóch ludzi usiadło mu na plecach, skutecznie go unieruchamiając.

– Ponieważ tak się składa, że nadszedł twój kres. Orki nie należą do tego świata, więc cię z niego usuniemy. Pojmujesz?

Byrok zmusił się do uniesienia głowy tak, by zobaczyć dwóch ludzi. Splunął na nich.

Ludzie roześmieli się.

– Do roboty, chłopcy. *Galtak Ered'nash!*

– *Galtak Ered'nash!* – odpowiedzieli wszyscy i zaczęli bić orka.

SZEŚĆ



Godzinę po rozmowie z Davinem i Avinalem pułkownik Lorena zebrała swój oddział na polanie tuż za Northwatch. Wokół było pełno skał i gęstych drzew, na nierównym terenie wyrastały pędy szaławii. Słońce świeciło, dzięki czemu wszystko zdawało się lśnić - lecz także sprawiało, że wszystkim było gorąco w płytowych zbrojach.

Większość członków oddziału Lorena wzięła po prostu z góry listy, lecz dwie osoby starannie wybrała. Strov, chociaż młody, był jej najbardziej zaufanym żołnierzem - wypełniał swoje obowiązki bez zbędnych pytań, w razie potrzeby potrafił improwizować, lecz kiedy nie było to konieczne, wypełniał rozkazy co do joty. Mógł też podążać za kimkolwiek nie tracąc go z oczu ani nie dając swemu celowi poznać, że jest śledzony.

Drugi stanowił całkowite przeciwieństwo Strova: Jalod był starym żołnierzem, który walczył z orkami, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, kim one są. Chodziły plotki, że szkolił samego admirała Proudmoore'a, choć Lorena niezbyt w to wierzyła. W każdym razie widział wszystko, robił wszystko i żył na tyle długo, by opowiadać o tym niestworzone historie.

– Jak powiedziałem w biurze straży, pani, pozostali członkowie załogi potwierdzają słowa kapitana Avinala - mówił Strov. - Nie mogli ich

dostrzec. Wątpię, by mieli jakieś informacje, że *Orgath'ar* albo piraci w ogóle tam są.

– A jeśli nawet wiedzieli - dodał żołnierz imieniem Paolo - to nie byli w nastroju do pomagania komukolwiek. Żeglarze, z którymi rozmawiałem, byli przerażeni, kiedy o tym mówili.

Mal, który wiele lat temu służył w marynarce Azeroth, pokiwał głową.

– Nie można ich za to winić. Mgła zawsze jest najgorsza. Nie ma jak zorientować się w okolicy. Najlepiej jest wtedy po prostu rzucić kotwicę i czekać, aż się rozwieje. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że tego nie zrobili.

– Jakie to ma znaczenie?

To był Jalod. Lorena zmarszczyła czoło. - O co...?

– Te orki zdziesiątkowały flotę admirała Proudmoore'a! Zabiły jednego z najlepszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli! Gdybym to ja dowodził statkiem Avinala, to pomógłbym piratom. Wstyd, że lady Proudmoore zdradza własny gatunek dla tych dzikusów - zdradziła dla nich własnego ojca. To wstyd, że zmusza nas do robienia tego, kiedy powinniśmy ruszyć na te potwory!

Słyszając te słowa, wszyscy zaczęli wiercić się niespokojnie.

Wszyscy, z wyjątkiem Loreny, która wyciągnęła miecz i przyłożyła jego czubek do gardła Jaloda. Stary mężczyzna wydawał się być tym zaskoczony, niebieskie oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Nigdy w mojej obecności nie wyrażajcie się niepochlebnie o lady Proudmoore, sierżancie - powiedziała Lorena powoli i dobitnie. - Nie obchodzi mnie, pod czyimi rozkazami służyliście, ani ile trolli i demonów zabiliście. Jeśli jeszcze raz choćby pomyślicie w ten sposób o lady Proudmoore, rozpruję was po gardło i nakarmię waszymi flakami psy. Zrozumiano?

Strov zrobił krok w jej stronę.

– Jestem pewien, że sierżant nie zamierzał okazywać braku szacunku dla lady, pani.

– Pewnie, że nie - odparł drżącym głosem Jalod. - Nie żywię dla niej nic poza szczerym szacunkiem, pani, wiesz o tym. Ja tylko...

– Tylko co?

Jalod przełknął z trudem ślinę, jego grdyka skakała pod naporem czubka miecza Loreny.

– Orkom nie można ufać, to chciałem powiedzieć.

Jalod chciał powiedzieć nie tylko to, lecz Lorena i tak opuściła miecz. Dziesiątki lat służby sprawiały, że wiele rzeczy świadczyło na jego korzyść, a te słowa bardzo nie pasowały do człowieka, który od lat gorliwie służył lady Proudmoore, właściwie od czasów, zanim jeszcze Arthas został odmieniony. W rzeczy samej, gdyby powiedział to kto inny, nie ostrzegaliby, tylko od razu zabrała za patroszenie.

Schowawszy miecz, Lorena stwierdziła:

– Wracajmy do doków. Czeka nas długa podróż do domu.

Gdy maszerowali w stronę portu, gdzie stał ich okręt, Lorena zastanawiała się, co się dzieje. Przez całe dorosłe życie była żołnierzem. Jako najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa, i do tego jedyna córka, chciała być żołnierzem jak jej ojciec i, bracia. Nawet udało jej się przekonywać samą siebie, że jest chłopcem, aż do trzynastego roku życia, gdy ciało zmusiło ją do przyznania, że jest kobietą. Tak dobrze posługiwała się mieczem i tarczą, że ojciec przewyciężył niechęć i pozwolił jej zgłosić się do straży Kul Tiras. Przez lata wspinała się coraz wyżej, aż sama lady Proudmoore nadała jej tytuł pułkownika podczas wojny z Płonącym Legionem.

Przez te lata wyczuła swoje instynkty - instynkty żołnierza z dziada pradziada - i przeczucia mówiły jej teraz, że chodzi tu o coś więcej niż tylko wojskowy konwój, który nie zauważył kupieckiego statku i piratów atakujących go we mgle. Od kiedy pojawiła się w Northwatch, gdzieś z tyłu jej głowy tkwiły podejrzenia, a słowa Jaloda tylko je potwierdziły. Nie była do końca pewna, co jest nie tak, ale zamierzała się dowiedzieć.



Gdy maszerowali w stronę krawędzi polany, szeregowy Strov nie spuszczał oczu z sierżanta Jaloda. Nie był pewien, co opętało starego sępa, lecz Strovowi wcale się to nie podobało.

Narzekanie na orki to jedno. Tego mógł się spodziewać, biorąc pod uwagę historię, choć sam Strov postrzegał orki raczej jako ofiary demonów. Nienawidzenie ich miało tyle sensu, co nienawidzenie Medivha, a jego czczono jako bohatera, mimo tego, co zrobiły mu demony. Rozumiał jednak, dlaczego ludzie mogą darzyć orki niechęcią.

Ale lady Proudmoore? Jedyni, którzy mogli myśleć o niej źle, to Płonący Legion i jego sympatycy.

Jalod w przeszłości nie miał do nich sentymentu. I dlatego Strov zaczynał się zastanawiać, czy sierżant przypadkiem nie traci rozumu. Nic niezwykłego - zdarzało się to najlepszym - lecz mogło im zagrozić. W trakcie szkolenia wbijano im do głów, że mogą polegać na członkach swojego oddziału. Strov nie był wcale przekonany, że może polegać na Jalodzie.

Szeregowy tak bardzo koncentrował się na nie traceniu sierżanta z oczu, że z opóźnieniem zauważył coś, co powinien był spostrzec wcześniej.

Drzewa i skały wraz z kilkoma magazynami wykorzystywanymi przez Northwatch tworzyły niemal okrągłą granicę. Gdy zbliżyli się do krawędzi tego okręgu, Strov ujrzał cztery postacie w płaszczach kryjące się za magazynami, drzewami lub skałami. Byli dobrze schowani, lecz Strov miał naprawdę świetny wzrok.

– Zasadzka!

Na okrzyk Strova cała siódemka przykucnęła w gotowości i wyciągnęła miecze. Jednocześnie siedem postaci - Strov nie zauważył trzech z nich - wyskoczyło z ukrycia.

Postacie były potężne, a ich płaszcze nie mogły ukryć, iż były orkami - choć doskonale ukrywały wszelkie ewentualne wyróżniające się cechy.

Parując skierowany w stronę jego głowy cios maczugą, Strov zauważył coś jeszcze - wszystkie płaszcze miały na piersi symbol miecza w ogniu. Strov go kojarzył, ale nie miał czasu się teraz nad tym zastanawiać, gdyż okryty płaszczem ork robił wszystko, żeby pozbawić go życia.

Ork jeszcze trzy razy zamachnął się maczugą, a Strov trzy razy sparował cios, lecz za czwartym razem zrobił krok do przodu i kopnął orka w brzuch. Przeciwnik, nie spodziewający się takiego ataku, zatoczył się, a Strov pchnął mieczem. Ork zachował jednak tyle sił, by zablokować pchnięcie swoją maczugą.

Na nieszczęście dla orka, w ten sposób Strov przeszedł do ofensywy. Próbował różnych pchnięć i cięć, próbując zaskoczyć przeciwnika, lecz ten był dobrze wyszkolony i odznaczał się niesamowitym wprost refleksem - i był gotów na wszelkie dodatkowe ciosy pięścią czy kopnięcia. Strov wiedział, że wielu ludzi polega wyłącznie na mieczu, lecz on sam wolał wykorzystywać w walce całe ciało.

Strov pchnął niżej z nadzieją, że ork sparuje wystarczająco nisko, by dać okazję do ciosu w głowę. Ork jednak spodziewał się czegoś takiego i

trzymał maczugę jedną ręką, drugą zaś uniósł do góry, zasłaniając twarz.

Dlatego Strov kopnął orka w nogę.

Kopnięcie nie było na tyle mocne, by połamać kości, lecz ork zatoczył się i zamachał rękami, by utrzymać równowagę. To pozwoliło Strowowi przebić jego pierś mieczem.

Tak w każdym razie sądził. Miecz bez trudu przebił płaszcz, zagłębiając się aż do połowy, lecz Strov nie czuł, by przebijał ciało. A kiedy wyszarpnął ostrze - co okazało się zadziwiająco trudne - na klindze nie było krwi.

Strov zacisnął zęby, nie pozwalając, by zaskoczenie odwróciło jego uwagę od przeciwnika, który znów odzyskał równowagę.

Strov odetchnął głęboko, zrobił krok do przodu i się nie poddawał. Próbował ciąć orka w szyję, został sparowany, natychmiast spróbował ciosu w brzuch, znów w szyję i w nogi. Jego ramiona aż rozmywały się w powietrzu, gdy popychał orka coraz bardziej do tyłu, nie dając mu chwili wytchnienia i pozwalając mu jedynie z trudem parować ciosy - w nadziei, że prędzej czy później przebije się przez zasłonę.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się miecz, kierujący się w stronę głowy orka. Płaszcz został rozcięty i pół kaptura opadło, ukazując wściekłą, zieloną twarz orka. Na jego lewym kcie był wyrzeźbiony płonący miecz.

Ostrze, które pojawiło się tak niespodziewanie, należało do pułkownik Loreny. Strov uznał, że wcześniej pozbyła się swojego przeciwnika.

Jeśli zaś chodzi o orka, wypowiedział w swoim języku rozkaz odwrotu, po czym wszyscy wykrzyknęli jedno zdanie:

– *Galtak Ered'nash!*

Strov znał wiele języków, w tym orczy, trolli, goblini i krasnoludzki, nie wspominając o wszystkich czterech dialektach elfiego. Nigdy wcześniej nie słyszał jednak tego zdania.

Kiedy przeciwnicy rzucili się do ucieczki, Strov rozejrzał się i ujrzał, że Ian i Mał zostali powaleni - ten pierwszy leżał martwy z rozszarpanym gardłem, ten drugi żywy, lecz ranny w nogę - lecz on sam, Lorena, Jalod, Paolo i Clai nie zostali ranni. Jeden z orków również został powalony, a pozostała szóstka, w tym dwa krwawiące, uciekała.

– Strov, Clai, ruszajcie w pogoń - powiedziała Lorena, biegnąc w stronę Mała.

Clai był najbardziej brutalnym wojownikiem w całym oddziale. Strov zauważył, że na mieczu jego towarzysza jest dużo orczej krwi.

– Udało ci się trafić w ciało? - spytał Strov, gdy ruszyli w tę samą stronę, co pozostała szóstka orków.

Clai przytaknął.

– Tylko, jeśli udało mi się trafić w głowę albo w szyję. Jakby ich ciała były z dymu, czy coś takiego.

Postacie przebiegły pod jedną z płaczących wierzb, których gałęzie stanowiły niemal mur. Clai i Strov przebiegli na drugą stronę kilka kroków za nimi i zobaczyli...

...nic. Nie było ani śladu orków. Urywał się nawet szlak krwi dwóch rannych. Widzieli okolicę w promieniu pół ligi - orki nie mogły się ukryć w tak krótkim czasie.

Strov zatrzymał się i odetchnął głęboko.

– Czujesz to?

Clai potrząsnął głową.

– Siarka. I zioła... tymianek, jak sądzę.

– I co? - Clai wydawał się zmieszany.

– Magia. Co również wyjaśnia, dlaczego nie byliśmy w stanie ich zranić..

– Demony? - spytał Clai z niemal szaleńczym błyskiem w oku.

– Módl się, żeby nie. - Strov zadrżał. Clai był młodzikiem, rekrutem zbyt młodym, by walczyć z Płonącym Legionem. Jego żądza walki z demonami była typowa dla kogoś, kto nigdy nie musiał tego robić.

Strov odwrócił się i popędził do Loreny, a Clai podążył za nim.

Pułkownik klęczała przy Malu razem z Paolo, który opatrywał rany żołnierza. Widząc Strova i Claia, zerwała się na równe nogi i spytała gniewnie:

– Co się stało?

– Zniknęli, pani. Całkowicie, nawet ślady krwi. I śmierdzi magią.

Lorena splunęła.

– A niech to! - Wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby, po czym wskazała na płaszcz na ziemi. - Ale wszystko do siebie pasuje. Jak widać, ten tu nie zostanie przesłuchany.

Strov przyjrzał się uważnie i uświadomił sobie, że płaszcz leży płasko na ziemi. Kiedy poruszył go mieczem, ze środka wysypało się trochę popiołu. Wówczas spojrzął z powrotem na pułkownik.

– Z pewnością magia - powiedziała, kiwając głową.

– Pani, było coś znajomego w... - I wtedy właśnie Strov uświadomił sobie, o co chodziło, gdy przypomniał sobie niedawną rozmowę z bratem. - Mam!

– O co chodzi, szeregowy?

– Kiedy ostatnim razem byłem w domu, mój brat Manuel powiedział mi o grupie, która każe nazywać się Płonącym Ostrzem. Ktoś próbował go zwerbować, kiedy ostatnim razem był w *Zgubie demonów*. Mówił, że szukają ludzi, którzy nie są zadowoleni z obecnego stanu rzeczy, ale nic więcej nie powiedział.

Jalod prychnął.

– Nikt nie jest zadowolony z obecnego stanu rzeczy, ale to nie powód, żeby organizować spotkania.

Strov uznał to za dziwne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co Jalod mówił wcześniej, lecz nie zareagował od razu, tylko dalej rozmawiał z pułkownik.

– Pani, ork, z którym walczyłem, miał ognisty miecz wyrzeźbiony na kle.

– Płonące ostrze. - Lorena potrząsnęła głową. - Ten, z którym walczyłam... który zmienił się w popiół... miał płonące ostrze zwisające z kolczyka w nosie.

Clai podniósł rękę.

– Za pozwoleniem, pani?

Lorena pokiwała głową.

– Jeden z moich przeciwników też je miał... tak jak ten, z którym walczył szeregowy Strov, pani, wyrzeźbiony w kle.

– A niech to. - Spojrzała na Paola, który stał nad Malem. - Jak z nim?

– Potrzebuje prawdziwego uzdrowiciela, lecz wytrzyma transport do Theramore. - Spojrzał ponad Loreną na główną część Northwatch. - Nie zaufałbym szpitalowi w tym miejscu, pani.

– Ja również, pani - powiedział Mal przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze. - Lorena schowała miecz do pochwy nie wycierając go, po czym ruszyła w stronę doków. - Kiedy wejdziemy na pokład, dajcie mu trochę mojej whisky, żeby złagodzić ból.

– Pani pułkownik jest szczodłą kobietą - powiedział Mal ze słabym uśmiechem.

Lorena odpowiedziała z półuśmiechem.

– Nie aż tak. Tylko na dwa palce i ani kropli więcej. To świństwo jest drogie.

Paolo gestem wezwał Claia i obaj podnieśli Mała. Utrzymywali jego nogę nieruchomo, niosąc go w stronę doków. Strov podniósł okrwawione ciało Iana.

Kiedy szli, Lorena odezwała się do niego.

– Szeregowy, kiedy wrócimy do Theramore, chcę, żebyś porozmawiał ze swoim bratem. Chcę się dowiedzieć wszystkiego, co się da, o tym Płonącym Ostrzu.

– Tak, pani.

SIEDEM



Znajdująca się w otoczonej kamiennym murem siedzibie Thralla, komnata była chłodna. Thrallowi to odpowiadało - orki nie lubiły zimna, więc czuły się tu niewygodnie. Odkrył, że dobrze, jeśli jego lud nie czuje się wygodnie w obecności swojego przywódcy. Dlatego też, kiedy budowla powstawała, upewnił się, że mury będą grube i nie będzie okien. Jedynym źródłem światła były lampy, nie pochodnie, gdyż dawały mniej ciepła.

Nie było jednak tak zimno, by zrobiło się nieprzyjemnie. Nie chciał, żeby jego poddani cierpieli podczas audiencji, ale nie chciał też, by czuli się całkowicie swobodnie. Thrall przeszedł trudną drogę, i wiedział jak cenna - i niepewna - jest jego obecna pozycja. Dlatego też wykorzystywał każdą okazję, jaka się nadarzała, nawet tak drobną, jak utrzymywanie chłodu w sali tronowej.

Spotkał się z Kalmarem, swoim szamanem, i Burxem, najpotężniejszym wojownikiem. Obaj stali przed Thrалlem, siedzącym na krześle zrobionym ze skór istot, które wódz sam zabił.

– Ludzie wciąż przebywają w Northwatch. Jak ostatnio słyszeliśmy, pojawiają się tam nowe oddziały. Wydaje mi się, że zasilają twierdzę.

– Raczej nie. - Thrall usadowił się wygodniej. - Lady Proudmoore poinformowała mnie, że posłała jednego ze swoich żołnierzy, by zbadał raport kapitana Bolika.

Burx wyprostował się.

– Nie ufają słowu wojownika?

Kalthar, którego zielona skóra zbladła i pomarszczyła się ze starości, zaśmiał się gardłowo.

– Jestem pewien, Burksie, że ufają słowu orka tak samo, jak ty ufasz słowu człowieka.

– Ludzie są tchórzliwi i godni pogardy - powiedział lekceważąco Burx.

– Ludzie z Theramore tacy nie są - sprzeciwił się Thrall, pochylając się do przodu. - I nie życzę sobie, byś w mojej obecności źle się o nich wyrażał.

Burx tupnął. Thrall z trudem powstrzymywał śmiech. Gest ten przypomniawszy mu ludzkie dziecko w ataku złości - wśród orków jednak była to typowa oznaka niezadowolenia. Thrall był władcą klanów, jednak czasami musiał sobie przypominać, że nie został wychowany wśród swojego ludu.

– To nasza ziemia, Thrallu! Nasza! Ludzie nie mają do niej żadnego prawa. Niech wracają na drugą stronę Wielkiego Morza, gdzie jest ich ziemia, i pozwolą nam wrócić do życia, jakie prowadziliśmy, zanim przekłęły nas demony... z dala od wszelkich złych wpływów, śmiertelnych czy nie.

Thrall potrząsnął głową. Myślał, że takie kłótnie skończyły się już przed dwoma laty.

– Ludzie zajmują najbardziej niegościnne okolice Kalimdoru, i to naprawdę niewielki skrawek. My nie zajęliśmy nawet całych bagien. Ludzie Jainy...

– Jainy? - Burx powtórzył szyderczo to imię.

Thrall podniósł się.

– Bądź bardzo ostrożny, Burksie! Lady Proudmoore - Jaina - zdobyła mój szacunek. Ty zaś bardzo szybko go tracisz.

Burx skulił się nieco.

– Przepraszam, wodzu. Ale musisz zrozumieć, że wychowałeś się wśród nich. Czasem może czynić cię to... ślepym na to, co dla pozostałych jest oczywiste.

– Nie jestem ślepy na nic, Burksie. Jeśli sobie przypominasz, to ja otworzyłem oczy orkom, które padły ofiarą przekleństwa demonów i zostały zniewolone przez ludzi, to ja przypominałem im, kim są. Nie wąż się teraz robić mi wykładów...

Przerwał im zdyszany młody ork, który wbiegł do środka.

– Gromojaszczury!

Thrall zamrugał. Łańcuch Gromu, ojczyzna wspomnianych zwierząt, znajdował się bardzo daleko - gdyby jakieś dotarły do Orgrimmaru, ostrzeżenie dostaliby wcześniej.

– Gdzie? - spytał Burx.

– Najwyraźniej daleko stąd - zauważył sucho Kalthar - inaczej nie pojawiłyby się tu młody goniec.

Rzeczywiście, chłopak miał w nosie kolczyk o kształcie błyskawicy - symbol posłańca. Bez wątpienia biegł od Łańcucha Gromu, by przynieść wiadomość Thrallowi.

– Mów - zwrócił się Thrall do młodzieńca.

– Jestem z Wąwozu Drygluch, wodzu. Gromojaszczury uciekły z gór.

– Jak to możliwe? - spytał Burx.

– Niech mówi, to może się dowiemy - powiedział Thrall, spoglądając na wojownika i odwrócił się do chłopca. - Dalej.

– Rolnik Tulk usłyszał tętent. Zawołał synów i odpędzili jaszczury, nim zdążyły zniszczyć zbiory. Lecz nikt nigdy nie słyszał, by gromojaszczury schodziły z gór, więc wziął swoich synów, a także swego sąsiada z jego synami, i poszli w góry sprawdzić.

Thrall pokiwał głową. Łańcuch Gromu otaczał gęsty las starych drzew, przez które jaszczury nie mogły się przebić. Jeden mógł przejść ostrożnie albo zwinnie przez lasy, ale gromojaszczury nigdy nie poruszały się w ten sposób.

– Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że las został zrównany z ziemią, więc jaszczury mają swobodne przejście. Farmerzy boją się o swoje zbiory.

Jednak Thrall nadal wracał do pierwszej części.

– Zrównany z ziemią? W jaki sposób?

– Wszystkie drzewa zostały ścięte. Zostały tylko pnie, na jakąś stopę nad ziemią.

– Gdzie je zabrano? - spytał Burx. Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie pozostały żadne gałęzie, nic, same pieńki.

– Jak to możliwe? - dziwił się Thrall, kręcąc głową.

– Nie wiem, jak to jest możliwe, Wodzu - powiedział chłopak - ale tak się stało, to pewne jak to, że z tobą rozmawiam.

– Dobrze się spisałeś. - Thrall pozdrowił chłopca gestem ręki. - Poszukaj sobie czegoś do jedzenia i picia. Może zadamy ci więcej pytań, kiedy już napełnisz brzuch.

– Dziękuję, Wodzu. - Chłopak skinął głową i uciekł.

– Ludzie - powiedział Burx, kiedy tylko goniec wyszedł z sali tronowej. - Tak musi być. Wiele razy prosili o drewno z lasów porastających wokół Łańcucha Gromu. Z pewnością żaden ork nie splugawiłby ziemi w taki sposób.

Chociaż Thrall nie bardzo chciał wierzyć w złe działanie ludzi, Burx miał rację: żaden ork z Durotaru nie zrobiłby czegoś takiego.

– Nie mogli przewieźć tak wielkiej liczby drewna z Łańcucha Gromu na wybrzeże tak, by nikt tego nie zauważył. Gdyby poruszali się łądem, zostaliby zauważeni... podobnie, gdyby posługiwali się statkiem powietrznym.

– Jest jeszcze trzeci sposób - powiedział Kalthar.

– Magia - westchnął Thrall i znów pokręcił głową.

– Tak, magia - potwierdził Burx. - A najpotężniejszym magiem na Theramore jest nasza droga lady Proudmoore... Jaina we własnej osobie.

– To nie ona - powiedział Kalthar. - To splugawienie ziemi jest karygodne, a ludzie są w tej sprawie jednocześnie winni i niewinni.

– A co to ma znaczyć? - spytał poirytowany Burx.

– Mówisz zagadkami - zgodził się z nim Thrall i roześmiał. - Jak zwykle.

– Tu działają potężne moce, Thrallu - powiedział Kalthar. - Potężna magia.

Burx znów tupnął.

– Lady Proudmoore dysponuje potężną magią. Ludzie prosili o te drzewa przy każdej okazji. Dzięki temu mają lepsze drewno na swoje łodzie, co z kolei ułatwia im napadanie na nasze statki handlowe. Do tego wypuścili na swobodę gromojaszczury, niszczące nasze farmy. - Burx stanął przed tronem tak blisko, że niemal stykał się z Thrалlem kłami. - To do siebie pasuje, Wodzu. I ty o tym dobrze wiesz.

– Wiem, Burksie, że lady Proudmoore woląa zdradzić własnego ojca, niż zniszczyć sojusz między Durotarem i Theramore – odparł dobitnie Thrall. - Czy naprawdę sądzisz, że teraz zerwałaby go dla kilku drzew?

Burx cofnął się, rozkładając ręce.

– A kto wie, jak myślą ludzie?

– Ja wiem. Jak mi to wcześniej wytknąłeś, Burksie, zostałem wychowany wśród ludzi, i widziałem to, co w nich najlepsze i najgorsze. Mogę ci powiedzieć, że choć najprawdopodobniej zrobili to ludzie, to Jaina Proudmoore nie jest jedną z nich.

– Na Kalimdorze nie ma zbyt wielu ludzkich magów, o których byśmy nie wiedzieli - odpowiedział Burx, w obronnym geście zaplatając ręce na piersiach. - Kto to mógł być, Wodzu?

– Nie wiem - uśmiechnął się Thrall. - Kiedy porucznik Blackmoore postanowił wykształcić mnie jak człowieka, kazał mi czytać wiele traktatów naukowych i filozoficznych. Z tych lekcji zapamiętałem jedno zdanie, że początkiem każdej wiedzy jest stwierdzenie *nie wiem*. Osoba, która nie może tego powiedzieć, nigdy niczego się nie nauczy. A ja szczerę się swoją umiejętnością nauki, Burksie.

Wstał z tronu.

– Wyślijcie wojowników do Drygulch, niech spróbują zapędzić gromojaszczury do zagrody. Zapewnijcie im każdą pomoc, jaka będzie potrzebna, by opanować tę sytuację. - Następnie zwrócił się do Kalthara. - Przynieś talizman. Chcę porozmawiać z lady Proudmoore.

– Powinniśmy działać! - Burx ponownie tupnął, nawet kiedy Kalmar powoli wyszedł z sali, by wypełnić polecenia Thralla. - A nie gadać.

– Gadanie to drugi krok w zdobywaniu wiedzy, Burksie. Zamierzam dowiedzieć się, kto jest za to odpowiedzialny. A teraz idź wypełnić moje rozkazy.

Burx zamierzał coś powiedzieć, lecz Thrall nie dopuścił go do głosu.

– Dość, Burx! Wyraziłeś się wystarczająco jasno! Jednak sądzę, że nawet ty zgodzisz się, iż potrzeby Drygulch są ważniejsze. Idź i zrób, co powiedziałem, nim nasze farmy zostaną naprawdę zniszczone.

– Oczywiście, wodzu - powiedział Burx. Zasalutował i wyszedł.

Thrall miał nadzieję, że jego obrona Jainy była słuszna. W głębi serca wiedział, że tak właśnie było. Lecz skoro to nie Jaina Proudmoore ukradła im drewno i wypuściła gromojaszczury, to kto?

OSIEM



Do komnat lady Proudmoore zaprowadziła Lorenę Duree, stara kobieta o szalonym wyglądzie, która zarządzała jej sprawami. Okazało się jednak, że nikogo tam nie ma.

– Gdzie ona jest? - spytała Lorena, odwracając się do Duree. Górowała nad nią o głowę.

– Nie denerwuj się, zaraz przyjdzie. Godzinę temu udała się na spotkanie z tym orczym wodzem... w każdej chwili powinna wrócić.

– Spotyka się z Thrallem? - Lorena zmarszczyła brwi.

– Ojej, miałam o tym nie mówić. - Duree zasłoniła sobie usta dłonią. - Zapomnij, że cokolwiek ci powiedziałam, dobrze, moja droga?

Pułkownik nic nie odpowiedziała, tylko wykrzywiła twarz w grymasie mającym na celu wygonienie starej kobiety z komnat.

Udało się jej to znakomicie, gdyż Duree wybiegła tak szybko, że okulary spadły jej z nosa.

Chwilę później wszedł Kristoff.

– Pani pułkownik. Duree powiedziała, że ma pani raport.

Lorena popatrzyła na szambelana. Podobnie jak Duree, był on złem koniecznym - w końcu naród nie mógł polegać tylko na wojsku. Ojciec i

bracia na samym początku nauczyli ją, że powinna być dobra dla urzędników i im podobnych. To od nich zależało funkcjonowanie każdego oddziału, i to nawet bardziej niż od działań oficerów.

Duree tak ją irytowała, że nie potrafiła skorzystać z tej rady, lecz Kristoff był prawą ręką lady. Dlatego Lorena odłożyła na bok swoją niechęć do tego człowieka i zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, mości szambelanie. Mam raport dla lady i przekażę go jej, kiedy tylko się zjawi.

Kristoff uśmiechnął się. Był to najbardziej nieszczerzy uśmiech, jaki Lorena widziała w życiu, a po wielu latach pilnowania wieży w Kul Tiras miała w tym duże doświadczenie.

– Może pani przekazać mnie, zapewniam, że przekażę go lady Proudmoore.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir, wolałabym przekazać go lady osobiście.

– Wyruszyła w sprawach państwowych - odpowiedział ostro Kristoff. - To może trochę potrwać.

– Lady jest czarodziejką. - Pułkownik posłała mu równie nieszczerzy uśmiech. - Jeśli chodzi o jej sprawy, wróci tu w mgnieniu oka. Chciała, żebym przekazała jej ten raport osobiście.

– Pani pułkownik...

Niezależnie od tego, co Kristoff chciał powiedzieć, zagłuszył to donośny huk i błysk światła, zapowiadający przybycie lady Proudmoore.

Lorena zawsze uważała, że lady nie robiła zbyt wielkiego wrażenia, lecz szybko nauczyła się nie oceniać magów po wyglądzie. Przez całe swoje życie starała się jak najbardziej upodobnić do mężczyzn - obcinała krótko włosy, nie goliła nóg, nosiła zawój ukrywający piersi - a mimo to często lekceważono ją jako *tylko* kobietę. Lorena była zdziwiona, jak ta niska,

blada kobietka o jasnych włosach i ciemnoniebieskich oczach zdołała zyskać szacunek tak wielu osób.

Przypuszczała, że przynajmniej częściowo to zasługa sposobu, w jaki się nosiła. Niezależnie od tego, gdzie się znalazła, wydawała się być najwyższa ze wszystkich, nawet jeśli była najniższa. Zazwyczaj całe jej ubranie było białe: buty, bluzka, pantalony, płaszcz, a co najdziwniejsze, strój pozostawał nieskazitelny. Przez każdy rok swojego życia żołnierz spędzał tydzień na czyszczeniu białego ornamentu na zbroi, by nie stał się brązowy lub szary, i w większości wypadków się to nie udawało. Tymczasem szaty lady Proudmoore niemal lśniły.

Lorena przypuszczała, że był to korzystny efekt uboczny bycia potężnym magiem.

– Wróciła pani, pułkowniku - powiedziała lady, jakby cały czas znajdowała się w tym pokoju. - Proszę o raport.

Lorena krótko i zwięźle opowiedziała lady i szambelanowi wszystko, czego ona i jej ludzie dowiedzieli się w Northwatch.

Kristoff zacisnął wąskie usta.

– Nigdy nie słyszałem o tym Płonącym Ostrzu.

– A ja tak. - Lady zdjęła kaptur, rozpuszczając złociste loki. Kiedy Lorena składała raport, usiadła przy biurku, a teraz przyłożyła z namysłem palec do podbródka. - Był orczy klan o takiej nazwie, lecz został wybity. Poza tym wspominał o nich mimochodem jeden z moich strażników.

Lorenie się to nie podobało. To, że słyszał o nich Strov, to jedno, ale skoro plotki o tej organizacji docierały do osobistej straży lady, to coś zostało przeoczone:

– To były orki, pani, jestem tego pewna.

– Albo sprawiono, by wyglądali jak orki - powiedziała lady. - Na pewno posłużyli się magią, co już jest wystarczająco niepokojące, i dlatego mogli

świadomie się zamaskować. W końcu niczym nie sprowokowany atak orków na ludzkich żołnierzy mógłby solidnie zdestabilizować nasz sojusz.

– Możliwe również - wtrącił Kristoff - że to orczy mąciciele, którzy posługują się nazwą nieistniejącego klanu dla własnych celów.

Lorena pokręciła głową.

– To nie wyjaśnia, dlaczego brat szeregowca Strova usłyszał o nich w karczmie w Theramore.

Lady pokiwała głową w zadumie, jakby zapominając, że nie jest w komnacie sama. Lorena w swoim czasie poznała kilku magów i wszyscy mieli skłonności do bujania myślami w obłokach.

Jednak w przeciwieństwie do tamtych magów, których często trzeba było walić pałką po głowie, by zaczęli zwracać uwagę na świat wokół nich, lady Proudmoore potrafiła sama wrócić do rzeczywistości. Teraz właśnie tak się stało.

– Pułkowniku, chciałabym, aby zbadała pani sprawę tego Płonącego Ostrza. Musimy wiedzieć, kim są i jak działają, zwłaszcza, jeśli posługują się magią. Jeśli mają w swoich szeregach orki, dlaczego próbują skusić ludzi? Zbadaj tę sprawę dogłębnie, Loreno. Posłuż się wszelkimi dostępnymi środkami.

– Tak jest, pani. - Lorena stanęła na baczność i zaszalutowała.

– Kristoff, obawiam się, że będę musiała natychmiast wyjechać. Gromojaszczury wyrwały się z Łańcucha Gromu i zagrażają Wąwozowi Drygulch.

– Nie wiem, jaki to ma związek z nami... albo z tobą, pani - zauważył, szambelan, marszcząc brwi.

– Część lasu, który powstrzymywał jaszczury, została wycięta. Orki nie mogły tego zrobić.

– Skąd ta pewność? - spytał z niedowierzaniem Kristoff.

Słyszając głupie słowa szambelana, Lorena poczuła dokładnie tak samo.

– To nie mogły być orki. - Zorientowawszy się, że odezwała się bez pytania, spojrzała szybko na lady Proudmoore. - Wybacz, pani.

– W porządku - uśmiechnęła się lady. - Proszę, mów dalej.

– Orki nigdy nie zrobiły czegoś takiego, nawet kiedy były przeklęte przez Płonący Legion - powiedziała Lorena, spoglądając na Kristoffa. - Zawsze traktowały ziemię z szacunkiem, który, szczerze mówiąc, zahaczał dla mnie o fanatyzm.

Lady Proudmoore zachichotała.

– Właściwie, powiedziałabym, że to ludzka skłonność do niszczenia natury zahacza o fanatyzm, ale pani pułkownik dobrze to ujęła. Orki po prostu nie są zdolne do czegoś takiego... zwłaszcza biorąc pod uwagę gromojaszczury. Pozostają trolle, które poddały się władzy Thralla, gobliny, które pozostają neutralne, i my... sojusznicy z Durotana.

Westchnęła.

– Do tego nie ma żadnych śladów wyrąbanego drewna. Musiało gdzieś zostać przetransportowane, lecz nie ma doniesień o żadnych karawanach, czy to naziemnych, czy powietrznych. A to oznacza magię.

Lorena, której wcale nie podobało się to, co słyszy, zapytała:

– Czy wierzysz, pani, że Płonące Ostrze ma z tym coś wspólnego?

– Po wysłuchaniu twojego raportu, pani pułkownik, bardzo przychyliłam się do tej opinii... i tego właśnie chcę, abyś się dowiedziała.

Kristoff założył długie ramiona na chudej piersi.

– Nie widzę powodu, dla którego wymagałoby to twojego wyjazdu z Theramore, pani.

– Obiecałam Thrallowi, że sama przeprowadzę śledztwo. - Uśmiechnęła się krzywo. - Obecnie jestem dla niego pierwszą podejrzaną, gdyż mogłabym bez kłopotu ściąć drzewa i teleportować je w dowolne miejsce

na Kalimdorze. W jaki sposób mogę lepiej dowieść swojej niewinności, niż samej odkrywając prawdę?

– Zdołałbym wymyślić kilka sposobów - odparł kwaśno Kristoff.

Lady Proudmoore obeszła biurko i stanęła twarzą w twarz ze swoim szambelanem.

– Jest jeszcze jeden powód. Całkiem możliwe, że jest z tym związana magia. Potężna magia. Jeśli na Kalimdorze działa tak potężna moc, muszę wiedzieć, kto się nią posługuje... i dlaczego ten mag pozostaje w ukryciu.

– O ile chodzi tu o magię. - W głosie Kristoffa było tyle rozdrażnienia, że Lorena bardzo chciała go uderzyć. Mimo to odetchnął głęboko i rozplótł ramiona. - Mimo to przypuszczam, że słuszna jest twa troska. Rzeczywiście, powinno to zostać sprawdzone. Wycofuję swoje obiekcje.

– Bardzo się cieszę, że się zgadzasz, Kristoffie - powiedziała sucho lady. Wróciła do biurka i zaczęła przeszukiwać stertę zwojów. - Ruszam jutro rano. Kristoffie, zajmij się wszystkim pod moją nieobecność, bo nie jestem pewna, ile czasu to potrwa. Do czasu mojego powrotu masz prawo działać w moim imieniu.

Odwróciła się do oficer.

– Pomyślnych łowów, pani pułkownik. Oboje możecie odejść.

Lorena znów zasalutowała, obróciła się na pięcie i wyszła. Kiedy zamykała za sobą drzwi słyszała, jak Kristoff chce coś powiedzieć, lecz lady przerwała mu:

– Powiedziałaś, szambelanie, że może pan odejść.

– Oczywiście, pani.

Słyszając rozdrażniony ton w głosie szambelana, Lorena nie mogła powstrzymać uśmiechu.



Bywały chwile, kiedy Jaina Proudmoore nienawidziła mieć rację. Nigdy nie przejmowała się specjalnie faktem, że może się w czymś mylić, i zwykle zwała to na Antonidasa. Od początków nauki mistrz wbijał jej do głowy, że najgorszym, i najłatwiejszym do popełnienia grzechem maga jest arogancja. „Kiedy dysponuje się tak potężną mocą, dosłownie na wyciągnięcie ręki, łatwo jest ulec pokusie myślenia, że jest się wszechpotężnym”, mawiał stary mag. „Tak łatwo, że ulega jej większość magów. Oto jeden z powodów, dla których często jesteśmy tacy niezdolni”. Ostatnie zdanie wypowiadał zawsze z lekkim uśmiechem.

„Ty taki nie jesteś, prawda?”, pytała wtedy Jaina.

„Aż nazbyt często”, odpowiadał stary mag. „Cała sztuka polega na tym, by dostrzec w sobie ten błąd i pracować nad jego poprawieniem”. Potem mistrz opowiadał jej o dawnych, magach, takich jak Aegwynn czy Medivh, dwóch ostatnich Strażnikach Tirisfalen, których arogancja doprowadziła do zguby. Wiele lat później Jaina współpracowała z Medivhem i przekonała się, że przynajmniej on zdołał się opamiętać na czas. Jego matka, Aegwynn, miała mniej szczęścia. Pierwsza kobieta Strażnik była kimś, kogo Jaina podziwiała przez większość swego życia. Jedynym błędem, jaki Aegwynn popełniła w ciągu setek lat swojego życia, było przekonanie, że udało się jej pokonać Sargerasa. W rzeczywistości zniszczyła tylko jego awatara i pozwoliła demonowi ukryć się w głębi własnej duszy. Pozostawał tam przez całe stulecia, aż Aegwynn urodziła Medivha, a wówczas Sargeras przeniósł się do jego duszy. Demon posłużył się nim jako narzędziem i

doprowadził do inwazji orków na ten świat. A wszystko dlatego, że Aegwynn była na tyle arogancka, by wierzyć, że sama pokonała Sargerasa.

Jaina wzięła sobie te słowa do serca i zawsze powątpiewała w swoje zdanie. Nadal podziwiała Aegwynn - bez precedensu, jaki stanowiła, jedyną reakcją na chęć nauczania się magii przez Jainę byłby pusty śmiech, zamiast łagodnego sceptycyzmu, z którym się spotykała. I udało jej się przekonać Antonidasa.

Czasem owe wątpliwości działały przeciw niej - zbyt długo nie słuchała swojego instynktu, który mówił jej o upadku Arthasa, i zawsze się zastanawiała, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby zaczęła działać wcześniej. W większości przypadków jednak służył jej dobrze. Miała nadzieję, że to właśnie on czyni ją mądrym przywódcą mieszkańców Theramore.

Kiedy Thrall powiedział jej o zniszczeniu części lasu otaczającego Łańcuch Gromu, od razu domyśliła się, że posłużono się magią, i to potężną. Chciała się jednak mylić.

Nadzieja okazała się płonna. Wprost ze swoich komnat w Theramore udała się do lasu, i kiedy tylko się tam pojawiła, niemal czuła woń magii. W rzeczy samej, nawet bez swoich wyczulonych zmysłów wiedziałaby, że działała tu moc. Przed nią, aż do skraju prowadzącego do góry wzgórze, rozciągał się las pieńków. Każdy z pieńków obcięty był na tej samej wysokości, co wszystkie pozostałe - zupełnie, jakby olbrzymia piła przecięła wszystkie drzewa na raz. Co ważniejsze, wszystkie cięcia były równe, bez skaz i załamań. Taką doskonałość można było osiągnąć jedynie dzięki magii.

Jaina знаła większość żyjących magów. Tych kilku oprócz niej, którzy byliby w stanie zrobić coś takiego, nie mieszkało na Kalimdorze. Co więcej, magia nie wydawała jej się znajoma. Każdy czarodziej inaczej

posługiwał się magią, a wystarczająco wrażliwa osoba była w stanie odróżnić dzieło jednego maga od innego. Ta magia wywoływała w Jainie słabe mdłości, co sprawiło, iż zaczęła myśleć o magii demonów. Mdłości oczywiście nie musiały oznaczać demonicznej magii, choć czary Płonącego Legionu zawsze sprawiały, że Jaina czuła się chora. Ale podobnie działał na nią Kel'Thuzad, kiedy Antonidas przedstawił ich sobie w trzecim roku szkolenia Jainy, a wówczas arcymag był jednym z najlepszych czarodziejów w Kirin Tor, na długo zanim zwrócił się ku nekromancji i został sługą Króla Licza.

Poza tym, źródło zniszczeń nie było aż tak ważne jak ich efekt - gromojaszczury mogły swobodnie włóczyć się po Drygulch, a może i dalej. Jaina musiała znaleźć odległe miejsce, gdzie mogłaby je przenieść, by nie niszczyły gospodarstw i miast zbudowanych przez orki.

Sięgnąwszy pod płaszcz, wyciągnęła mapę, jeden z dwóch przedmiotów, które zabrała z zaśmieconego biurka. Uznała, że Płaskowyż Blizny jest doskonałym miejscem na przeniesienie jaszczurów. Płaskowyż, znajdujący się w południowej części Durotaru, na wschód od Ratchet, był odległy i oddzielony od reszty Durotaru łańcuchem górskim, trudnym do przebycia dla jaszczurów. Do tego w okolicy było pełno trawiastych równin, na których mogły się paść, mnóstwo przestrzeni, na której mogły wpadać w popłoch, kiedy tylko im się zachciało, i górski strumień, niemal równie szeroki co rzeka, którą miały w Łańcuchu Gromu. Jaszczury będą bezpieczne, podobnie jak mieszkańcy Durotaru.

Początkowo miała zamiar przenieść je jeszcze dalej - na przykład do Feralas po drugiej stronie kontynentu - lecz nawet umiejętności Jainy miały swoje ograniczenia. Sama mogłaby się tam przenieść bez trudu, lecz przeniesienie siebie i setek jaszczurów było już zbyt skomplikowane.

Wyjęła spod płaszcza drugi z przedmiotów - zwój z zaklęciem pozwalającym jej wyczuć umysł każdego gromojaszczura na kontynencie. Wypowiedziała inkantację i wypuściła sondę zmysłów. W przeciwieństwie do większości gadów, gromojaszczury miały psychikę stadną podobną do bydła, więc większość z nich trzymała się razem, nawet jeśli opuszczały rodzinne terytorium. I rzeczywiście, odkryła, że większość z nich kłębi się wokół rzeki wpływającej do wąwozu Drygulch. Obecnie były w fazie potulnej, co zdecydowanie ułatwiło Jainie życie, gdyż była już gotowa magicznie wprowadzić je w taki stan. Gromojaszczury były albo potulne, albo w popłochu - właściwie nie miały fazy pośredniej - a teleportowanie ich w trakcie panicznej ucieczki sprawiałoby zdecydowanie więcej problemów. Mimo to wołała nie niepokoić stworzeń bardziej niż to konieczne, więc cieszyła się, że były w dobrym nastroju.

Aby czarodziej mógł włączyć kogoś do swojego zaklęcia teleportacji, istota ta musiała znajdować się w zasięgu jego wzroku - tak w każdym razie zalecała większość zwojów. Antonidas powiedział jednak Jainie, że można to zrobić również, jeżeli istota ta znajdowała się w *zasięgu umysłu*. Mag musiał wówczas dotknąć myśli tego, kogo chciał teleportować. Było to oczywiście bardziej niebezpieczne, gdyż dotykane niektórych umysłów było trudne lub groźne. Inni magowie i demony zazwyczaj mieli przygotowane zaklęcia ochronne, a nawet osoba obdarzona wyjątkowo silną wolą byłaby prawdopodobnie w stanie się oprzeć.

W wypadku gromojaszczurów nie było jednak takiego problemu, gdyż stworzenia te myślały tylko o jednej z trzech czynności - jedzeniu, piciu lub spaniu. Te właśnie czynności, oprócz szybkiego biegania zajmowały umysły jaszczurów, może z wyjątkiem pory godowej.

Mimo to minęło kilka godzin, nim Jainie, stojącej w wyrąbanym lesie, udało się połączyć umysł z każdym z gromojaszczurów w Drygulch, jak

również z maruderami, którzy podążali w stronę Wzgórza Brzytwy.

Trawa. Woda. Zamknąć oczy. Odpocząć. Odgryźć. Żuć. Połknąć. Pociągnąć łyk. Spać. Oddychać.

Przez chwilę niemal się zagubiła - oczywiście, wzorce myśli jaszczurów nie były skomplikowane, ale były ich setki i czuła, jak zalewają ich instynktowna potrzeba jedzenia, picia i spania.

Zaciskając zęby, wzmocniła swoją własną jaźń ponad umysłami setek jaszczurów. Zaczęła szeptem wypowiadać zaklęcie teleportacji.

Ból! Rozpalona do białości igła bólu wbiła się w czaszkę Jainy, gdy wypowiedziała ostatnią sylabę zaklęcia. Zniszczony las przepłynął przez nią, po czym natychmiast powrócił do materialności. Łagodniejszy ból przeszył lewe kolano Jainy, i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że potknęła się, a jej kolano zderzyło się z pieńkiem.

Ból. Boli. Boli. Boli. Biec. Biec. Biec. Biec. Nie boli. Biec, nie boli.

Czoło Jainy pokryły kropelki potu, gdy powstrzymywała pragnienie, by rzucić się biegiem przez las. Coś się stało z zaklęciem teleportacji, lecz Jaina nie miała czasu zastanawiać się, co właściwie, gdyż ból, który poczuła podczas nieudanego zaklęcia został przekazany gromojaszczurom poprzez więź umysłów. Wywoływał w nich popłoch, i musiała je powstrzymać, nim znów ruszą na Drygulch.

Instynkt nakazywał jej zerwać więź, gdyż próba powstrzymania pragnień podnieconych jaszczurów była niczym próba zatrzymania miotłą oceanu. Lecz jedynym sposobem, by je uspokoić, było utrzymanie więzi. Zamykając oczy i zmuszając się do koncentracji, rzuciła zaklęcie, które, jak twierdził Antonidas, miało uspokajać spłoszone wierzchowce. Zaciskając pięści tak mocno, że bała się, iż paznokciami przetnie skórę, wcisnęła jak najwięcej siebie do zaklęcia, upewniając się, że dotrze do wszystkich jaszczurów.

Niedługo później wszystkie zasnęły. Jaina z trudem przerwała więź, zanim sama usnęła. Jej zmęczenie było wystarczające, nawet bez magicznie wywołanej drzemki.

Ciało ją bolało, a powieki opadały. Zaklęcia teleportacji nawet w najlepszych warunkach były wyczerpujące, a zarówno liczba istot, jakie pragnęła przenieść, jak i gwałtowny koniec zaklęcia z pewnością nie były najlepsze. Jaina marzyła, by się położyć i dołączyć do jaszczurów, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Zaklęcie uspi istoty na najwyżej sześć godzin - prawdopodobnie mniej, gdyż były tak rozproszone. Musiała się dowiedzieć, co na płaskowyżu nie pozwala jej dokończyć zaklęcia.

Usiadła, splatając nogi i pozwalając opaść bezwładnie dłoniom, po czym uspokoiła oddech. Następnie znów wypuściła umysłową sondę, tym razem w stronę łańcucha Blizny, a dokładniej w kierunku niewielkiej przestrzeni pośrodku gór.

Znalezienie tego, czego szukała, nie zajęło jej dużo czasu.

Ktoś nałożył zaklęcia ochronne na cały płaskowyż. Z tej odległości Jaina nie była w stanie rozpoznać wykorzystania magii, lecz zaklęcia były z rodzaju rozpraszających zaklęcia teleportacji, by ochronić to, co znajdowało się wewnątrz.

Jaina podniosła się i zebrała w sobie. Miała rozpocząć zaklęcie teleportacji, by przenieść się na płaskowyż, lecz się zatrzymała. Sięgnęła do sakiewki przy pasie i wyciągnęła kawałek suszonego mięsa. Na samym początku Antonidas nauczył ją, że magia wykorzystuje ciało, a jedynym sposobem uzupełnienia jego zasobów było jedzenie. „Wielu czarodziejów” mówił „umarło, gdyż byli tak zajęci badaniem magicznych światów, że zapomnieli jeść.”

Ze szczęką obolałą od zucia twardego suszonego mięsa, odświeżona Jaina wypowiedziała zaklęcie, które miało zabrać ją do miejsca tuż za

granicą czarów rzuconych na płaskowyż.

Jej pomysł zjedzenia przed teleportacją miał tylko jedną wadę - burczenie w brzuchu, które często odczuwała jako efekt uboczny teleportacji, z niestrawionym pokarmem w żołądku było zdecydowanie wyraźniejsze. Lecz odepchnęła to od siebie, gdy tylko stanęła na stromym zboczu oznaczającym mniej więcej granicę płaskowyżu. Pod nią i za nią znajdowało się pionowe urwisko. Przed nią rozciągały się trawiaste łąki. Z trudem znalazła miejsce do postawienia nóg.

Oczywiście, zaklęcia były niewidoczne gołym okiem, lecz Jaina i tak je wyczuwała. Nie były szczególnie potężne, lecz nie musiały. Właściwie, jeśli ich celem było ukrycie czegoś lub kogoś - jak zaczynała przypuszczać Jaina - najlepiej trzymać zaklęcia na niskim poziomie. Zbyt potężne przyciągałby czarodziejów niczym latarnia morska.

Z tej odległości Jaina rozpoznała posmak magii, dzięki której powstały zaklęcia. Ostatni raz wyczuwała ją w towarzystwie Medivha, podczas wojny. To była magia *Tirisfalen* - lecz przecież wszyscy Strażnicy nie żyli, nawet Medivh, ostatni z nich.

Zdjęcie zaklęć - skoro już wiedziała, że tam są - wymagało jednego gestu. Wówczas ruszyła dalej i zaczęła zwiedzać płaskowyż. Zatrzymała się na chwilę, by nałożyć na siebie zaklęcie ukrycia.

Z początku wszystko wyglądało tak, jak się spodziewała - trawiaste łąki, krzewy owocowe i, od czasu do czasu, drzewa. Od Wielkiego Morza wiał wiatr, szarpiąc płaszcz Jainy. W Łańcuchu Gromu było pochmurno, lecz płaskowyż znajdował się ponad linią chmur, więc tu było słonecznie. Jaina odrzuciła kaptur płaszcza, radując się promieniami słońca na twarzy.

Wkrótce natrafiła na pierwszy ślad tego, kto się ukrywał - z kilku krzewów niedawno zerwano owoce. Wspinając się coraz wyżej, natrafiła na studnię, a obok niej stertę drewna na opał. Obok wielkiego drzewa

wybudowano dużą chatę. Na względnie równym kawałku ziemi za chatą posadzono równe rzędy roślin - głównie warzyw i ziół.

Chwilę później w jej polu widzenia pojawiła się kobieta. Odziana była jedynie w wytartą sukienkę z niebieskiego lnu, a jej stopy były bose. Szła spokojnie, a gdy zbliżyła się do studni, Jaina ujrzała, że jest wysoka jak na kobietę - z pewnością wyższa od samej Jainy. Do tego była bez wątpienia stara. Jej twarz, niegdyś piękną, znaczyły zmarszczki. Kobieta miała siwe włosy podtrzymywane zmatowiałym srebrnym diademem i najbardziej zielone oczy, jakie Jaina kiedykolwiek widziała. Ich odcień pasował do popękanego jadeitowego wisiorka, który miała na szyi.

Nagle Jainie włosy zjeżyły się na głowę, gdyż rozpoznała kobietę. Oczywiście, nigdy się nie spotkały, lecz podczas nauki czytała opisy, a wszystkie opowieści wspominały o jej. wielkim wzroście, jasnych włosach podtrzymywanych srebrnym diademem - i oczach. Wszyscy wspominali o tych jadeitowych oczach.

Z pewnością to wyjaśniało zaklęcia ochronne. Ale przecież miała umrzeć przed wielu laty...

Kobieta położyła ręce na biodrach.

- Wiem, że tu jesteś, więc nie musisz marnować zaklęcia ukrycia. - Potrząsając głową, podeszła do studni i opuściła wiadro na linie. - Naprawdę, w dzisiejszych czasach niczego nie uczą tych młodych magów. Fioletowa Cytadela zesłała na psy, taka jest prawda.

Jaina zdjęła zaklęcie. Kobieta właściwie nie zareagowała, poza cichym syknieniem, gdy opuszczała wiadro.

- Nazywam się Jaina Proudmoore. Władam Theramore, ludzkim miastem na kontynencie.

- I dobrze. Kiedy wrócisz do tego Theramore, popracuj nad swoim zaklęciem ukrycia. Nie zwiodłoby nawet przeziębionego ogara.

Oszołomiona Jaina uświadomiła sobie, że ta kobieta nie może być nikim innym, jak tylko tą, o której myślała, choć wydawało się to niemożliwe.

– Magna, zaszczycem jest cię poznać. Myślałam, że jesteś...

– Martwa? - Kobieta prychnęła i zaczęła ciągnąć za linę. W kącikach ust pojawiły się ślady wysiłku, gdy podnosiła wiadro pełne wody. - Nie żyję, lady Jaino Proudmoore z Theramore... lub jestem tego tak blisko, że nie ma to znaczenia. I nie nazywaj mnie *Magna*. To był inny czas i inne miejsce, i już nie jestem tamtą kobietą.

– Tego tytułu nie można utracić, Magna. I nie mogę się zmusić, by zwracać się do ciebie jakoś inaczej.

– Bzdury. Jeśli chcesz się do mnie jakoś zwracać, mów mi po imieniu. Mów mi Aegwynn.

DZIEWIĘĆ



Przez wiele lat REXXAR, ostatni z klanu Mok’Nathal, wędrował po Kalimdorze jedynie w towarzystwie wielkiej brązowej niedźwiedzicy, Mishy. Zrodzony z orczej i ogrzej krwi, jak większość jego nieistniejącego klanu, zmęczył się konfliktami i okrucieństwem, które charakteryzowały to, co ironicznie nazywano cywilizacją. Tak naprawdę, większą cywilizację REXXAR odnajdował w towarzystwie innych niedźwiedzi albo wilków z Winterspring, niż w jakimkolwiek ludzkim, krasnoludzkim, elfim czy trollim mieście, i które szpeciły krajobraz.

Nie, REXXAR wolał wędrować, żyć z tego, co uda mu się samemu zdobyć, i nie być zależnym od nikogo. Jeśli kiedyś chciał nazwać jakieś miejsce domem, wiedział, że jest nim Durotan. Podczas tworzenia się orczego narodu, REXXAR pomógł umierającemu orkowi, który miał przekazać wiadomość Thrallowi. Spełniając ostatnie życzenie wojownika, REXXAR zaniósł raport Thrallowi i znalazł się wśród orków, które powróciły do starych zwyczajów, praktykowanych zanim Gul’dan i jego Rada Cieni zniszczyli niegdyś wspaniały lud.

I chociaż REXXAR szczylił się, że może nazywać Thralla swoim towarzyszem, przysiągł mu wierność i wypełnił tę przysięgę między innymi

pomagając orkom walczyć ze zdrazieckim admirałem Proudmoorem, to jednak wolał wędrówkę. Nawet tak wielka kraina jak Durotar miała miasta, osady i prawo. REXXAR wolał chaos dzikiej przyrody.

Bez ostrzeżenia Misha rzuciła się biegiem.

REXXAR wahał się zaledwie przez sekundę, po czym puścił się za nią. Nie spodziewał się, że dorówna tempu swej czworonożnej przyjaciółki, lecz mocarne nogi mieszańca wystarczały, żeby nie stracić jej z oczu. Misha nie odbiegłaby od niego bez jakiegoś ważnego powodu.

Znajdowali się blisko wybrzeża, na terenie porośniętym wysoką trawą. Choć dla niższych istot mógł być trudny do przebycia, REXXAR i MISHA mieli dość siły, by nagiąć trawę do swojej woli.

Chwilę potem Misha zatrzymała się, a jej pysk zniknął między długimi jak ręka źdźbłami trawy. REXXAR zwolnił krok i położył dłoń na rękocyfki jednego z przymocowanych do pleców toporów. Wkrótce natknął się na to, co zwrężyła Misha - ciało orka. REXXAR wiedział, że uszło z niego sporo krwi.

REXXAR pokręcił głową, opuściwszy dłonie wzdłuż boków.

– Martwy wojownik. Szkoda, że zginął sam, bez towarzyszy, którzy wsparliby go w walce.

Nim wędrowcowi przyszło do głowy, by złożyć dzielnego orka do grobu, usłyszał szept:

– Nie... jestem... martwy... .

Misha zaskowyczała, jakby zaskoczona faktem, że ork jest w stanie mówić. Przyjrząwszy się uważnie ciału, REXXAR odkrył, że ork stracił oko. Oczodół był zaleczony, więc rany nie zadała ta sama ręka, bądź ręce, które go pokonały.

– Płonące... Ostrze... muszę... dotrzeć... do Orgrimmaru. Thrall... ostrzeżony. Płonące... Ostrze...

Rexxar nie wiedział, co jest tak ważnego w płonącym ostrzu, lecz ten wojownik tak rozpaczliwie trzymał się życia tylko dlatego, że miał do przekazania Thrallowi jakąś niezwykle pilną wiadomość. Przypomniawszy sobie przysięgę złożoną Wodzowi, Rexxar zapytał:

– Jak się nazywasz? - By... Byrok.

– Nie bój się, szlachetny Byroku. Jestem Rexxar z Mok’Nathal, przysięgam ci, że Misha i ja postaramy się, byś dotarł do Orgrimmaru i przekazał wiadomość Wodzowi.

– Rexxar... znam cię... Musimy... szybko...

Mieszaniec nie mógł powiedzieć tego samego o Byroku, ale to było nieważne. Z delikatnością, która rzadko charakteryzowała jego czyny, podniósł krwawiącego Byroka i przerzucił go przez szeroki grzbiet Mishy. Niedźwiedzica przyjęła to obciążenie bez protestu - choć nie składała żadnej przysięgi, to więź łącząca ją z Rexxarem była nierozwalna. Skoro Rexxar tego chciał, Misha to wykona.

Bez słowa ruszyli na zachód, w stronę Orgrimmaru.



Gdy Rexxar po raz pierwszy przybył do Orgrimmaru, miasto było dopiero w budowie. Wokół widział mnóstwo orków wznoszących budynki, kładących drogi i zamieniających dziki krajobraz Kalimdoru w swój dom.

Kiedy teraz tu wracał, praca już dawno została wykonana, lecz nadal widział bardzo wiele orków, zajętych codziennymi sprawami. Choć niewiele korzystał z cywilizacji, na widok miasta Rexxar poczuł dumę i radość. Od chwili przybycia na ten świat, lud jego matki był albo przeklętym narzędziem władcy demonów Gul’dana, albo złamanymi

niewolnikami swoich ludzkich przeciwników. Jeśli orki miały żyć na tym świecie, lepiej niech żyją na swoich warunkach.

Miasto, otoczone z trzech stron przez wzgórze, z czwartej strony zostało zasłonięte murem wzmocnianym drewnem. Jedynym w nim wyłomem była duża, drewniana brama, obecnie otwarta, nad którą górowały dwie wieże strażnicze. Na jego szczycie znajdowały się zastrzone pale, mające zniechęcić przeciwnika do ataku, i zastrzone tyczki. Z obu wież i na niektórych tyczkach łopotała czerwona chorągiew Hordy. Był to widok budzący strach, pasujący do siedziby najpotężniejszych wojowników na świecie.

Z bramy wyszedł ku niemu strażnik z włócznią.

– Kto idzie?

– REXXAR, ostatni syn klanu Mok’Nathal. Wiozę ze sobą Byroka, który został ranny, niosąc wiadomość dla Wodza Thralla.

Strażnik skrzywił się i poparzył na jedną z wież. Stojący tam wojownik odkrzyknął:

– W porządku, pamiętam jego i niedźwiedzia. Wszędzie bym poznał ten hełm wilka. To przyjaciel Wodza, wpuść go!

Rexxar nosił czaszkę wilka, którego zabił. Osłaniała mu głowę i wzbudzała strach u przeciwników. Ukontentowany strażnik cofnął się, pozwalając REXXAROWI, MISHY i jej pasażerowi wejść do Orgrimmaru. Miasto orków zostało zbudowane w wielkim wąwozie, na którego zboczach i dnie wybudowano tradycyjne, sześciokątne domy. Kiedy szedł przez Dolinę Honoru, gdzie zbudowano bramę, ku Dolinie Mądrości, gdzie mieściła się siedziba Thralla, REXXAR był zarówno zafascynowany, jak i wystraszony. To pierwsze, ponieważ orkom udało się wznieść miasto w przeciągu zaledwie trzech lat. To drugie, ponieważ było to kolejne miasto na świecie, na którym już było ich zbyt wiele.

Kiedy znajdował się w połowie Doliny Mądrości, zobaczył znajomego orka: Nazgrel, dowódca straży Thralla, wraz z czterema strażnikami.

– Witaj, ostatni z potomków Mok’Nathal. Minęło stanowczo zbyt wiele czasu.

Rexxar zdjął z szacunkiem swój wilczy hełm.

– Tak, od chwili, kiedy widziałem cię po raz ostatni, Nazgrelu, i nie, od chwili, kiedy ostatni raz byłem w mieście. Lecz złożyłem przysięgę Thrallowi i nie mogłem zostawić tego szlachetnego wojownika, aby zmarł w trawie.

Nazgrel skinął głową.

– Przyszliśmy, aby was do niego zaprowadzić, wezwano też szamana, by zajął się Byrokiem. Mamy też uwolnić Miszę od ciężaru. - Na jeden gest Nazgrela dwaj strażnicy zdjęli z grzbietu niedźwiedzia zakrwawione ciało Byroka. Niedźwiedzica zrazu warknęła, lecz uspokoiła się pod wpływem spojrzenia Rexxara.

Poszli długimi, krętymi ulicami Orgrimmaru w stronę dużego budynku na planie sześciokąta, położonego po drugiej stronie Doliny Mądrości. Thrall oczekiwał na nich w sali tronowej, która zdawała się Rexxarowi równie zimna, jak Lodowa Skała. Thrall siedział na swoim tronie, ze starym szamanem Kalmarem u jednego boku i orkiem, którego mieszaniec nie znał, u drugiego. Kiedy strażnicy położyli Byroka na posadzce przed tronem, Kalthar ukląkł przy jego boku.

Rexxar pozdrowił Wodza, nieco drżąc.

– Witaj, Wodzu Hordy.

Thrall uśmiechnął się.

– Miło znów cię widzieć, przyjacielu... żałuję tylko, że aby sprowadzić cię do Orgrimmaru, jeden z mojego ludu musiał zostać pobity niemal na śmierć.

- Jak dobrze wiesz, Wodzu, życie w mieście jest nie dla mnie.
- Owszem, wiem. Mimo to znów oddałeś nam wielką przysługę. Co z nim? - zapytał Thrall, zwracając się do szamana.
- Będzie żył, jest silny. Chce ci coś powiedzieć.
- Może? - spytał Thrall. Kalthar pociągnął nosem.
- Niezbyt, lecz wątpię, by pozwolił mi, abym się nim zajął, nim tego nie powie.
- Muszę... usiąść... pomóż mi... szamanie... - odezwał się Byrok. Jego głos brzmiał nieco mocniej niż tam, wśród traw.
- Stary ork westchnął i przywołał strażników Nazgrela, którzy pomogli mu usiąść.
- Ork opowiedział, co mu się przydarzyło, robiąc częste przerwy, aby odetchnąć. REXXAR nie wiedział nic o Płonącym Ostrzu, lecz inni najwyraźniej tak - w końcu był to stary orczy klan.
- To nie może być ten sam klan - powiedział ork, którego mieszaniec nie znał.
- Owszem, wydaje się to mało prawdopodobne, Burksie - odparł Thrall.
- Lecz jeśli to ten sam znak...
- Burx pokręcił głową.
- Możliwe, że to zbieg okoliczności, ale ja tego nie przyjmuję. Poza tym, słyszałem plotki o ludzkim kulcie, który rozwija się w Theramore. Nazywają się Ognistym Mieczem. Być może ktoś z nich miał w swej niewoli członków tego klanu, w ten sposób poznał symbol i teraz wykorzystuje go do własnych celów.
- Nazgrel pokiwał głową.
- Ja też o tym słyszałem, Wodzu.
- Z całym szacunkiem - odezwał się Kalthar. - Ale muszę go opatrzeć. Skoro wypełnił swój obowiązek, muszę zabrać go z tej niewiarygodnie

zimnej sali tronowej i wyleczyć.

– Oczywiście. - Thrall skinął głową i strażnicy, znów na gest starego szamana, wynieśli Byroka.

Thrall wstał ze swego okrytego zwierzęcą skórą tronu i zaczął się przechadzać.

– Co wiesz o Ognistym Mieczu, Nazgrelu?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Bardzo niewiele... ludzie zbierający się w swoich domach, by rozmawiać o różnych rzeczach.

Burx parsknął.

– Siedzenie i gadanie to coś, co ludzie potrafią naprawdę dobrze.

– Lecz jeśli są na tyle zuchwali, by zaatakować orka w granicach Durotaru - dodał Nazgrel - to stali się znacznie potężniejsi, niż sądziliśmy.

– Musimy jakoś na to zareagować - powiedział Burx. - To zaledwie kwestia czasu, nim ludzie zaatakują nas.

Raxxar zastanowił się nad tym.

– Skażesz na zagładę całą rasę za występki sześciu z nich?

– W mgnieniu oka zrobiliby to samo z nami - odparł Burx. - Lecz o ile nie jest to ta sama szóstka, która kradnie nasze drzewa albo stoi i nic nie robi, kiedy są atakowani nasi kupcy, chodzi tu o więcej niż sześciu ludzi.

Thrall odwrócił się do niego.

– Theramore jest naszym sojusznikiem, Burksie. Jaina nie pozwoliłaby na coś takiego tylko po to, by zwiększyć swoją władzę.

– Może nad tym nie panować - odparł Nazgrel. - Przy całej swojej władzy i szacunku, jaki sobie zyskała, jest tylko ludzką kobietą.

Rexxar przypomniał sobie, że Jaina Proudmoore była jedynym honorowo postępującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Kiedy musiała wybierać między staniem u boku swego ojca i dotrzymaniem

słowa danego orkowi, wybrała to drugie. Wybór ten ocalił Durotar od zniszczenia, nim jeszcze został na dobre ukończony.

– Lady Proudmoore - powiedział - zrobi to, co słuszne.

– Zaufanie, jakie w niej pokładasz, Mok’Nathalu, jest poruszające, lecz źle je lokujesz - powiedział Burx, kręcąc głową. - Naprawdę sądzisz, że jedna kobieta jest w stanie zmienić dziesięciolecia ludzkiego zła? Walczyli z nami, zabijali nas, zniewolili! Naprawdę sądzisz, że zmienią się tylko dlatego, że jedna osoba powie im, by tak zrobili?

– Orki się zmieniły, ponieważ jedna osoba im tak powiedziała - odparł cicho REXXAR. - Osoba ta stoi tu przed nami jako Wódz. Czy można w niego wątpić?

Słyszając to, Burx cofnął się.

– Oczywiście, że nie. Ale...

Tymczasem Thrall najwyraźniej podjął już decyzję. Usiadł na tronie, nie pozwalając Burxowi dokończyć.

– Wiem, do czego zdolna jest Jaina i znam jej serce. Nie zdradziłaby nas, a jeśli wśród jej ludu kryją się jakieś węże, Horda i najpotężniejsza czarodziejka na kontynencie poradzą sobie z nimi. Kiedy skończy z gromojaszczurami, porozmawiam z nią o tym Ognistym Mieczu.

Odwrócił się, spoglądając prosto na Burxa.

– I nie cofniemy naszego słowa, nie zaatakujemy ludzi. Jasne?

– Tak, Wodzu.

DZIESIĘĆ



Strov siedział w ciemnym kącie *Zguby demonów* już przeszło godzinę, kiedy do środka wszedł jego brat Manuel z czterema znajomymi dokerami.

Z rozkazu pułkownik Loreny porozmawiał ze swoim bratem o Płonącym Ostrzu. Manuel twierdził, że od tamtego czasu nie widział osoby, która usiłowała go zwerbować, lecz kiedy ostatnio był kilka razy w karczmie, słyszał, jak łasicowaty rybak imieniem Margoz mamrocze coś o Płonącym Ostrzu, zwykle po kilku kolejkach kukurydzianej whisky. Strov miał nadzieję, że pojawi się ten, który usiłował kilka tygodni temu zwerbować Manuela, lecz brat twierdził, że od tamtego czasu człowiek ten nie pokazał się w lokalu.

Manuel nigdy nie umiał opisywać ludzi, dlatego jedynym słowem, jakim potrafił określić Margoza, było *łasicowaty*, co pasowało do połowy tutejszej klienteli. Lecz Manuel twierdził, że zdoła go rozpoznać, jeśli tylko się pojawi, i powiedział, że wróci do karczmy po pracy w dokach.

Strov przybył wcześniej i usiadł w kącie, usiłując wtopić się w tło i obserwować ludzi. Po kilku godzinach uznał, że nigdy więcej nie zaszczyci tego przybytku swoją obecnością.

Stoły były brudne, a stółek, na którym siedział chybotął się na kamiennej posadzce. Zamówił przy barze pierwszy trunek - wodniste ale - i od tamtej pory nikt go nie pytał, co mu jeszcze podać. Strov zastanawiał się, jak właściciel utrzymuje się na rynku.

Poza tym, denerwowała go wisząca nad barem czaszka demona; miał wrażenie, że cały czas się w niego wpatruje. Choć, po głębszym namyśle uznał, że jej widmo wiszące nad każdym z gości sprawia, iż piją oni więcej i szybciej, co wydawało się rozsądnym posunięciem.

Manuel przyszedł z grupką ludzi, którzy, podobnie jak on, byli potężnie zbudowani, głośni, i ubrani tylko w luźne koszule bez rękawów oraz szerokie bawełniane spodnie. Brat Strova zarabiał na chleb załadowywaniem i rozładowywaniem statków w Theramore, po czym przepuszczał większość wypłaty przy kościach albo w tej tawernie. Był to praca wymagająca tylko dla ciała, nie dla umysłu, toteż nie interesowała Strova, ale odpowiadała mającemu znacznie mniej wyobraźni Manuelowi. Nawet wojskowe przeszkolenie wymagałoby od niego zbyt wielkiego wysiłku umysłowego. Wolał proste polecenie przeniesienia skrzyni z jednego miejsca na drugie. Coś bardziej skomplikowanego - na przykład skomplikowany układ fechtunku - przyprawiłby go o ból głowy.

Kiedy dokerzy dotarli do kontuaru, Manuel powiedział:

- Znajdźcie jakiś stół, chłopaki, a ja zamówię coś do picia.
- Płacisz za pierwszą kolejkę? - spytał z radosnym uśmiechem jeden z nich.
- Chciałbyś... rozliczymy się później - roześmiał się Manuel i podszedł do baru. Strov zauważył, że nie dotarł tam prostą drogą, lecz pod dziwnym kątem tak, by precyzyjnie się między dwoma innymi osobami, stojącymi przy kontuarze.

– ‘Bry, Erik - powiedział do barmana. Ten tylko skinął głową. - Dwa ale, jedna kukurydziana whisky, jedno wino i dziczy grog.

Strov uśmiechnął się. Manuel od zawsze miał słabość do dziczego grogu, który był rzecz jasna najdroższym napitkiem w całej karczmie. Był to jeden z kilku powodów, dla których wciąż mieszkał z rodzicami, podczas gdy Strov miał już własny kąt.

– Jak zwykle - powiedział Erik. - Już podaję.

Kiedy barman odszedł, Manuel spojrzął na człowieka siedzącego obok niego. Mężczyzna przyszedł po Strovie, lecz wypił już trzy kolejki kukurydzianej whisky.

– Ej, - odezwał się Manuel - ty jesteś Margoz, co nie?

Mężczyzna podniósł głowę i popatrzył szklistym wzrokiem na Manuela.

– To ty jesteś od tych gości z Płonącego Ostrza, nie? Jeden z nich przyszedł tu jakiś czas temu, szukał chętnych. Jesteś z nimi, ta?

– Nie wiem, o szym mówisz - Margoz wybełkotał te słowa tak, że trudno je było zrozumieć. - Szeszeszam.

Mężczyzna odsunął stół, spadł z niego, podniósł się, odtrącając wyciągniętą rękę Manuela, po czym bardzo powoli i chwiejnie ruszył w stronę drzwi.

Chwilę później, kiedy Manuel spojrzął na niego i skinął głową, Strov zostawił swój pusty od dawna kufel i również wyszedł na ulice Theramore.

Brukowane ulice tworzyły gęstą sieć między budynkami Theramore, zostały utwardzone, by można było chodzić i jeździć konno lub wozami bez obaw, że utknie się w grząskim gruncie, na którym zostało zbudowane miasto. Większość ludzi wolała chodzić właśnie po nich, niż po błotnistym i trawiastym poboczu; oznaczało to, że było tam tak tłoczno, iż Strov mógł podążać za Margozem bez obaw, że zostanie dostrzeżony.

Po tym, jak mężczyzna wpadł na cztery osoby, z których dwie bardzo starały się zejść mu z drogi, Strov zorientował się, że równie dobrze ulica mogłaby być pusta. Jego cel był tak pijany, że nie zauważyłby nawet, gdyby szedł za nim smok.

Mimo to Strov nie chciał stracić szansy na trening, dlatego trzymał się z dala i rzadko spoglądał bezpośrednio na cel, choć nie pozwalał, by ten zniknął mu z oczu.

Wkrótce dotarli do niewielkiego domu w pobliżu doków. Zbudowano go z tańszego materiału niż drewno czy kamień, co świadczyło o tym, iż mieszkali tam naprawdę ubodzy ludzie. Jeśli ten Margoz był, jak sądzi Manuel, rybakiem, to złym, bo aby się nie obłowić na wyspie położonej przy brzegu Wielkiego Morza, trzeba było naprawdę nie mieć zdolności. Najbliższa latryna była słabo zakryta i dobywający się z niej odór omal nie przyprawił Strova o wymioty.

Margoz wszedł do domu, który pierwotnie miał cztery izby, lecz teraz każdą z nich wynajęto komu innemu. Strov stanął za drzewem po drugiej stronie drogi.

W trzech pokojach już płonęły latarnie. Czwarta zapłonęła jakieś pół minuty po tym, jak do środka wszedł Margoz. Strov jak gdyby nigdy nic przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się pod jego oknem udając, że chce ulżyć pęcherzowi. Postarał się odpowiednio zataczać tak, by każdy przechodzień uznał go za pijanego. W końcu nie było niczym niezwykłym, że późno w nocy pijani zatrzymywali się, by sobie ulżyć w każdym dostępnym miejscu.

Z pokoju Margosa Strov usłyszał słowa: *Galtak Ered'nash. Ered'nash ban galar. Ered'nash havik yrthog. Galtak Ered'nash.*

Strov znieruchomiał. Nie rozpoznał reszty słów, lecz pierwsze i ostatnie zdanie wykrzykiwały orki, które zaatakowały ich w Northwatch.

Zadowolony, że skojarzył te dwa fakty, Strov nasłuchiwał dalej.

Nagle skrzywił się, czując ostry zapach siarki. W porównaniu z zapachem kloaki, siarka była bardziej przyjemna, a przynajmniej mniej drażniąca, lecz z tym zapachem było coś nie w porządku, było w nim coś złego. Słowa Margoza brzmiały jak inkantacja, a teraz to. Strov był gotów postawić w zakład swój miecz, że wchodziła tu w grę magia, i to demoniczna.

– Wybacz panie, nie chciałem... - Margoz przerwał. - Tak, wiem, że chciałeś, by cię niepokojono tylko w poważnych sprawach, lecz minęło już kilka miesięcy, panie, a ja nadal tkwię w tej samej dziurze. Chciałem po prostu wiedzieć... - znów przerwa. - Cóż, jest to dla mnie ważne! Co więcej, ludzie mówią do mnie, jakbym mógł im w czymś pomóc albo co.

Strov nie usłyszał dalszej części rozmowy, co oznaczało, że albo Margoz oszalał i mówi do siebie - w jego stanie upojenia Strov uznał to nawet za możliwe - albo druga połowa wypowiedzi była przeznaczona tylko dla jego uszu.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nikt nie... - kolejna przerwa. - Cóż, skąd ja mam to wiedzieć? Hę? Nie mam oczu z tyłu głowy!

Strov wiedział o demonach właściwie tylko, jak je zabijać, lecz ta dziwna, jednostronna konwersacja coraz bardziej śmierdziała mu demonem, i to nie tylko ze względu na siarkę.

Podciągnął spodnie. I tak już miał o czym opowiedzieć pułkownik Lorenie. Poza tym, nie uśmiechało mu się przebywanie w pobliżu demona.

Odwrócił się i stanął naprzeciw całkowitej ciemności.

– Co do...? - odwrócił się znów, lecz i tu była tylko ciemność, Theramore zniknęło.

Nie lubię szpiegów.

Strov nie tyle usłyszał ten głos, lecz odczuł go w kościach. Brzmiało to tak, jakby ktoś zaszył mu powieki, tyle tylko, że oczy miał otwarte, ale i tak nic nie widział.

Nie, nie tylko wzrok odmówił mu posłuszeństwa. Ciemność ogarniała też pozostałe jego zmysły. Nie słyszał już szumu Theramore, nie czuł słonego zapachu powietrza ani bryzy wiejącej od Wielkiego Morza.

Jedyną rzeczą, którą teraz czuł, był zapach siarki.

Dlaczego szpiegujesz mojego sługę?

Strov nic nie odpowiedział. Nie był pewien, czy jest w stanie mówić, a nawet gdyby mógł, nigdy nie zdradziłby takiej istocie żadnej informacji.

Nie mam czasu na takie zabawy. Wygląda na to, że po prostu musisz umrzeć.

Ciemność ogarnęła Strova. Jego ciało stało się zimne, krew zamarzała w żyłach, a umysł wrzeszczał w niespodziewanej, przerażającej agonii.

Ostatnią myślą Strova była nadzieja, że Manuel nie przepuści wszystkich jego oszczędności na dziczy grog...

JEDENAŚCIE



Muzzlecrank niegdyś lubił pracę goblinińskiego strażnika.

Naprawdę, kiedy się zaciągnął, była to łatwa robota. Strażnicy zapewniali spokój w Ratchet, i dobrze im płacono. Swoje zmiany Muzzlecrank spędzał na włóczeniu się po swojej części nabrzeża, od czasu do czasu biciu pijanych lub włóczęgów, przyjmowaniu łapówek od przewożących szmugiel kapitanów i aresztowaniu tych, którzy byli zbyt głupi lub za biedni, by ich było stać na łapówki, i w ogóle na spotykaniu się z wszelkimi typami osób.

Muzzlecrank zawsze uważał się za osobę towarzyską. Ratchet było portem neutralnym - gobliny z zasady nie brały udziału w licznych na kontynencie konfliktach, toteż przewijały się przezeń wszystkie istoty, jakie żyły na świecie. Elfy, krasnoludy, ludzie, orki, trolle, ogry, od czasu do czasu także gnomy - tu krzyżowały się szlaki Kalimdoru. Muzzlecrank zawsze lubił się przyglądać, jak rozmawiają, niezależnie od tego, czy były to krasnoludy sprzedające drewno elfom, elfy handlujące biżuterią z ludźmi, orki sprzedające zboże elfom, ludzie handlujący rybami z ogami czy trolle sprzedające broń wszystkim.

Później jednak sprawy stały się nieco mniej przyjemne. Zwłaszcza między ludźmi i orkami, co było o tyle kłopotliwe, że właśnie te dwie rasy najczęściej odwiedzały Ratchet. Miasto było położone zaraz za południową granicą Durotaru, stanowiło też najbliższy, obok Theramore, port.

W zeszłym tygodniu musiał przerwać bójkę między orkiem żeglarzem i ludzkim kupcem. Ten pierwszy najwyraźniej nadepnął drugiemu na odcisk i tamten się zdenerwował. Muzzlecrank musiał ich rozdzielić, nim ork stłukł człowieka na miazgę, i wcale nie było to zabawne. Wolał walczyć z włóczęgami i pijakami, ponieważ tamci byli na tyle uprzejmi, że nie oddawali. Ogarnięty szalem walki ork stanowił zupełnie inną parę butów i Muzzlecrank wolał trzymać się jak najdalej od nich.

Takie bójki oznaczały, że musiał wyciągać swoją strzelbę sieciową i za każdym razem, kiedy to robił, ryzykował, że ktoś zauważy, jak bardzo niezręcznie się nią posługuje. Oczywiście, mógł z niej z łatwością wystrzelić, to mógł zrobić byle głupek - wystarczyło wycelować i pociągnąć za spust, a ładunek sprężonego powietrza wyrzucał sieć, oplątując to, w co się celowało - lecz robił to niezgrabnie i sieć niemal zawsze chybiała celu, wywołując wiele zamieszania. Na szczęście widok strażnika celującego z wielkiej strzelby o lejkowatym wylocie lufy zwykle wystarczał, by przerwać większość bójek, a przynajmniej spowolnić je na tyle, by zjawiły się posiłki.

Od tamtej chwili nie było żadnych nowych bójek, lecz zdarzały się obelgi i gorące wymiany zdań. Doszło już do tego, że wiele statków kupieckich zawijało do Ratchet ze zbrojną eskortą - orcze statki z wojownikami z Orgrimmaru, ludzkie okręty z żołnierzami z Northwatch.

Odcinek patrolowany przez Muzzlecranka znajdował się na najdalej wysuniętej na północ części nabrzeża; znajdowało się tu dwadzieścia miejsc postojowych. Wędrując po drewnianym pomoście zobaczył, że piętnaście z

nich jest już zajętych, lecz panuje względny spokój. To była duża ulga. Słońce świeciło mu na twarz, nagrzewając jego kolczugę. Może to będzie dobry dzień.

Po kilku minutach słońce zgasło. Muzzlecrank podniósł głowę i zobaczył, że pojawiło się kilka chmur, wyglądało na to, że zaraz zacznie padać. Westchnął. Nienawidził deszczu.

Zbliżając się do końca doków dostrzegł człowieka i orka, pochłoniętych ożywioną rozmową. Muzzlecrankowi nie podobało się to. Obecnie ożywione rozmowy między ludźmi i orkami zwykle kończyły się bójką.

Podszedł bliżej. Statek człowieka był zakotwiczony tuż obok orczego, przy dwóch najbardziej wysuniętych na północ miejscach postojowych. Muzzlecrank rozpoznał w orku kapitana Klatta, dowódcę *Raknora*, kupca sprzedającego zboże rolników z rejonu Wzgórza Brzytwy. Choć nie był w stanie przypomnieć sobie nazwiska człowieka, jego statek był trawlerem, z jakiegoś powodu nazwanym *Nagroda Namiętności*. Muzzlecrank nigdy nie pojmował ludzkich obyczajów związanych z nazwami. Klatt nazwał swoją jednostkę imieniem poległego w walce z Płonącym Legionem brata, lecz nie miał pojęcia, czy *Nagroda Namiętności* ma jakikolwiek związek z rybołówstwem.

Wymiana zdań była bardzo typowa. Na bagnach, gdzie osiedlili się na Kalimdorze ludzie, trudno było coś uprawiać, lecz za to było mnóstwo ryb. Z kolei Wzgórze Brzytwy leżało zbyt daleko w głębi lądu, by rybołówstwo było opłacalne, dlatego ludzie sprzedawali swoje połowy za orcze zboże.

– Nie sprzedam ci moich najlepszych łososi za te plewy!

Muzzlecrank westchnął. Najwyraźniej dzisiaj handel nie szedł dobrze.

Klatt tupnął.

– Plewy? To nasze najlepsze zboże, ty mały, zakłamanymy idioto!

– Źle to świadczy o waszym rolnictwie - odparł sucho człowiek. - Ten zbiór wygląda, jakby nadepnął na niego ogr i tak samo śmierdzi.

– Nie pozwolę, by obrażał mnie człowiek!

Mężczyzna wyprostował się dumnie, dzięki temu sięgał orkowi do ramienia.

– To nie ciebie się tu obraża. Przywiozłem mój najlepszy połów, a ty w zamian oferujesz mi jakieś śmieci z samego dna beczki.

– Twój łosoś nie nadaje się nawet na nawóz!

Muzzlecrank zbyt późno zorientował się, że człowiekowi wisi u pasa coś, co wyglądało jak długi miecz, zaś Klatt był nieuzbrojony. Jeśli człowiek potrafił się nim posługiwać, równoważył tym wszelką przewagę, jaką dawał Klattowi jego wzrost.

– A twojego plonu nie dałbym nawet psu!

– Tchórz!

Słyszając słowa Klatta, Muzzlecrank skrzywił się. Nazwanie tchórzem było najgorszą orcza obelgą.

– Brudny zielonoskóry! A już się zastanawiałem...

Niezależnie od tego, nad czym zastanawiał się człowiek, nie miał już na to czasu, gdyż Klatt rzucił się na niego. Nie miał czasu wyciągnąć swojego miecza, więc obaj potoczyli się ku dokom. Ork zasypywał człowieka gradem ciosów.

Muzzlecrank zastanawiał się właśnie, jak przerwać tę bójkę, lecz od natychmiastowej interwencji ocaliła go ludzka eskorta. Z pokładu *Nagrody Namiętności* zbiegło trzech żołnierzy w płytowych zbrojach świadczących, że są w służbie lady Proudmoore, i oderwało Klatta od kapitana.

Jednak Klatta nie mogło powstrzymać tylko trzech ludzi. Jednego trafił w żołądek, drugiego złapał i cisnął nim w trzeciego.

Teraz z pokładu *Raknora* zaczęły zbiegać orki, chcąc przyłączyć się do walki. Muzzlecrank zdał sobie sprawę, że musi coś zrobić, nim sprawy wymkną się spod kontroli.

Uniósł swoją strzelbę sieciową i z całego serca mając nadzieję, że nie będzie musiał zrobić z niej użytku, krzyknął:

– Dobra, dosyć tego! Przestańcie, i to już, albo wszyscy traficie do lochu, rozumiano?!

Klatt, który właśnie miał skoczyć na ludzkiego kapitana, zatrzymał się w pół kroku. Jego cel, krwawiąc z nosa i uszu, zawołał: „To on mnie zaatakował!” Jego głos brzmiał dziwnie, prawdopodobnie na skutek uszkodzenia nosa.

– Tak, zasłużyłeś na to, bo nie dotrzymałeś słowa - prychnął Klatt.

– Ale to nie powód, aby człowieka zabijać!

– Powiedziałem dosyć! - krzyknął Muzzlecrank, nim Klatt zdołał odpowiedzieć. - Obaj jesteście aresztowani. Pójdziecie sami albo was zaniosą, mnie jest wszystko jedno.

Popatrzył na ludzi i orków.

– Tu jest ziemia goblinów, a to znaczy, że to ja wydaję rozkazy, jasne?! Macie dwa wyjścia: albo pomożecie mi wsadzić obu tych awanturników do lochu, nim zajmie się nimi sędzia, albo zabierajcie wasze statki z Ratchet. Wybierajcie.

Technicznie rzecz biorąc, słowa Muzzlecranka były prawdziwe. Celowo starał się mówić grubszym głosem, by przydać sobie autorytetu. Wiedział też, że nie ma sposobu, by powstrzymać któregośkolwiek z nich, gdyby zechcieli go zignorować i walczyć dalej. Jeśli wystrzeli, najwyżej owinie się wokół jednego z pachołków.

Ku jego wielkiej uldze, jeden z ludzi powiedział:

– Zrobimy, jak mówisz.

Najwyraźniej orki nie chciały być uważane za te, które gwałcą suwerenność Ratchet w obecności ludzi, dlatego jeden z nich szybko dodał:

– My też.

Prowadząc Klatta i zakrwawionego człowieka w głąb łądu, Muzzlecrank usiłował zapanować nad swoim oddechem, nim się zatka. Nie radził sobie z takimi nerwami. Zastanawiał się, w jakiej innej robocie byłby dobry. Bycie strażnikiem zdecydowanie straciło cały swój urok.



Major Davin był tak wściekły, że zaczął szarpać własną brodę i musiał się od tego powstrzymać. Ostatnim razem, kiedy się tak rozzłościł, wyrwał sobie garście włosów; było to nie tylko bolesne, ale też stało w sprzeczności z regulaminem.

Przyczyną jego stanu był raport kaprała Rycha, złożony po pospiesznym powrocie z Ratchet.

– Aresztowano kapitana Joqą?

– No cóż, szczerze mówiąc, sir - odezwał się Rych - orka też aresztowali. Kiedy tylko zaczęła się bójka, wkroczył jeden z goblinów strażników.

– A wy mu pozwoliliście zaaresztować Joqą?

Rych zamrugął.

– Nie miałem wyboru, sir. Ratchet podlega goblinom. Nie mamy tam...

Davin pokręcił głową.

– Wiem, wiem, żadnej władzy.

Wstał ze swego krzesła i zaczął spacerować po biurze, zrazu kierując się ku drzwiom.

– To śmieszne. Nie powinniśmy podlegać takim idiotyzmom.

– Sir, nie rozumiem, co oni mogliby...

– Orki mają tupet, skoro usiłują nas tak oszukać - odwrócił się i ruszył w stronę okna.

– To z pewnością prawda, sir - powiedział Rych, przytakując gorliwie. - To, co nam proponowali, sir, było po prostu ohydne. Jak obelga. A potem ten ork zaatakował kapitana. Bez powodu.

Major zatrzymał się przy oknie i popatrzył na rozciągający się z niego widok na Wielkie Morze. Słabe fale uderzały łagodnie, obmywając piaszczystą plażę. Wyglądało to sielsko, lecz Davin wiedział, że to złudny spokój.

– To wymyka się nam spod kontroli. Jeśli orki dalej będą się tak zachowywać, wybuch kolejnej wojny jest tylko kwestią czasu.

– Nie sądzę, by tak się stało, sir. - W głosie Rycha brzmiało powątpiewanie, lecz Davin wiedział swoje.

– Wybuchnie, kapralu, tego możecie być całkowicie pewni. A jeśli przy ich boku staną taureni i trolle, zaleją nas... chyba, że będziemy przygotowani.

Obrócił się ku drzwiom.

– Szeregowy!

Wszedł szeregowiec Oreil. Davin westchnął, jak zawsze, kiedy widział swego adiutanta. Nieważne, jak często dopasowywano mu zbroję, zawsze wyglądał w niej tak, jakby była na niego za duża.

– Tak, sir?

– Wyślij natychmiast wiadomość do Theramore. Potrzebujemy posiłków, i to tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Tak jest, sir, natychmiast, sir. - Oreil zsalutował i wyszedł ze strażnicy by poszukać kamienia widzenia, który pozostawiła lady Proudmoore, by

utrzymać łączność między Northwatch i Theramore. Nie można było przy jego pomocy długo rozmawiać, ale wysłać wiadomość - tak.

Rych podrapał się z namysłem po brodzie.

– Ee, sir, z całym szacunkiem, i tak dalej... czy to aby na pewno dobry pomysł, sir?

– Bardzo dobry. - Davin na powrót usiadł przy biurku. Teraz, kiedy podjął już odpowiednie kroki, nie czuł potrzeby wyrywania sobie włosów z brody. - Nie pozwolę, by te zielonoskóre dranie wzięły nas z zaskoczenia.

DWANAŚCIE



Aegwynn bardzo pragnęła, by irytująca młoda kobieta po prostu sobie poszła. Oczywiście, nie mogła na to liczyć. Aegwynn była zbyt realistką, by mieć na to nadzieję. Ale nie powstrzymało to jej przed życzeniem sobie tego z całego serca. Była sama przez dwa dziesięciolecia i nauczyła się cenić samotność. W rzeczy samej, przez te dwadzieścia lat była szczęśliwsza niż przez stulecia poprzedzające jej wygnanie.

Miała szczerą nadzieję, że ten płaskowyż, otoczony nieprzebytymi górami, jest wystarczająco odległy, a zaklęcia ochronne tak mało widoczne, że nikt jej nie odnajdzie. Teraz wiedziała już, że była to płonna nadzieja.

– Nie mogę uwierzyć, że jeszcze żyjesz.

Ta Proudmoore brzmiała jak nastolatka. Aegwynn wiedziała jednak, że kobieta zazwyczaj tak nie mówiła, gdyż zaczęła się tak zachowywać dopiero, gdy poznała tożsamość Aegwynn.

Proudmoore mówiła dalej.

– Zawsze byłaś moją bohaterką. Kiedy byłam uczennicą, czytałam opisy twoich czynów... byłaś największym ze Strażników.

Aegwynn zadrżała na myśl o zgrzybiałych głupcach w Fioletowej Cytadeli, którzy o niej pisali.

– Nie sędzę - odpowiedziała.

Nie mogąc wytrzymać ani chwili dłużej, podniosła wiadro z wodą i ruszyła z powrotem do chaty. Jeśli będzie miała szczęście, ta Proudmoore zostawi ją w spokoju.

Lecz tego dnia Aegwynn nie miała zbyt dużo szczęścia.

Proudmoore podążyła za nią.

– To dzięki tobie mogłam zostać czarodziejem.

– I to dla mnie wystarczający powód, bym żałowała, że nim zostałam - mruknęła Aegwynn.

– Nie rozumiem... czemu tu jesteś? Czemu nie powiedziałaś nikomu, że żyjesz? Naprawdę, przydałabyś się nam w walce przeciwko Płonącemu...

Aegwynn Upuściła wiadro na ziemię i obróciła się gwałtownie w stronę drugiej kobiety.

– Jestem tu z powodów, których ty nie poznasz. A teraz zostaw mnie w spokoju!

Niestety, słowa te sprawiły jedynie, że Proudmoore zrezygnowała z dziewczęcej afektacji i wróciła do osobowości przywódcy, którym bez wątpienia była.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, Magna. Jesteś zbyt ważna...

– Nie jestem zbyt ważna na cokolwiek! Nie rozumiesz, głupia dziewczynko!?! Nie jestem dobrym towarzystwem dla ludzi... ani orków, trolli, krasnoludów, możesz wymieniać dalej.

To sprawiło, że dziewczyna się cofnęła. Aegwynn widziała kłębiącą się w niej magię i uświadomiła sobie, że dziewczyna mogła być młoda, ale na pewno posiadała sporą moc. W końcu przeszła przez zaklęcia ochronne tak, że Aegwynn nawet tego nie zauważyła, a to świadczyło o sporych umiejętnościach.

– Nie jestem dziewczynką. Jestem czarodziejką z Kirin Tor.

– A ja mam tysiąc lat, więc jeśli o mnie chodzi, musisz przeżyć jeszcze parę stuleci, zanim zacznę cię nazywać inaczej, dziewczynko. A teraz odejdz, chcę zostać sama.

– Dlaczego? - Proudmoore wydawała się szczerze zmieszana, co sprawiło, iż Aegwynn zaczęła podejrzewać, że młoda czarodziejka nie przeczytała jej historii... albo też jej historia została solidnie ocenzurowana, zanim Proudmoore do niej dotarła. - W końcu to ty przetarłaś szlak dla kobiet, by mogły zostać czarodziejkami. Jesteś jedną z bohaterek Azeroth. Jak możesz odwracać się plecami...

– Właśnie tak. - Aegwynn odwróciła się i weszła do domu, porzucając wiadro. Zabierze je później.

Naturalnie, druga kobieta nie poddała się, lecz podążyła za nią przez wypaczone drewniane drzwi.

– Magna...

Stojąc pośrodku tego, co żartobliwie nazywała salonem - była to jedyna izba w chacie, więc służyła również jako sypialnia, kuchnia i jadalnia - wykrzyknęła:

– Nie nazywaj mnie tak! Już nie jestem magiem, w ogóle nie jestem bohaterem i nie chcę cię widzieć w moim domu. Powiedziałaś, że przetarłam szlak dla kobiet, by mogły zostać magami... jeśli już, jestem najlepszym dowodem na to, że kobiety nigdy nie powinny nimi zostawać.

– Mylisz się - odparła Proudmoore. - To dzięki tobie...

Aegwynn uniosła ręce do uszu i powiedziała:

– Na miłość wszystkich świętości, mogłabyś przestać?

Proudmoore odezwała się cicho.

– Nie mówię niczego, czego nie byłabyś świadoma. Gdyby nie twoje dzieła, demony przybyłyby o wiele wcześniej, a my...

– A co to za różnica? - Aegwynn prychnęła. - Demony jednak przybyły, Lordaeron jednak został zniszczony, Król Licz wciąż rządzi, a Sargeraz jednak zwyciężył.

Proudmoore z jakiegoś powodu skrzywiła się, słysząc wzmiankę o Królu Liczu, jednak Aegwynn nie była dostatecznie zainteresowana, by o to spytać.

– Możesz zaprzeczać swoim osiągnięciom, lecz to nic nie zmienia. Byłaś natchnieniem dla wszystkich... - dziewczyna uśmiechnęła się - ...dla wszystkich dziewczynek, które chciały dorosnąć i zostać magami. W cytadeli moją ulubioną historią była opowieść o tym, jak zostałaś wybrana przez Scavella, pierwszego maga, który zobaczył wartość w uczennicy, by zostać pierwszą Strażniczką, i jak Strażnicy Tirisfal przyklasnęli temu wyborowi...

Aegwynn nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się. Śmiała się długo i na całe gardło. W rzeczy samej, miała problem z oddychaniem, tak bardzo się śmiała. Zaczęła kaszleć, by po chwili się opanować. Jej ciało w końcu, po tysiącu lat, zaczynało się starzeć, ale wciąż pozostało jej trochę energii i byle atak śmiechu nie mógł pozbawić jej sił.

W każdym razie, od setek lat tak się nie uśmieiała.

Proudmoore skrzywiła się, jakby ktoś nakarmił ją cytryną.

– Nie widzę, co w tym takiego śmiesznego.

– Oczywiście, że nie. - Aegwynn roześmiała się i odetchnęła kilka razy. - Jeśli uwierzyłaś w te bzdury, to nic dziwnego, że nie widzisz. - Ostatni oddech, zmieniony w westchnienie. - Skoro upierasz się przy naruszaniu mojej prywatności, lady Jaino Proudmoore z jakże szlachetnego miasta Theramore, to usiądź. - Wskazała na wiklinowe krzesło, które wyplatała przez cały trzeci rok wygnania, a potem ani razu na nim nie usiadła. -

Opowiem ci prawdziwą historię, jak stałam się Strażnikiem Tirisfal i dlaczego jestem ostatnią osobą, którą można uznać za bohatera...



Osiem setek i czterdzieści siedem lat wcześniej...

Po raz pierwszy od wielu lat Polany Tirisfal przerażały Aegwynn. Lasy na północ od stolicy Lordaeronu były miejscem pięknym i spokojnym, z dala od zgiełku. Matka po raz pierwszy zabrała ją na biwak, kiedy Aegwynn była małą dziewczynką. Wówczas uważała, że są jednocześnie przerażające i fascynujące. Była zaskoczona swobodnie wędrującymi zwierzętami, oszołomiona niesamowitymi barwami roślin i zadziwiona, jak wiele gwiazd może zobaczyć na niebie z dala od pochodni i lamp miasta. Z czasem strach zniknął, a jego miejsce zajęła radość, podziw i, czasami, ulga.

Aż do dzisiaj. Dzisiaj strach wrócił z całą swoją siłą.

Od dziecka była uczennicą maga Scavella i pracowała razem z czterema innymi uczniami, którzy, rzecz jasna, byli chłopcami. Aegwynn zawsze chciała być magiem, lecz rodzice ciągle powtarzali jej, że kiedy dorośnie, zostanie czyjąś żoną i koniec, wystarczy już zabawy ziołami i innymi takimi, wkrótce będzie musiała nauczyć się znacznie ważniejszych rzeczy, jak szycie czy gotowanie...

Takie zapewnianie trwało do chwili, kiedy spotkała Scavella, który zaproponował jej, by została jego uczennicą - i jasno dał do zrozumienia, że odmowa nie wchodzi w grę. Rodzice zaczęli lamentować, że tracą swoją ukochaną córeczkę, ale Aegwynn była niesamowicie przejęta. Miała się uczyć na maga!

Oprócz niej było jeszcze trzech innych uczniów - Falric, Jonas i Manfred, którzy byli prawie tak samo irytujący, jak wszyscy chłopcy, których Aegwynn znała. Czwarty, Natale, pojawił się rok później.

Dziś Scavell oznajmił im, że jest członkiem tajnego bractwa znanego jako Strażnicy Tirisfalen. Aegwynn z początku myślała, że las, który tak bardzo lubiła, został tak nazwany na ich cześć, lecz okazało się, że jest dokładnie odwrotnie - nazwali się tak od miejsca swoich spotkań, które odbywały się tam od stuleci. To zaskoczyło Aegwynn, która nigdy nie widziała żadnego z nich, i to pomimo wieloletnich, regularnych wypraw.

Wówczas Scavell powiedział, że pójdą tam, by spotkać Tirisfalen.

Chłopcy zaczęli rozmawiać o tajnych stowarzyszeniach, uznając je za fascynujące, lecz Aegwynn nie brała w tym udziału. Chciała wiedzieć, czym dokładnie jest owo Tirisfalen - Scavell nie wyrażał się zbyt szczegółowo. Kiedy chłopcy po prostu ufali słowom maga, Aegwynn chciała wiedzieć więcej.

– Wkrótce zobaczysz, dziewczynko - powiedział Scavell w odpowiedzi na jej pytanie. Zawsze zwracał się do niej per dziewczynko.

Gdy mag zaprowadził ich na polanę, Aegwynn była zmieszana. Nie było tam nikogo.

Chwilę później, kiedy już zamierzała zapytać Scavella, co się dzieje, w nagłym rozbłysku światła mag i czwórka jego uczniów zostali otoczeni przez siedem osób, stojących w idealnym okręgu. Było tam trzech ludzi, trzy elfy i jeden gnom. Sami mężczyźni.

– Wybraliśmy - oznajmił jeden z elfów.

– Co? - zapytał Falric.

– Bądź cicho, chłopcze, to się zaraz dowiesz - powiedział gnom.

– Wyszkoliłeś dobrze wszystkich swoich pięciu uczniów, Magna Scavellu - rzekł elf do maga.

Aegwynn zmarszczyła czoło; nigdy wcześniej nie słyszała tego tytułu.

– Jednak jeden z nich wyróżniał się spośród pozostałych. Wykazał się dociekliwością przekraczającą zwykłą ciekawość, wyjątkową zdolnością w rzucaniu czarów i już zna zwoje Meitre.

Teraz serce Aegwynn zaczęło walić jak młot. Nocny elf Meitre był magiem sprzed tysięcy lat. Elfi magowie nie próbowali rzucać zaklęć z jego zwojów aż do ostatniego roku swej nauki, zaś ludzcy magowie nie próbowali, dopóki ich edukacja nie została ukończona. Jednak Aegwynn rzucała jego zaklęcia na zawołanie już po pierwszym roku nauki.

Robiła to po kryjomu - Scavell nalegał na to, twierdząc, że tylko zdenerwuje chłopców.

Falric popatrzył na swoich towarzyszy.

– Który z was rzucał zaklęcia Meitre?

– Ja - odparła z uśmiechem Aegwynn.

– Kto ci pozwolił? - spytał z gniewem Manfred.

– Ja, młody Manfredzie - odparł swoim suchym, szeleszczącym głosem Scavell. - A ty i Falric moglibyście wykazać dość rozumu i nie odzywać się więcej bez pytania.

– Tak, mistrzu - odparli chórem obaj, zwiesiwszy głowy.

Elf ciągnął dalej:

– Musicie się teraz wszyscy dowiedzieć, że trwa wojna. Większość ludzi nawet o niej nie wie, tylko zgromadzenie magów, do którego pewnego dnia dołączycie. Nasz świat najechały demony, i mimo naszych wysiłków, z każdym rokiem stają się coraz bardziej agresywne.

– Właściwie - wtrącił gnom, co ściągnęło na niego piorunujący wzrok elfa - to właśnie przez nasze wysiłki, które coraz bardziej je rozwścieczają.

– Demony? - W głosie Natała brzmiał strach. Zawsze bał się demonów.

– Tak - potwierdził jeden z ludzi. - Przy każdej okazji razem starają się nas zniszczyć. Tylko magowie są w stanie im sprostać.

– Tirisfalen - mówił dalej elf, spoglądając na człowieka wzrokiem wyraźnie świadczącym, że i ten wtręt mu się nie podoba - ma za zadanie chronić świat przed demonami, a my stworzyliśmy Strażnika. Najlepsi młodzi magowie są zbierani przez obecnego Strażnika... w tym przypadku waszego mistrza Scavella... który ich szkoli. Wtedy określamy, kto najlepiej nadaje się na kolejnego Strażnika.

– Wybór nie był łatwy - powiedział gnom.

– I był głupi - mruknął Jonas.

– Co powiedziałaś, młody człowieku? - spytał elf.

– Powiedziałem, że ten wybór był głupi. Aegwynn jest dziewczyną. Nadaje się na zielarkę, szykującą ziołowe leki dla wieśniaków czy coś, ale to wszystko! Wszyscy jesteście magami!

Aegwynn popatrzyła na Jonasa z zaskoczeniem i niesmakiem. Nawet się jej podobał, czasem spali ze sobą. Utrzymywali to w tajemnicy przed innymi uczniami, choć Scavell o tym wiedział - nic nie mogło umknąć spojrzeniu starego maga. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała z jego ust, były te słowa - prędzej od Falrica, który był nadętym dupkiem, ale nie od Jonasa... przysięgła sobie, że już nigdy nie zaciągnie jej do łóżka.

– To prawda - westchnął starszy człowiek - że kobiety są emocjonalne i skłonne do wybuchów, które nie przystoją magowi. Lecz jest także prawdą, że Aegwynn ma największy potencjał spośród wszystkich, których Scavell odnalazł, a nie możemy pozwolić sobie na Strażnika, który nie będzie najlepszy... nawet jeśli oznacza to, że zostanie nim dziewczyna.

Słyszając to, Aegwynn się nastroszyła.

– Z całym szacunkiem, szlachetni panowie, będę równie dobrym magiem jak każdy z tych chłopców. Prawdę mówiąc, będę nawet lepsza od

nich, ponieważ pokonałam znacznie więcej trudności, aby się tu dostać.

– Ma rację - zachichotał elf.

– Chwila, moment - odezwał się Natale - skoro ona ma być tym, no, Strażnikiem, to my co dostaniemy, nic?

– Bynajmniej - odparł elf. - Każdy z was ma ważną rolę do odegrania. Wszyscy magowie z naszego bractwa biorą udział w tej walce. Po prostu funkcja Strażnika jest najważniejsza.

– Scavellu - zwróciła się Aegwynn do swego mentora - a co z tobą? Dlaczego rezygnujesz z bycia Strażnikiem?

Scavell uśmiechnął się.

– Jestem już stary, dziewczynko, i bardzo zmęczony. Walka z hordami demonów to zabawa dla młodych. Chciałbym przeżyć te kilka lat, które mi jeszcze zostały, przygotowując następne pokolenie.

Odwrócił się do chłopców.

– Bądźcie pewni, że nadal będę waszym mentorem.

– Cudownie - mruknął Falric. Cała czwórka wyglądała, jakby ktoś podciął im skrzydła.

– Tak naprawdę - powiedział z irytacją gnom - to właśnie fakt, że jesteście tacy niedojrzali sprawił, iż wybraliśmy Aegwynn.

– Poza tym - dodał starszy człowiek - Strażnik musi być narzędziem rady. Przypuszczam, że dziewczyna będzie bardziej elastyczna i szybciej pojmie łańcuch dowodzenia.

– To nie jest zaciąg - powiedział drugi człowiek.

– Mówiliście o wojnie. - Aegwynn nie mogła się powstrzymać.

– Całkiem słusznie - powiedział elf, uśmiechając się lekko. Potem spojrzał prosto na Aegwynn oczami, które zdawały się przenikać aż do jej duszy. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć, dziewczynko, nim przejdiesz przemianę mocy. Zostanie ci udzielona magia całego Tirisfalen. Zrozum

mnie dobrze, Aegwynn... przyjmujesz największy obowiązek, jaki może przyjąć mag.

– Rozumiem - odpowiedziała Aegwynn, choć nie była całkiem pewna, że tak właśnie jest. Lecz chciała być magiem bardziej, niż kimkolwiek innym na świecie i wiedziała, że podstawowym obowiązkiem każdego maga jest utrzymywanie spokoju na świecie. W najlepszym wypadku, dzięki magii czarodzieje zaprowadzali ład w świecie chaosu, a Aegwynn wiedziała, że pracy jest dość.

Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak wiele. Albo dlaczego tak naprawdę Scavell pokazał jej zwoje Meitre.

Falric zrobił krok do przodu.

– A niech mnie, jestem tak samo dobry, jak każda dziewczyna, a nawet od niej lepszy! Umiem nawet rzucać jedno z zaklęć Meitre! Patrzcie!

Falric zamknął oczy, po czym je otworzył i zaczął wpatrywać się w głaz, który wystawał z ziemi przed elfem. Wymamrotał inkantację, po czym powtórzył ją - zaklęcia Meitre należało zawsze powtarzać dwa razy, co, jak mówił Scavell, było zabezpieczeniem.

Błysk światła i głaz zaczął roztaczać żółtawą poświatę. Falric popatrzył na Aegwynn, po czym uśmiechnął się do otaczających ich magów.

– Skąła w złoto - stwierdził gnom. - Co za brak oryginalności.

– Właściwie - powiedział z uśmiechem elf - to złoto głupców.

Uśmiech zniknął z twarzy Falrica.

– Co?! Niemożliwe! - Rzucił szybko zaklęcie identyfikacji i jego mina wydłużyła się jeszcze bardziej. - A niech to!

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć - powiedział elf - ale wszyscy macie duże zdolności. Falricu, Manfredzie, Jonasie, Natale, wkrótce odnajdziecie je jako uczniowie Scavella. - Znów to przeszywające spojrzenie. - Aegwynn, twoje przeznaczenie nadejdzie nieco wcześniej. Za miesiąc

spotkamy się na tej polanie, aby przekazać ci moc. Czekają cię długie przygotowania.

Po tych słowach wszyscy członkowie rady zniknęli w błysku światła.



Miesiąc później, opowiedziawszy Aegwynn o legionach demonów i ich przerażających sługach, którzy usiłowali opanować cały świat, i o Strażnikach, dzięki którym im się to nie udawało, Scavell przekazał dziewczynie swoją moc Strażnika. Takiego uczucia nie doświadczyła nigdy wcześniej. Zaklęcia, które kiedyś rzucała dopiero po skupieniu całej swej woli, teraz wymagały tylko chwili namysłu. Zmieniły się także jej zmysły, potrafiła przejrzeć każdą powłokę. To, co kiedyś wymagało od niej pewnego wysiłku - albo rzucenia skomplikowanego zaklęcia - jak określenie właściwości rośliny czy uczuć zwierzęcia, teraz odgadywała po jednym rzucie oka.

Rok potem Scavell zmarł spokojnie we śnie. Kiedy zorientował się, że odchodzi, postarał się odnaleźć nowych magów, którzy mogliby pokierować naukami Jonasa, Natale i Manfreda. Falric był już gotowy zostać sam. Scavell przekazał cały swój dobytek, jak również służbę, Aegwynn.

Jakiś miesiąc po jego śmierci Aegwynn wróciła z małej wioski Jortas w samą porę, by odebrać magiczne wezwanie od rady.

Kiedy tylko przybyła na polanę Tirisfalen, gnom, który, jak się okazało, miał na imię Erbag, zapytał:

– Coś ty porabiała w Jortas?

– Ratowałam ich od Zmodlora. - Aegwynn sądziła, że rozumie się to samo przez się.

– A czy pomyślałaś, by dowiedzieć się trochę więcej o Zmodlorze, zanim go zniszczysz? Czy zaplanowałaś strategię, jak pozbyć się go tak, by mieszkańcy wsi nie dowiedzieli się prawdy? Czy tylko rzuciłaś się na oślep wywijając rękami, mając nadzieję, że ci się uda?

Zmęczenie i irytacja spowodowały, że Aegwynn stała się nieco bardziej bezpośrednia niż zwykle w obecności rady.

– Nic z tych rzeczy, Erbagu, i ty o tym dobrze wiesz. Nie było czasu, by opracowywać taką strategię, albo dowiadywać się czegoś więcej. To naraziłoby dzieci ze szkoły, którą opanował Zmodlor, na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Tam były dzieci. Miałam trzymać się z tyłu i...

– To, co miałaś zrobić - powiedział Erbag - to wykonywać polecenia. Czyż Scavell nie nauczył cię dróg Tirisfalen? Postępujemy ostrożnie i z...

– To, co robicie, Erbagu, to reakcja - przerwała mu Aegwynn. - To wszystko, co robicie, dlatego przez kilka stuleci poczyniliście tak niewielki postęp w walce z tymi obrzydliwymi kreaturami. Zmodlor opanował szkołę i zamierzał posłużyć się dziećmi z Jortas przy rytuale, który zatruliby ich dusze. Tylko przez przypadek wykryłam smród demonicznej magii i zdołałam przybyć na czas. Nasze metody to reakcja.

– Oczywiście, że tak! - Erbag zaczął wymachiwać rękami. - Ta rada została stworzona, by reagować na zagrożenie...

– I to nie działa. Jeśli rzeczywiście mamy stawić czoła tym potworom, które atakują i niszczą nasze domy, nie możemy pozwolić, by zbliżały się do nas tak łatwo, żeby chwyciły dzieci, zanim spostrzeżemy ich obecność. Musimy sami ich szukać i eliminować, inaczej nas zaleją.

Erbag nadal nie był przekonany.

– A kiedy ludzie zaczną zdawać sobie sprawę, że ich życie znajduje się w niebezpieczeństwie i zaczną panikować?

Aegwynn, zamiast odpowiedzieć na pytanie, spojrzała na pozostałych członków rady.

– Czy Erbag mówi w imieniu was wszystkich, czy po prostu jest najgłośniejszy?

Najstarszy z obecnych elfów, Relfthra, zaszczyił ją lekkim uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, obie te rzeczy, Magna. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Erbag ma rację mówiąc, że jesteś zbyt lekkomyślna. Zmodlor to tylko pomniejszy demon na usługach Sargerasa; mógłby dostarczyć nam pożytecznych informacji o swoim panu.

– Tak, a zanim by je nam dostarczył, pozabijałby te wszystkie dzieci.

– Być może. Lecz to jest ryzyko, jakie czasami musimy podejmować, by prowadzić tę wojnę dalej.

Aegwynn była przerażona.

– Mówimy tu o życiu dzieci. Poza tym, to nie wojna, to najwyżej akcja powstrzymująca. I jeśli nie będziemy ostrożni, to będziemy wybijani, dorośli i dzieci. - Zanim którykolwiek z magów zdołał ją skrytykować, powiedziała: - O mądry magowie z rady, z całym szacunkiem, błagam was... jestem wyczerpana i chciałabym się przespać. Czy jest coś jeszcze?

Twarz Relfthry pociemniała.

– Pamiętaj, kim jesteś, Magna Aegwynn. Jesteś Strażniczką, lecz pełnisz tę funkcję z ramienia Rady Tirisfalen. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Wątpię, byście kiedykolwiek mi na to pozwolili - mruknęła Aegwynn.
- Czy to wszystko?

– Na razie - powiedział Relfthra. Ledwo słowa opuściły jego usta, Aegwynn teleportowała się do Fioletowej Cytadeli, rozpaczliwie pragnąc się przespać.

TRZYNAŚCIE



Lorena była rozczarowana, ale nie do końca zaskoczona, gdy ujrzała Kristoffa siedzącego na tronie lady Proudmoore. Sama czarodziejka unikała siadania na nim, jeśli tylko mogła, lecz szambelan upierał się, by z niego korzystać, kiedy to on zarządzał Theramore.

Kristoff nie tyle usadowił się na tronie, co udrapował się na nim. Opuścił wąskie ramiona i siedział pod kątem, z jedną nogą przewieszoną przez podłokietnik. Kiedy przybyła Lorena, wprowadzona przez Duree, czytał zwój.

– Pułkownik Lorena, sir - powiedziała cicho stara kobieta.

– O co chodzi, pani pułkownik? - spytał Kristoff, nie podnosząc głowy znad zwoju.

– Szeregowiec Strov zniknął - powiedziała bez wstępów.

Teraz podniósł wzrok znad zwoju, i uniósł brew.

– Czy to imię powinno mi coś mówić?

– Mówiłoby, gdybyś był bardziej uważny podczas spotkań w komnacie lady.

Kristoff odłożył zwój na bok i wyprostował się na tronie.

– Mów innym tonem, kiedy zwracasz się do mnie w tej sali, pani pułkownik.

Lorena spojrzała z osłupieniem na szambelana.

– Będę mówiła do ciebie tak, jak mi się podoba, niezależnie od pomieszczenia, w którym się znajdujemy. Lady Proudmoore poleciła ci zarządzać Theramore pod swoją nieobecność. To nie znaczy, że stałeś się nią. - Prychnęła. - Przede wszystkim, nie masz do tego odpowiednich atrybutów.

Kristoff skrzywił się.

– Do powrotu lady Proudmoore mam prawo działać w jej zastępstwie, i masz mnie traktować z szacunkiem.

– Kristoffie, jesteś szambelanem, co oznacza, że możesz doradzać lady Proudmoore, podobnie jak ja. Porzuć więc te wspaniałe iluzje.

Kristoff odchylił się do tyłu i znów podniósł zwój.

– Przyszłaś tu z jakiegoś powodu? - spytał znudzonym tonem.

– Jak już mówiłam, szeregowy Strov zniknął. Wysłałam go, żeby zbadał sprawę Płonącego Ostrza. Rozmawiałam z jego bratem... Manuel mówi, że umówili się na spotkanie w *Zgubie Demonów*. Strov siedział w kącie, Manuel rozmawiał z osobą, którą uważali za członka Płonącego Ostrza, a Strov zaczął go śledzić. To było poprzedniej nocy, a od tego czasu nie miałam od niego wieści.

– A czemu ja miałbym się tym przejmować? - Kristoff nadal wydawał się znudzony.

– Ponieważ, ty bełkoczący idioto, badał Płonące Ostrze. To samo Płonące Ostrze, które zaatakowało mnie i moich ludzi w Northwatch. Myślę, że to podejrzane, nieprawdaż?

– Nieszczególnie. - Znów odłożył zwój. - Żołnierze cały czas dezerterują. To smutna prawda... sądziłem, że jesteś tego świadoma, pani

pułkownik.

– Jestem tego świadoma, szambelanie - odparła Lorena przez zaciśnięte zęby - ale znam też Strova. Raczej odrąbałby sobie kończynę niż zdezerterował. To najlepszy żołnierz, jakiego mam. Chcę rozłożyć tę wyspę na kawałki, żeby go odnaleźć.

– Nie.

Lorena instynktownie sięgnęła do miecza, lecz wiedziała, że zarządanie mężczyzny siedzącego na tronie Theramore byłoby głupotą, niezależnie od tego, jak bardzo by na to zasługiwał.

– Co to znaczy *nie*?

– Zakładam, że pułkownik zna znaczenie słowa...

– Bardzo śmieszne. - Zdjęła dłoń z rękojeści miecza i podeszła do jednego z wielkich okien, głównie po to, by nie musieć patrzeć na Kristoffa. Niebo było tak czyste, że widziała wyspę Alcaz na północnym wschodzie. - To Płonące Ostrze mnie martwi, szambelanie. Korzystają z magii i...

– Obecnie, pani pułkownik, Płonące Ostrze to niewiele więcej niż plotka... i to taka, której nie możesz potwierdzić, skoro twój szeregowiec zaginął. Obawiam się, że nie mogę poświęcić środków Theramore na szukanie dezertera... zwłaszcza, że środki te są potrzebne gdzie indziej.

Lorena obróciła się na pięcie i spytała:

– O czym ty mówisz?

– Przychodząc tu, oszczędziłaś mi kłopotu wezwania cię - stwierdził Kristoff.

Lorena zaczęła się zastanawiać, dlaczego od razu o tym nie wspomniał i głośno wyraziła swoje wątpliwości.

Kristoff uśmiechnął się szyderczo.

– Nie masz prawa zadawać pytań osobie, która siedzi na tym tronie, pani pułkownik, masz słuchać jej rozkazów. Obecnie, osoba ta mówi ci, że właśnie otrzymała wieści, iż wojska orków zbierają się w Kolkar. To część Durotaru najbliższa Northwatch.

Lorena nie próbowała mu nawet zwrócić uwagi, że cholernie dobrze wie, gdzie jest Kolkar.

– Kiedy się to stało? - spytała, chmurząc się.

– Tego ranka. Major Davin potrzebuje dodatkowego wzmocnienia, a ja chcę, żebyś je poprowadziła.

Stanowisko Loreny nie oznaczało, że ma nadzorować wszystkie poruszenia wojsk w Theramore i Northwatch, oznaczało tylko, że ma być o nich informowana.

– Dodatkowego wzmocnienia? Kiedy obsada Northwatch została wzmocniona?

– Wczoraj. Miało miejsce kilka incydentów wzdłuż Kupieckiego Wybrzeża, związanych z orkami prowokującymi ludzi. Niektóre doprowadziły nawet do aresztowań... w chwili obecnej ludzki kapitan jest przetrzymywany w Ratchet, ponieważ zaatakował go ork.

Lorena, która знаła ten konkretny raport, pokiwała tylko głową.

– I co z tego? Gobliny mają prawo powstrzymywać bójkę.

– To nie była bójka! — wykrzyknął Kristoff, co bardzo zaskoczyło Lorenę. Szambelan często bywał wyniosły, protekcyjny, arogancki - a także, jak musiała czasami przyznawać, błyskotliwy i bardzo dobry w swojej pracy - lecz nigdy nie słyszała, by ten chudy mężczyzna podnosił głos.

– Niezależnie od tego, czy była to bójka, czy nie - powiedziała świadomie cicho, by złagodzić ton głosu Kirstoffa - nie to jest najważniejsze. Dlaczego załoga Northwatch została wzmocniona?

– Już mówiłem, oddziały orków...

– Chodzi mi o pierwotne wzmocnienie.

Kristoff wzruszył ramionami.

– Major Davin uznał to za konieczne, a ja się zgodziłem.

Lorena pokręciła głową i odwróciła się w stronę okna.

– Major Davin nie uważa orków za istoty żywe, szambelanie. Nie ufałabym jego ocenie w tym przypadku. Prawdopodobnie przesadzał.

– Nie wierzę... a na pewno nie w kwestii zgromadzenia wojsk. - Kristoff wstał i zszedł z tronu, by stanąć obok Loreny. - Pani pułkownik, jeśli Northwatch ma się stać frontem kolejnej wojny ludzi z orkami, musimy być przygotowani. Dlatego wysłałem dwa garnizony, jak również osobistą straż.

Lorenie opadła szczęka. Przesunawszy się tak, by patrzeć na twarz szambelana i jednocześnie znaleźć się nieco dalej od niego, zapytała:

– Osobista straż? Ich zadaniem jest strzeżenie lady Proudmoore.

– Z którą obecnie nie ma kontaktu i która potrafi sama o siebie zadbać - odparł spokojnie Kristoff. - Lepszy z nich będzie użytek w Northwatch, niż gdyby mieli siedzieć bezproduktywnie tutaj.

Lorena znów pokręciła głową.

– Bardzo się rozpędzasz, Kristoffie. Jak na razie mamy kilka napiętych sytuacji. To jeszcze nie oznacza kolejnej wojny.

– Może nie... ale lepiej być przygotowanym na wojnę, której nie będziemy musieli stoczyć, niż toczyć wojnę, do której nie jesteśmy przygotowani.

Trudno było podważyć tę prawdę, lecz Lorenie nadal się to nie podobało.

– A jeśli orki uznają to za akt wrogi?

– Ja tak właśnie traktuję ich działania, pani pułkownik. Tak czy inaczej, potrzebujemy naszego najlepszego dowódcy na miejscu. Dlatego

chciałbym, by to pani poprowadziła regiment, który wzmocni Northwatch. Najbardziej liczy się prędkość, dlatego może pani zabrać kilku wyższych rangą oficerów na pokład okrętu powietrznego, by przyspieszyć bieg spraw... reszta wojska może popłynąć łodziami i dotrzeć na miejsce w samą porę, by mogła im pani już na miejscu wydać rozkazy.

Lorena westchnęła. Jeśli statek powietrzny był już gotowy, to Kristoff podjął decyzję, zanim jeszcze weszła do sali. Mimo to nadal trzymała w rękawie kolejną kartę.

– Sądzę, że powinniśmy z tym poczekać do chwili powrotu lady Proudmoore.

– Masz prawo tak sądzić. - Kristoff podszedł do tronu i z powrotem na nim usiadł, teatralnym gestem kładąc ręce na poręczach. - Jednak lady Proudmoore jest zajęta pomaganiem swojemu drogiemu przyjacielowi orkowi, podczas gdy tamci wznoszą umocnienia i szykują się, aby nas zniszczyć. Nie dopuszczę, by to, co ona zbudowała, zostało zniszczone przez jej krótkowzroczność, jeśli idzie o Thralla. A teraz, pani pułkownik, ma pani swoje rozkazy. Uprzejmie proszę je wykonać.

– Kristoff, to musi być jakaś pomyłka. Pozwól, że znajdę Strova i dowiem się...

– Nie. - Głos szambelana złagodniał, mężczyzna zdjął dłonie z poręczy. - Dobrze, pani pułkownik, pozwalam pani na jedno: może pani wyznaczyć dwóch żołnierzy do poszukiwań szeregowca Strova. Na więcej nie mogę pani pozwolić.

Spodziewała się, że to maksimum, co zdoła uzyskać od szambelana.

– Dziękuję. A teraz, za pozwoleniem, ale wydaje mi się, że muszę zebrać swoich oficerów.

– Może pani odejść - machnął ręką Kristoff, drugą podnosząc zapisaną kartę.

Odwróciła się na pięcie i gniewnym krokiem wyszła z sali tronowej.

CZTERNAŚCIE



Kiedy Aegwynn opowiedziała jej o tym, jak została Strażnikiem, Jaina poczuła, że jej zaskoczenie miesza się z szokiem. Opowieści, które znała, zawsze przedstawiały to spotkanie wyłącznie w pozytywnych barwach. Fakt, że rada przyjęła ją niechętnie ze względu na płeć czy, że tak długo sprzeciwiała się jej metodom, był jej całkowicie obcy.

Oczywiście wspomnienia Aegwynn z owych dni liczyły sobie kilka stuleci.

– Twoje pojmowanie spraw nie pokrywa się z historycznymi zwojami, Magna.

– Nie - westchnęła Aegwynn - nie pokrywa się. Lepiej, by młodzi magowie sądzili, że wszyscy działamy w idealnej zgodzie. A przecież brak przykładu też może służyć jako przykład. - Pokręciła głową i nieco bardziej się przygarbiła. - Ale nie, nie chcieli tam dziewczyny, zaakceptowali mnie tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Byłam najlepsza... z pewnością lepsza od pozostałej czwórki. A oni cały czas tego żałowali.

Wyprostowała się nieco.

– Koniec końców, pożałowaliśmy wszyscy. Gdybym to nie była ja...

Jaina pokręciła głową.

– To śmieszne. Tyle zrobiłaś...

– A co miałam robić? Nalegałam, by Tirisfal bardziej aktywnie walczył z demonami, i co z tego przyszło? Przez osiemset lat nadaremnie usiłowałam powstrzymać przyływ. Zmodlor był zaledwie pierwszym z nich. Tyle demonów, tyle starć, a na końcu i tak zostałam oszukana przez Sargerasa. Ja...

Tym razem Jaina nie musiała wysłuchiwać całej opowieści.

– Wiem, co się wydarzyło, kiedy spotkałaś się z Sargerasem. Zniszczyłaś jego cielesną powłokę, ale jego dusza przetrwała w tobie... i została przekazana Medivhowi.

– A ty nadal uważasz, że byłam wielkim magiem? - spytała z gorzkim uśmiechem Aegwynn. - Pozwoliłam, by moja arogancja zaślepiła mój rozsądek. Zakładałam, że Tirisfalen to grupa starych durniów, a nie doświadczonych magów, którzy wiedzieli lepiej ode mnie. Po tym, jak „pokonałam” Sargerasa, stałam się jeszcze bardziej arogancka, o ile to w ogóle było możliwe. Ignorowałam ich wezwania, nie trzymałam się procedur, nie słuchałam rozkazów. W końcu pokonałam Sargerasa, a on był bogiem, więc co oni mogli wiedzieć? Ależ byłam głupia - parsknęła.

– Nie bądź śmieszna. - Jaina nie mogła w to uwierzyć. I tak niedobrze, że największy mag jej czasów, kobieta, którą przez całe życie podziwiała, okazała się tak niemą, lecz teraz zaczynało to wyglądać idiotycznie. - To był Sargerasa. Każdy mag popełniłby taki sam błąd jak ty. Jak powiedziałaś, był bogiem. Wiedział, że zdoła cię oszukać ze względu na twoją moc, wiedział, jak tobą manipulować. To, co zrobiłaś, było doskonale naturalne.

Aegwynn zapatrzyła się w jeden z kątów walącej się chatki, którą najwyraźniej uznawała za swój dom.

– Zrobiłam coś więcej, znacznie więcej. Pozostaje jeszcze sprawa Medivha.

- Teraz Jaina pogubiła się zupełnie.
- Znałam Medivha, Magna. Był...
 - Nie mówię, jaki był mój syn - warknęła Aegwynn, spoglądając na Jainę. - Mówię o tym, skąd się wziął.
 - O co ci chodzi? - spytała zaskoczona Jaina. - Spłodził go Nielas Aran, i...
 - Spłodził? - Aegwynn wydała z siebie odgłos, który brzmiał, jakby zatrzęsała się skała. - To stanowczo za wiele powiedziane...



Sześćdziesiąt dziewięć lat temu...

Tym razem wezwania były naglące, co było jedynym powodem, dla którego Aegwynn na nie odpowiedziała. Przez lata Strażnicy Tirisfalen zmienili się. Trójka elfów pozostała ta sama, lecz ludzie i gnom zmarli, a na ich miejsce przyszli kolejni, którzy także zeszli już z tego świata, i sami zostali zastąpieni. Jednak niewiele się zmieniło. Zamiast dojść z nimi do jakiegoś porozumienia albo znaleźć sobie ucznia, Aegwynn wykorzystywała magię do przedłużania sobie życia tak, by nadal mogła pełnić obowiązki Strażnika.

Pewnego razu omal nie spadła z dużej wysokości, gdy stała na blankach Lordaeronu, rzucając zaklęcie poszukiwawcze, by odnaleźć byłego sługę Sargerasa, który według plotek miał się kręcić po mieście. Kiedy znajdowała się w środku inkantacji, rada przysłała jej wezwanie, które uderzyło w nią z taką siłą, iż prawie straciła równowagę. Było to trzecie wezwanie w ciągu kilku dni i pierwsze, które zakłóciło jej zdolność normalnego działania.

Świadoma, że nie przestaną, dopóki im nie odpowie, teleportowała się na Polanę Tirisfalen. Stała na szczycie tego samego głazu, który Falric - dawno już zabity przez demony, podobnie jak trzech jego koledzy - wiele wieków temu zamienił w złoto głupców. Czas nie oszczędził się z głazem litościwie i z wolna przybrał on kolor ciemnobrązowy w miejsce jasnozłotego, jaki miał przed ośmiuset laty.

– Cóż jest tak ważne, że przeszkadzacie mi w pracy?

– Minęło już osiem wieków, Aegwynn - powiedział jeden z nowych ludzi. Aegwynn nigdy nie zadała sobie trudu, by zapamiętać, jak się nazywał. - Przez ten czas zaniedbałaś swoje obowiązki.

Wyprostowawszy się na całą swoją wysokość - co czyniło ją wyższą od wszystkich otaczających ją mężczyzn - powiedziała:

– Powinniście się do mnie zwracać *Magna*. To jedna z tych śmiesznych regulek, które upieracie się podtrzymywać w magicznym świecie.

Słowo to oznaczało w języku krasnoludzkim obrońcę i od czasu ustanowienia pierwszego Strażnika było jego honorowym tytułem. Aegwynn nie tyle chodziło o tytuł, ile o wagę, jaką rada przywiązywała do tytułów i reguł oraz ich niezadowolenia z tego, że je narusza. To sprawiło, że sama stała się wrażliwa na sytuacje, kiedy oni odstępowali od protokołu.

– Aha, teraz ty ściśle trzymasz się reguł, co? - rzucił jej w twarz Relfthra.

Człowiek spojrzał na elfa, po czym powiedział:

– Chodzi o to, Magna, że zarówno ty, jak i my zdajemy sobie sprawę z ryzyka, na jakie się wystawiasz. Im bardziej przedłużasz swoje życie, tym większe niebezpieczeństwo, że wszystko się rozpadnie. Zaklęcia odmładzające nie są zbyt precyzyjne, ani zbyt stabilne. W trakcie walki, w trakcie rzucania zaklęcia możesz nagle odkryć, że dopada cię starość. Jeśli tak się stanie, a nie będzie spadkobiercy...

Aegwynn uniosła rękę. Ostatnią rzeczą jakiej chciała od tych głupców, był wykład na temat magii. Była potężniejszym czarodziejem niż oni wszyscy. Czy oni stawili czoło samemu Sargerasowi?

– Dobrze. Znajdę spadkobiercę i przekażę moce Strażnika tej osobie.

Człowiek odezwał się przez zaciśnięte zęby:

– My wybierzemy twojego spadkobiercę, podobnie jak wybraliśmy Scavella - i każdego Strażnika przed nim.

– Nie. Ja dokonam wyboru. Wierzę, że lepiej niż ktokolwiek wiem, co to znaczy być Strażnikiem... z pewnością o wiele lepiej niż wy, którzy stoicie na polanie i ogłaszacie wyroki, podczas gdy pozostali rzeczywiście działają.

– Magna... - zaczął mówić człowiek, lecz Aegwynn nie chciała słuchać.

– Wysłuchałam waszej rady, i tym razem rzeczywiście warto jej było wysłuchać. - Uśmiechnęła się. - Przypuszczam, że w końcu musiało się tak stać. Nawet wioskowy idiota od czasu do czasu wypowie głębokie filozoficzne twierdzenie. Kiedy mój następcą zostanie wybrany, poinformuję was. To wszystko.

Nie czekając na pozwolenie odejścia, teleportowała się z powrotem na blanki. Znowu rzuciła zaklęcie poszukiwawcze, by sprawdzić, czy, jak głosiła plotka, demon rzeczywiście krąży po Lordaeronie.

Kiedy się tym zajęła – nie było demona, jedynie grupa młodzików bawiąca się magią, której nie pojmowali; gdyby ciągnęli to dalej, demon zostałby przywołany, lecz Aegwynn im na to nie pozwoliła - udała się do Stormwind, a dokładniej do domu Nielasa Arana.

Aran od wielu lat był jej wielbicielem. Aegwynn właściwie nie zwracała na niego uwagi, poza tym, że był bardziej utalentowany niż większość magów z *Tirisfalen*. Na całe szczęście był wolny od uprzedzeń rady i dobrze sobie radził, jednocześnie pełniąc funkcję nadwornego czarodzieja

króla Landana Wrynna. Gdyby była kilka stuleci młodsza, mogłaby podziwiać jego stalowe oczy, szerokie ramiona i swobodny śmiech.

Nie była jednak młoda i dlatego nie interesowała się nim, nie pokazywała nawet po sobie, że zauważa jego zainteresowanie. W młodości sporo flirtowała, zaczynając od Jonasa, lecz już dawno straciła cierpliwość. Osiem setek lat życia uświadomiło jej, że miłość to mnóstwo błędów w rozumowaniu i podstępów; nie miała na to czasu ani ochoty.

Mimo wszystko zebrała resztki zalotności, którą wcześniej wykorzystała wobec Jonasa, i zaczęła rozmawiać z Aranem. Nagle zafascynowały ją jego pasje i zainteresowanie krasnoludzką muzyką.

Wszystko to służyło jednemu celowi, czyli dzieleniu z nim łoża.

Następnego ranka wiedziała, że została zapłodniona jego nasieniem. Była nieco rozczarowana, gdy uświadomiła sobie, że z płodu wyrośnie chłopiec. Miała nadzieję na córkę - kolejny kolec w oku Strażników Tirisfal. Lecz i chłopiec posłuży celowi, do którego został spłodzony.

Pożegnawszy się z nieco rozczarowanym Aranem - który tak naprawdę nie spodziewał się o wiele więcej, lecz miał nadzieję, że Aegwynn przynajmniej zachowa się uprzejmie - opuściła Stormwind. Przez dziewięć miesięcy w miarę swoich możliwości wypełniała obowiązki Strażnika, aż w końcu powiła Medivha. Dopiero wówczas wróciła, oddała niemowlę Aranowi i stwierdziła, że będzie jej spadkobiercą.



– Widzę po twojej minie, że jesteś przerażona - powiedziała Aegwynn do Jainy ze złośliwym uśmiechem.

– Bo jestem - odpowiedziała zgodnie z prawdą Jaina.

Walczyła u boku Medivha - właściwie to on przekonał Jainę do zawarcia sojuszu z Thrallem i orkami przeciwko Płonącemu Legionowi - lecz nie miała pojęcia, że pochodzenie proroka jest tak nieeleganckie. W rzeczy samej, niewiele o nim wiedziała, poza tym, że powrócił z martwych i próbował zadośćuczynić swoim winom robiąc wszystko, co w jego mocy, by powstrzymać Płonący Legion.

– Dlatego właśnie opowiedziałam ci swoją historię - stwierdziła Aegwynn. - Nie jestem bohaterką, nie jestem autorytetem, nie jestem płonąca latarnią, inspirującą czarodziejów obu płci. Jestem arogancką idiotką, która pozwoliła, by jej moc i podstępny bystry demon zniszczyły ją samą... i resztę świata.

Jaina potrząsnęła głową. Przypomniała sobie wiele rozmów z Kristoffem o tym, że lekcje historii rzadko można znaleźć w słowie pisanym, gdyż takie opisy są nieuchronnie stronnicze i ich autor zapisuje to, co chce przekazać czytelnikowi. Uświadomiła sobie, że historie o Strażnikach Tirisfal czytane w bibliotece Antonidasa były równie podatne na taki brak obiektywizmu, co teksty historyczne, o których mówił Kristoff.

Nagle Jaina poczuła dreszcz na karku. Podniosła się.

Podobnie Aegwynn - bez wątpienia stara kobieta wyczuła to samo. Potwierdziła to słowami:

– Zaklęcia ochronne znów działają.

Jaina uznała za interesujące, że Aegwynn to poczuła - szczególnie, iż samej Jainie udało się przełamać zaklęcia bez jej wiedzy. Potwierdzało to jej podejrzenia.

Bardziej martwiło ją jednak, że zaklęcia zdawały się o wiele potężniejsze. A wrażenie było zupełnie nieodpowiednie

– Coś jest nie tak.

– Tak... znam tę magię. Szczerze mówiąc, nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się z nią zetknę - syknęła Aegwynn. – Właściwie, nie jestem nawet pewna, jak to możliwe.

Jaina postanowiła najpierw sprawdzić, czy może przejść przez barierę, a dopiero później poprosić Aegwynn o wyjaśnienia. Spróbowała rzucić zaklęcie teleportacji, tym razem dodając do mieszanki zaklęcie przebicia bariery. Przygotowała się duchowo na ból, gdyby jej się nie udało.

I rzeczywiście się nie udało. Wcześniej by zadziało - nie wykorzystała zaklęcia przebicia do przeniesienia gromojaszczurów tylko dlatego, że chciała zbadać płaskowyż przed przeniesieniem nań setek przestraszonych zwierząt. Przymknęła oczy, by stłumić ból, po czym odwróciła się do Aegwynn.

– Nie mogę się przez nie przedostać.

– Tego się właśnie obawiałam. - Aegwynn westchnęła, najwyraźniej nie cieszył ją fakt uwięzienia wraz z *dziewczynką*.

Jainie też się to wcale nie podobało, ale raczej dlatego, że uwięziona na płaskowyżu nie mogła spełnić obietnicy danej Thrallowi.

– Powiedziałaś, że znasz tę magię?

Aegwynn pokiwała głową.

– Tak. Pamiętasz Zmodlora, pierwszego demona, z którym się spotkałam... tego, który uwięził tamte dzieci?

Jaina pokiwała głową.

– Te zaklęcia to jego dzieło.

PIĘTNAŚCIE



Kristoff nienawidził siedzenia na tronie.

Rozumowo pojmował, dlaczego musi to robić. Przywódcy musieli pokazywać, że znajdują się na wyższej pozycji, a onieśmielające, potężne krzesło wyniesione ponad wszystkich na sali doskonale uświadamiało tę władzę innym.

Mimo to nienawidził siedzenia na nim. Był przekonany, że jeśli popełni jakiś błąd, zniszczy powagę tej pozycji. Kristoff znał swoje ograniczenia - nie był przywódcą. Spędził wiele lat obserwując i badając obyczaje tych, do których nie miał dostępu, dlatego prawdopodobnie najlepiej ze wszystkich żyjących wiedział o tym, co dobrzy przywódcy robili dobrze, a źli źle. Na samym początku odkrył, że aroganccy zwykle długo nie rządzą. Przywódcy popełniali błędy, ale ci aroganccy nigdy się do nich nie przyznawali. Konflikt ten kończył się często samozniszczeniem - lub zniszczeniem przez siły zewnętrzne. Z pewnością odnosiło się to do poprzedniego pracodawcy Kristoffa, Garithosa. Gdyby Wysoki Lord po prostu posłuchał Kristoffa - lub sześciu innych osób, udzielających mu tej samej rady - nie sprzymierzyłby się z Potępionymi. Jak przewidywał Kristoff, nieumarli zdradzili Garithosa i jego wojowników, i doprowadzili

do jego upadku. Wcześniej jednak Kristoff oszedł w poszukiwaniu lepszych pastwisk.

Tendencja ta była dość niefortunna, gdyż to zwykle ci aroganci najbardziej pragnęli przewodzić. Ta zagadka fascynowała Kristoffa w czasach młodości, wyjaśniała także, dlaczego prawdziwie wielkich przywódców było tak niewielu.

Do tego Kristoff znał samego siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że sam jest niewiarygodnie wprost arogancki. Głębokie przekonanie o swoich możliwościach czyniło z niego doskonałego doradcę lady Proudmoore, lecz jednocześnie bardzo utrudniało mu zajęcie jej miejsca. Mimo to zrobił, jak mu kazano i pozostawał zastępcą lady do chwili jej powrotu z tej śmiesznej wyprawy.

Ale przede wszystkim, Kristoff nienawidził tronu, ponieważ był to wyjątkowo niewygodny mebel. Aby osiągnąć właściwy efekt, trzeba było siedzieć na nim prosto, z dłońmi spoczywającymi na poręczach, spoglądając na proszących wszechwiedzącym okiem. Niestety, dla pleców Kristoffa była to tortura. Nie bolały go tylko wtedy, kiedy się garbił albo siadał bokiem, lecz wtedy wyglądał, jakby traktował tron niczym sofę, co nie robiło odpowiedniego wrażenia.

Była to ciężka sytuacja i Kristoff gorąco żałował, że lady wyruszyła do kraju orków, by robić tam te wszystkie absurdalne rzeczy, jakby sprawy Theramore nie były znacznie ważniejsze od poradzenia sobie z kilkoma rozszalałymi jaszczurami w Durotarze.

Lady Proudmoore zrobiła coś niewiarygodnego. Przede wszystkim, niewiele kobiet osiągnęło to, co ona, czy to jako czarodziejki, czy władczynie. Och, było co prawda sporo monarchiń, lecz osiągnęły one swoją pozycję na drodze dziedziczenia lub przez małżeństwo, a nie dzięki sile woli, jak to uczyniła lady. Chociaż to Medivh wpadł na ten pomysł, to

właśnie Jaina Proudmoore doprowadziła do końca, niemożliwe zdawałoby się, zadanie zjednoczenia ludzi i orków. Jego zdaniem była największym przywódcą na świecie, a Kristoff miał zaszczyt być jej najbardziej zaufanym doradcą.

I dlatego właśnie jej zaślepienie na punkcie orków tak bardzo go drażniło. Kristoff mógł to zrozumieć - ze wszystkich władców, których spotkał albo którymi się interesował, jedynym dorównującym lady Proudmoore był Thrall. Jego osiągnięcia - zjednoczenie orków i odrzucenie przekleństwa demonów, przez które upadły tak nisko, robiły jeszcze większe wrażenie.

Lecz Thrall był wśród orków osobą wyjątkową. W głębi swoich serc orki pozostawały niecywilizowanymi bestiami, z trudem potrafiącymi zrozumieć mowę. Ich obyczaje i tradycje były barbarzyńskie, ich zachowanie nie do przyjęcia. Owszem, Thrall utrzymywał wśród nich porządek dzięki temu, czego się nauczył wśród ludzi, i zaprowadził wśród nich jakąś namiastkę cywilizacji, lecz Thrall był śmiertelny. Kiedy umrze, skończy się okres flirtu z ludźmi, i orki stoczą się na powrót do poziomu zwierząt, jakimi były, kiedy Sargeras je tu sprowadził.

Jednak lady Proudmoore nie chciała o tym słyszeć. Kristoff, rzecz jasna, próbował ją przekonać, lecz nawet najwięksi przywódcy mieli jakieś swoje słabości. Cały czas wierzyła, że orki potrafią współżyć z ludźmi w harmonii, do tego stopnia, że zdradziła swojego ojca.

I tak Kristoff doszedł do wniosku, że potrzebne są wyjątkowe środki. Lady wolała, by jej ojciec zginął, niż gdyby miała zdradzić zaufanie istot, które, poza Thrалlem, nigdy nie odwzajemniłyby tego uczucia.

W innych okolicznościach Kristoff nigdy nie uczyniłby tego, co zrobił. Każdego dnia budził się i zastanawiał, czy słusznie postąpił. Lecz każdego dnia budził się także ze strachem. Od chwili, kiedy przybył do Kalimdoru,

poprzez zakończenie wojny i założenie Theramore, Kristoff żył w ciągłej obawie, że wszystko, co stworzyli, zostanie zniszczone. Poza fortem na Kupieckim Wybrzeżu, ludzkie posiadłości w Kalimdorze składały się z niewielkiej wyspy na wschodnim brzegu, otoczonej z trzech stron przez istoty, które w najlepszym razie pozostawały neutralne, a w najgorszym wrogie wobec ludzi, zaś z czwartej przez Wielkie Morze.

Mimo jego obaw i rad, lady wciąż podejmowała działania faworyzujące orki kosztem ludzi. Twierdziła, że taka jest cena sojuszu, że pozostając razem są silniejsi, niż gdyby byli oddzielnie. Jednak najbardziej tragiczne było to, iż głęboko w to wierzyła.

Lecz Kristoff wiedział lepiej. Kiedy lady okazała się niezdolna do spojrzenia na sprawy z szerszej perspektywy, perspektywy, w której postrzeganiu Kristoff szkolił się przez całe życie, otrzymał pomoc z zewnątrz.

Duree wsunęła do gabinetu swoją pomarszczoną twarz.

– Panie, kamień z Northwatch cały się świeci. Sądzę, że przesyła jakąś wiadomość.

– Tak, zwykle to właśnie oznacza - odparł sucho Kristoff. Wstał zza biurka lady i przeszedł do sali tronowej, w której przechowywano kamień. Najprawdopodobniej to Lorena lub Davin informowali go, że ta pierwsza właśnie przybyła. Plan Kristoffa, by Lorena znalazła się na miejscu przed wojskiem, pokrzyżowały kłopoty techniczne statku powietrznego, przez co opóźnił się jego start, zaś przewożący żołnierzy okręt trafił na korzystny wiatr, co przyspieszyło przybycie do celu.

Podchodząc do kamienia, umieszczonego na postumencie w południowo-zachodnim kącie sali tronowej, Kristoff zauważył, iż rzeczywiście lśni on szkarłatnym blaskiem świadczącym o tym, że jego odpowiednik w Northwatch został aktywowany.

Po chwili wahania Kristoff ujął go w dłonie. Tak jak się spodziewał, poczuł bolesny wstrząs w ramieniu, który niemal zmusił go do odstawienia kamienia. Jednocześnie przygasł blask, po którym rozległ się głos majora Davina. Brzmiał tak, jakby oficer znajdował się głęboko w jaskini i krzyczał przez złożone dłonie.

Szambelanie, ze smutkiem muszę pana poinformować, że statek powietrzny pułkownik Loreny jeszcze nie dotarł na miejsce. Został już dostrzeżony, lecz kierował się na północny wschód. Przybyli też żołnierze, lecz nie wiem, co pułkownik dla nich wymyśliła. Proszę o radę.

Kristoff z westchnieniem odstawił kamień na postument.

– Przeklęta baba!

– Która? - spytała Duree.

– Pułkownik Lorena. Kogo wzięła na pokład statku powietrznego?

Stara kobieta bez wahania znalazła w swej pamięci odpowiedź. Choć jej zachowanie mogło wydawać się dziwne, była niesamowicie użyteczna.

– Major Bek, kapitanowie Harcort i Mirra oraz porucznik Noroj. A, i jeszcze kapral Booraven.

– Po co brała ze sobą kaprala? - zmarszczył brwi Kristoff. Wyraźnie polecił pułkownik, by zabrała na pokład tylko swoich najwyższych rangą oficerów, a żołnierzy wysłała na okręcie. Potem coś mu zaczęło świtać. - Skądś znam to nazwisko.

Niezawodna Duree jak zwykle służyła odpowiedzią.

– To ta, którą w czasie wojny nazywali talizmanem na szczęście. O ile sobie przypominam, jest wrażliwa - potrafi wywęszyć magię na sto kroków.

– A tak, rzeczywiście.

Kristoff przypomniał sobie, że Booraven - która podczas wojny była zwykłym szeregowcem - potrafiła nie tylko wykrywać demony, które widziano gołym okiem, lecz także określić, czy ktoś nie został opanowany

przez członka Płonącego Legionu. Była też w stanie zawsze odnaleźć lady Proudmoore i innych magów - z umiejętności tej korzystali kilka razy generałowie, kiedy podczas chaotycznej kampanii nie mogli odnaleźć lady.

Kristoff od razu pojął, co Lorena planowała.

– A niech ją! - westchnął ciężko i mruknął: - A niech mnie.

– Słucham, panie?

– Nie, nic - odparł pospiesznie Kristoff. Nie mógł pozwolić sobie na tłumaczenie wszystkiego Duree. - To wszystko.

– Do...dobrze, panie - powiedziała zaskoczona kobieta i wyszła, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Kristoff z kolei popatrzył za wielkie okno. Była mgła, nie widział Wielkiego Morza dalej niż na milę, czy dwie.

Zbyt późno uświadomił sobie, że tak naprawdę to on popełnił błąd. Pozwolił, by niechęć pułkownik do niego, sięgająca jeszcze czasów wojny, wpłynęła na jego reakcje wobec niej. Traktował ją z taką samą pogardą, jak ona jego; zwykle można było z tym żyć, lecz stawało się niewygodne, kiedy oboje doradzali lady, a kiedy ją zastępował, było samobójstwem. Stojący na podwyższeniu tron symbolizował także, że przywódca musi stać ponad wszystkim - nawet nad małostkowymi rywalizacjami swojego dworu.

Ta sama arogancja, która zgubiła Garithosa i tak wielu innych przed nim, teraz opanowała Kristoffa. Gdyby potraktował ją z szacunkiem, zrobiłaby to, o co ją prosił. Ponieważ tak się nie stało, zabrała ze sobą Booraven, która po raz kolejny miała odnaleźć lady Proudmoore. To wyjaśniało, dlaczego lecieli na północny wschód, do Durotaru, gdzie lady zajmowała się gromojaszczurami.

Choć bardzo go to złościło, pozostało mu tylko jedno wyjście. Plan musiał być dalej realizowany, choć z pewnymi drobnymi poprawkami.

Później mogą sprawiać problemy, lecz do tego czasu kości zostaną rzucone. Jedynym sposobem, by Jaina Proudmoore dostrzegła wreszcie, że orkom nie można ufać, było przyspieszenie wybuchu wojny między nimi.

W tym celu znów podniósł kamień, tym razem nie jedną, lecz dwoma rękami, co amulet rozpoznał jako chęć wysłania wiadomości. Tym razem kamień rozbłysnął błękitną poświatą.

– Mówi szambelan Kristoff. Obawiam się, że sprawdziły się nasze najgorsze obawy. Zarówno lady Proudmoore, jak i pułkownik Lorena zostały porwane przez wyznawców ohydny orczego kultu, znanego jako Płonące Ostrze. Orki muszą za to zapłacić. Majorze Davin, przekazuję panu dowództwo nad wszystkimi siłami Northwatch w celu przygotowania się do wojny.

Kiedy odstawił kamień, blask przygasł, a wiadomość została przesłana eterem do jego odpowiednika w twierdzy.

Potem wrócił do komnat, by dokończyć pracę, którą się zajmował. Kiedy tylko wyszedł na korytarz, poczuł przenikający powietrze zapach siarki świadczący o tym, że pojawił się Zmodlor.

Galtak Ered'nash. Mów, szambelanie.

Kristoff zmarszczył nos, zarówno z powodu zapachu, jak i ogólnego niesmaku. Nienawidził kontaktowania się z demonami, a gdyby stawka nie była tak wysoka, szybko by się pozbył tej kreatury. Lecz kolejna lekcja sprawowania władzy, którą sobie przyswoił, mówiła, że czasem trzeba nawiązywać dziwne sojusze dla większego dobra innych ludzi. Dlatego lady Proudmoore zdecydowała się podjąć wyjątkowe kroki w celu pogodzenia orków i ludzi, dlatego teraz Kristoff musiał uczynić to samo ze Zmodlorem. Był to chwilowy sojusz z pomniejszym demonem, który w całym planie nie miał wielkiego znaczenia. Prawdę mówiąc, Kristoff

posługiwał się Zmodlorem, grał na jego próżności, kłaniał mu się i pełzał po to, by czynił dokładnie to, co sobie zamyślił.

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Mieszkańcy Theramoru zostali pobudzeni do niszczycielskiego ataku na orki.

Dobrze. Widok tych ohydnych zdrajców zmiecionych z powierzchni ziemi sprawi mi wielką przyjemność.

– Mnie również - przyznał szczerze Kristoff. Zmodlor był pożytecznym sojusznikiem także dlatego, że obaj żywili równie gorące pragnienie zmiecienia orków z powierzchni ziemi. A kiedy to już się stanie, i orki przestaną odgrywać jakąkolwiek rolę, Kristoff miał szczerzy zamiar uwolnić świat także od Zmodlora...

Niech pragnienie naszych serc spełni się raczej prędzej niż później, szambelanie. Żegnaj. *Galtak Ered'nash.*

Pochyliwszy głowę, Kristoff powtórzył słowa, które w języku demona oznaczały: Chwała Płonącemu Ostrzu.

SZESNAŚCIE



Aegwynn przyglądała się z gorzkim rozbawieniem, jak Jaina Proudmoore usiłuje przełamać demoniczne bariery. Dziewczyna opuściła chatę Aegwynn, by udać się na ich skraj i usiłowała je przebić z bliska. Aegwynn nie sądziła, by się jej to udało. Zmodlor najwyraźniej nie był zainteresowany ponownym spotkaniem z Aegwynn, ponieważ zadał sobie trud zamknięcia jej w pułapce, kiedy Proudmoore rozproszyła stare zaklęcia. W końcu dopóki te bariery, które znajdowały się tam na życzenie Aegwynn, pozostawały na miejscu, Zmodlor nie musiał się niczego obawiać. Lecz gdyby zostały rozproszone, mógłby zacząć się martwić, i dlatego pewnie miał przygotowane zapasowe zaklęcia. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Aegwynn dawno już utraciła zdolność magicznej walki z demonami.

Po kolejnej porażce Proudmoore sięgnęła do swego płaszcza i wyciągnęła stamtąd kawałek suszonego mięsa. Niemal nieświadomie Aegwynn pokiwała z uznaniem głową. Ktokolwiek ją uczył, miał na tyle wyczucia, by nauczyć ją także praktyki. Było to coś, co Scavellowi, przy całej jego błyskotliwości, nie przyszło do głowy. Dopiero, kiedy trzeci raz

niemal padła z głodu ścigając demona, pomyślała, żeby na takie wyprawy zabierać ze sobą także jedzenie.

Dziewczyna odwróciła się do Aegwynn.

– Może uda się nam, jeśli połączymy siły.

– Mało prawdopodobne - roześmiała się gorzko Aegwynn. - Połączenie moich sił z twoimi da ten sam rezultat. Moje magiczne zdolności dawno już uległy... zanikowi. - Nie było to najlepsze określenie, lecz wystarczało, by odpowiedzieć na pytanie Proudmoore. - Szkoda, że nie ma nikogo po drugiej stronie, kto mógłby posłużyć za przewodnik.

– Przewodnik do czego?

Aegwynn zmieniła swoje zdanie na temat nauczyciela Proudmoore.

– Nie znasz zaklęcia penetrującego Meitre?

Proudmoore pokręciła głową.

– Większość zwojów Meitre uległa zniszczeniu dziesięć lat temu. Nauczyłam się tylko tych, które ocalały, ale tego nie znam.

– Szkoda - powiedziała tylko Aegwynn. Nie obchodziło jej, które zaklęcia działają, dopóki była tu bezpieczna. Niczego tak bardzo nie pragnęła, jak przeżyć resztę swoich dni z dala od świata, któremu wyrządziła już dość szkody.

– Dlaczego jesteś taka osłabiona?

Aegwynn westchnęła. Powinna była się tego spodziewać.

Może jednak Proudmoore powinna usłyszeć całą opowieść. A przynajmniej wersję Aegwynn.



Przed trzydziestu pięciu laty...

Medivh objął we władanie wieżę Kharazan w Górach Czerwonego Grzbietu. Szczyt, na którym się wznosiła, otoczony jedynie przez pnącza i chwasty - stare drzewa z lasu Elwynn nie docierały aż tak daleko; umarły po, tym, jak Medivh tam zamieszkał - miał kształt ludzkiej czaszki.

Aegwynn uznała, że to smutne i właściwe. Podeszła do tego miejsca pieszo, nie chcąc, by cokolwiek uprzedziło syna o jej przybyciu.

Strażnicy Tirisfalen nie żyli. Orki pustoszyły całe Azertoh. Na całym świecie trwała wojna. A powód tego wszystkiego?

Jej własne ciało i krew.

Nie wiedziała, jak to było możliwe. Wychowywała Medivha tak, by prowadził jej misję dalej, a nie ją niszczył.

Poczuła to dopiero, kiedy znalazła się pod bramami. Jej syn był w środku, wiedziała o tym, podobnie jak służący Moroos i kucharka, choć ci dwoje spali w swoich komnatach. Czują też jednak kogoś jeszcze, kogoś, kogo esencja mieszała się z esencją jej syna. Kogoś, kogo pokonała wiele wieków temu.

Nie dbając o subtelności, rzuciła zaklęcie wichury, która uderzyła w bramę, rozbijając ją w drzazgi.

Po drugiej stronie stał jej syn. Odziedziczył po niej wysoki wzrost i oczy; od Nielasa Arana pochodziły szerokie ramiona i elegancki nos. Szpakowate włosy były związane w schludny kucyk, broda równo przycięta. Jego kasztanowy płaszcz rozwiewał się za nim.

Mimo to nie dostrzegła w nim swojego syna. Gdyż choć jej oczy widziały Medivha, cała jej czarodziejska istota postrzegła jedynie Sargerasa.

– Jak to możliwe? Zabiłam cię.

Medivh zaśmiał się demonicznie.

– Matko, czy naprawdę jesteś taka głupia? Naprawdę myślisz, że zwykła dziewczyna byłaby w stanie zniszczyć wspaniałość, jaką jest Sargerias? Wykorzystał cię. Wykorzystał cię, żeby stworzyć mnie. Ukrył się wewnątrz ciebie, a później... gdy tak sprytnie uwiodłaś mojego ojca... przeniósł swą esencję do płodu. Był moim ciągłym towarzyszem, moim mentorem, rodzicem, którego nigdy nie pozwoliłaś mi mieć.

Aegwynn nie mogła w to uwierzyć. Jak mogła być tak ślepa?

– Zabiłaś radę.

– Czyż nie powtarzałaś wciąż, że są głupcami?

– Nie o to chodzi! Nie zasługiwali na śmierć!

– Oczywiście, że zasługiwali. Nie nauczyłaś mnie wiele, matko. Zawsze byłaś zbyt zajęta swoimi obowiązkami Strażnika, by rzeczywiście wychować syna, którego sprowadziłaś na świat, aby cię zastąpił. Lecz jedną z lekcji, którą mi przekazałaś w tych rzadkich chwilach, gdy w ogóle zauważałaś moje istnienie, było to, że członkowie rady są głupcami. Zaś Sargerias nauczył mnie, jaki los czeka głupców. Jak widzisz, matko, dobrze pojąłem wszystkie lekcje.

– Przestań udawać, Sargeriasie - powiedziała. - Przestań mówić głosem mojego syna.

Medivh odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Nie rozumiesz, dziewczynko? Jestem twoim synem. - Uniósł ręce. - I twoim końcem.

To, co nadeszło potem, wydarzyło się szybciej, niż Aegwynn się spodziewała. Nie pamiętała zbyt wielu szczegółów, i może tak było dla niej lepiej. Wiedziała jedynie, że coraz trudniej jej było odpychać ataki Medivha - a raczej Sargerasa - a jemu było coraz łatwiej niszczyć jej zaklęcia.

Oslabiona, pobita, zakrwawiona, Aegwynn upadła na kamienną posadzkę twierdzy Medivha, nie mogąc nawet podnieść głowy. Syn stał nad

nią, śmiejąc się.

– Czemu jesteś taka smutna, matko? Jestem taki, jakim mnie stworzyłaś. W końcu zrodziłaś mnie, by obejść zasady rady i przekazać swoje dziedzictwo. I to ci się udało. Od chwili, gdy zniszczyłaś materialną postać Sargerasa, uwalniając go, by mógł zamieszkać w twoim wnętrzu, twym dziedzictwem było spełnianie woli Sargerasa. I oto wypełniłaś swój cel. - Wyszczerył się. - Po raz kolejny, cierń w oku rady, co?

Aegwynn poczuła, że krew zamarza jej w żyłach. To właśnie myślała, gdy miała urodzić Medivha. Nigdy nie wypowiedziała tego zdania na głos, a już z pewnością w jego obecności. Rzeczywiście, z początku nie grała dużej roli w jego życiu, głównie dla jego bezpieczeństwa - nie mogła sobie pozwolić, by ktokolwiek wiedział, że jej syn jest w Stormwind, by wrogowie nie wykorzystali go przeciwko niej. W rzeczy samej, wyjawiała, że jest jego matką dopiero, gdy osiągnął dorosłość.

I wtedy właśnie przestała stawiać opór. Nie chciała żyć na świecie, który tak całkowicie zdradził. Pragnąc właściwie wykonać swoje zadanie i udowodnić, że rada się myliła, zwalniając ją, doprowadziła do zwycięstwa demonów.

Od czasu ukończenia nauki Aegwynn nie płakała. Narodziny dziecka, śmierć rodziców, przegrane walki z demonami - nic z tego nie doprowadziło jej do łez. Zawsze była silniejsza. Teraz jednak łzy płynęły po jej policzkach, gdy spoglądała na syna, który śmiał się z jej cierpienia.

– Zabij mnie.

– Miałbym zdjąć cię z haczyka? Nie bądź głupia, matko. Powiedziałem, że to twój koniec, a nie, że śmierć. Twoja śmierć nie byłaby wystarczającym zadośćuczynieniem za to, co mi zrobiłaś. - Wówczas wymruczał zaklęcie.

Przed ośmioma stuleciami rada obdarzyła ją mocą Strażnika, a było to najwspanialsze doświadczenie jej życia. Czuła się tak, jak mógłby czuć się ślepiec, który odzyskał wzrok. Kiedy przekazała tę moc Medivhowi, nie było to tak cudowne, lecz i tak czuła satysfakcję ze stworzenia swojego dziedzictwa, a utrata mocy była gładka i przyjemna, niczym powolne zasypianie.

Teraz jednak Medivh wydierał jej moc, i było to niczym pozbawianie wzroku, słuchu i mowy. Całe jej ciało zdawało się martwe - nie przypominało to zasypiania, a raczej zapadanie w śpiączkę.

Ale pozostała przytomna i świadoma tego, co się działo. I zrozumiała, że jeśli pozostanie, Medivh - a raczej Sarger - ją zatrzyma. Bez wątpienia zamieszka w lochu twierdzy, widząc i słysząc wszystko, co się dzieje, świadoma każdego ohydneho czynu, jakiego dokonywał jej syn dla Sargerasa.

Uświadomiła sobie coś jeszcze - wciąż była młoda. A to znaczyło, że Medivh nie odebrał jej magii powstrzymującej starzenie.

Uświadomiła sobie, że to jej wybawienie. Zebrała resztki koncentracji i oswobodziła magię zaklęć odmładzających, pochwyciła ją, splotła i zmieniła w zaklęcie teleportacji.

Chwilę później, z białymi włosami, pomarszczoną skórą i osłabionymi kośćmi znalazła się w Kalimdorze, na trawiastym płaskowyżu wśród gór na wschodnim krańcu kontynentu.



- To musiało być dla ciebie straszne - powiedziała cicho Proudmoore.
- Tak, było. - Aegwynn zadrżała.

W rzeczy samej, było jeszcze gorzej, lecz dla dobra Proudmoore opowiedziała jej tylko o najważniejszych rzeczach. Tak naprawdę próbowała rozmawiać z Medivhem i uzyskać od niego wyjaśnienia, dlaczego robił to, co robił - jakby Sargeraz potrzebował powodu. Lecz nie widziała potrzeby, by obciążać tym Proudmoore - sednem opowieści była głębia jej własnej głupoty. Mówiła dalej:

– Kiedy tu przybyłam, wykorzystałam resztki magii, by stwierdzić, że w okolicy nie ma nikogo. Zbudowałam chatę, założyłam ogród, wykopałam studnię. Zaklęcia ochronne zaczęły działać dopiero wtedy, gdy w okolicy osiedlił się Thrall i jego lud.

– Nie jestem zaskoczona. - W głosie Proudmoore zabrzmiał dziwny ton, jakby wiedziała coś, o czym Aegwynn nie miała pojęcia.

– Co to ma znaczyć?

Nim Proudmoore zdołała odpowiedzieć, Aegwynn coś usłyszała. Proudmoore również to słyszała, i obie odwróciły się na południe. Hałas był znajomy, choć Aegwynn nie słyszała go od lat.

Kilka chwil później jej podejrzenia się potwierdziły. Hałas wywoływało przemieszczenie dużych mas powietrza przez potężny pojazd powietrzny, który właśnie omijał jeden ze szczytów. Zatrzymał się na wysokości bariery zaklęć i zawisł. Aegwynn założyła, że na pokładzie jest mag - a przynajmniej ktoś wrażliwy.

Z klapy na dole pojazdu wysunęła się drabinka sznurowa, po której zaczęła schodzić postać w zbroi płytowej z insygniami pułkownika.

Postać okazała się kobietą, co wstrząsnęło Aegwynn. Odwróciła się i spojrzała pytająco na Proudmoore.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jeśli kobieta może być Strażnikiem Tirisfal, to czemu kobieta nie może być pułkownikiem?

Aegwynn nie mogła się z tym nie zgodzić.

– Pani - powiedziała kobieta, gdy zeszła z ostatniego szczebla drabinki. - Obawiam się, że przynoszę złe wieści. - Spojrzała pytająco na Aegwynn.

– Pułkowniku Loreno, to jest Magna Aegwynn. Możesz w jej obecności mówić tak swobodnie, jakbyśmy były same.

Pułkownik skinęła głową i zaczęła mówić. Najwyraźniej słowo Jainy Proudmoore jej wystarczyło. Aegwynn niechętnie przyznała sama przed sobą, że jest pod wrażeniem. Kobieta nie zdobywała takiej pozycji bez wysiłku - Aegwynn przypuszczała wręcz, że Lorena jest dwa razy lepsza od każdego mężczyzny-pułkownika, ponieważ inaczej nie odniosłaby takiego sukcesu. A jeśli ktoś tak utalentowany tak bardzo ufał Proudmoore, to być może sama Proudmoore była bardziej wartościową osobą, niż sądziła Aegwynn.

Być może w wierze dziewczyny w bohaterów coś się jednak kryło.

– Pani, uważam, że szambelan Kristoff jest członkiem Płonącego Ostrza — powiedziała Lorena - i że potajemnie zwiększył nasze siły w Northwatch, by sprowokować orki do konfliktu.

Proudmoore spochmurniała.

– Kristoff? Nie wierzę.

Lecz pułkownik spędziła kolejne kilka minut na wyjaśnianiu, co działo się w Theramore pod nieobecność Jainy.

Kiedy skończyła, Aegwynn spytała:

– Kiedy zaczęło działać to całe Płonące Ostrze?

– Nie jesteśmy pewni - odparła Proudmoore. - Sądzymy, że wiąże się z dawnym orczym klanem. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ Zmodlor stworzył kult zwany Płonącym Ostrzem. W rzeczy samej, miecz, którym miał zabić w ofierze uwięzione dzieci, był pokryty

olejem i miał zostać podpalony na początku rytuału. Ponieważ Zmodlor kręci się w okolicy, możliwe, że ma związki również z tymi orkami.

Lorena odezwała się, nim Proudmoore zdążyła na to odpowiedzieć.

– Pani, czemu jesteś za tymi barierami? Sprowadziłam Booraven, by cię odnalazła, a ona powiedziała, że są tu magiczne bariery, których nie przebedziemy. Ale... dlaczego nie wyszłaś zza nich?

– Obawiam się, że nie potrafię. Kiedy tu przybyłam, byłam w stanie przejść przez barierę, lecz teraz została zastąpiona demonicznymi zaklęciami, dziełem tego samego Zmodlora, o którym właśnie wspomniała Magna Aegwynn. Obawiam się, że nie posiadam wiedzy koniecznej, by je przebić.

– Szkoda - powiedziała Aegwynn. - Gdyby to wciąż były moje zaklęcia, wypuściłabym cię natychmiast.

– Nie bądź śmieszna - prychnęła Proudmoore. - To nigdy nie były twoje zaklęcia, lecz Medivha.

Aegwynn wpatrywała się w Jainę z szeroko otwartymi ustami.

– Skąd...

– Kiedy tu przybyłam, rozpoznałam magię zaklęć jako dzieło jednego z *Tirisfalen*. Ale kiedy je przebyłam, uświadomiłam sobie, który z nich je stworzył, gdyż już wcześniej się z nimi spotkałam. Jak próbowałam ci powiedzieć wcześniej, znałam Medivha; to on sprowadził ludzi i orki na ten kontynent i skłonił nas, byśmy sprzymierzyli się przeciwko Płonącemu Legionowi. Dobrze znam jego magię.

Lorena odezwała się, nie dając dojść do głosu Aegwynn.

– Pani, z całym szacunkiem, zaczyna brakować nam czasu. Musimy cię stąd wydostać. Musi być jakiś sposób.

Proudmoore spojrzała na Aegwynn.

– Jest. Naucz mnie zaklęcia Meitre. - Wskazując na pułkownik, dodała. - Mamy przekaźnik.

– Dobrze - powiedziała Aegwynn - jeśli to oznacza, że zostawisz mnie w spokoju.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Przepraszam? - Aegwynn zamrugła.

– Idziesz z nami.

– Naprawdę? - prychnęła Aegwynn.

– Tak. Jesteś Magna, Strażnikiem, który jako jedyny stoi między nami a hordami demonów. Twoim obowiązkiem jest pójść z nami.

– A na jakiej podstawie opierasz ten absurdalny wniosek?

– Powiedziałaś, że to Zmodlor stworzył te zaklęcia. To oznacza, że działa... o ile wiemy, to on jest odpowiedzialny za Płonące Ostrze, które coraz głębiej rozcina sojusz zbudowany przeze mnie i Thralla na prośbę twojego syna. Ale choć sądziłaś, że pokonałaś go przed ośmioma stuleciami... najwyraźniej nie dokończyłaś dzieła i twoim obowiązkiem jest...

– A co ty wiesz o obowiązku? - krzyknęła Aegwynn. - Przez osiem...

– Tak, wiem co zrobiłaś, Magno, powiedziałaś mi całkiem sporo o swoich porażkach, oszustwach, kłamstwach, arogancji... ale też przypomniałaś mi, że ani razu nie uchyliłaś się przed obowiązkami Strażnika. Wszystko, co zrobiłaś, od stawienia czoła Zmodlorowi, przez rzucenie wyzwania radzie po zrodzenie Medivha, zrobiłaś, gdyż wierzyłaś w to, co robisz. Niezależnie od błędów i porażek, ani razu nie uchyliłaś się przed odpowiedzialnością. Aż do tej chwili. - Proudmoore potrząsnęła głową. - Pytałaś mnie, co wiem o obowiązku, a ja mówię, że wiem więcej niż ty, ponieważ nigdy nie musiałaś odpowiadać przed nikim poza sobą samą. Ja prowadziłam ludzi do bitwy i władałam nimi, gdy bitwa się

skończyła... a teraz ludzie, którzy mi zaufali, potrzebują mnie, i bardzo prawdopodobne, że z powodu demona, którego podobno zabiłaś. Nie pozwolę, by wszystko, co zbudowaliśmy, zostało zniszczone przez twoje użalanie się nad sobą.

– Wierzę, że zapracowałam sobie na prawo decydowania o swoim losie.

– Ponieważ sprowadziłaś Medivha z powrotem?

I znów Proudmoore zaskoczyła Aegwynn swoją wnikliwością. Nie była w stanie się odezwać.

– Zawsze zastanawialiśmy się, jak Medivh powstał z martwych po tym, jak pokonali go Khadgar i Lothar. Wymagałoby to potężnej magii. Ja być może byłabym w stanie to zrobić, i jeszcze jedna albo dwie osoby, ale gdyby oni to zrobili, przyznaliby się. Powiedziałaś, że walka z Medivhem wyczerpała cię, lecz jedna rzecz może zastąpić konieczną moc, a jest to więź między matką a synem.

Aegwynn pokiwała głową, wpatrując się w przestrzeń gdzieś między szczytami gór.

– Wykorzystując resztkę odmładzającej magii, mogłam wpatrywać się w wodę w studni i widzieć, co się dzieje. Widziałam, jak mój syn zostaje zabity przez ucznia i najlepszego przyjaciela... i widziałam, jak Sargeraz zostaje z niego wygnany. Dlatego spędziłam wiele lat gromadząc moc, by sprowadzić go z powrotem. Kiedy to zrobiłam, niemal mnie to zabiło. Dlatego magiczne bariery postawił Medivh... ja nie miałam mocy, by to zrobić. Ani cokolwiek innego. Nadal jej nie mam; - Odwróciła się do Jainy. - To mój łabędzi śpiew, lady Proudmoore. Nie mogę nawet spróbować naprawić tego, co uczyniłam źle.

– Nie zgadzam się. Zrodziłaś syna, który uratował ten świat. Zajęło to trochę czasu, ale to, co zrobił było tym, co ty byś zrobiła... i do czego go urodziłaś. Odrzucił dawne mądrości i aktywnie walczył z Płonącym

Legionem, przekonując mnie i Thralla do zjednoczenia sił. Nie nauczył się tego od Sargerasa i nie nauczył się tego w życiu po życiu, z którego go wyciągnęłaś... nauczył się tego od ciebie.

Przez całą tę rozmowę Lorena stała z udawaną cierpliwością. Wyraźny szacunek wobec lady Proudmoore zwyciężył żołnierską niecierpliwość.

– Pani...

– Tak, oczywiście - powiedziała Aegwynn - twoja pułkownik ma rację. Zmodlor musi zostać pokonany, tym razem ostatecznie. - Westchnęła. - Przygotuj się, pułkownik Loreno... to może trochę boleć. Lady Proudmoore, powtarzaj za mną.

I wówczas Aegwynn nauczyła Jainę Proudmoore zaklęcia penetracji Meitre.

SIEDEMNAŚCIE



Thrall spędził większość dnia na wysłuchiwanie petycji. W większości przypadków były to rzeczy, które, jak sądził, jego rodacy powinni rozwiązać sami. Niektóre dotyczyły sporów, gdzie obie strony nie potrafiły dojść ze sobą do porozumienia i potrzebna była trzecia, neutralna, która by ich rozsądziła. Prawdę mówiąc, mógł to zrobić każdy, lecz ponieważ był Wodzem, należało to do jego obowiązków.

Kiedy ostatni z proszących wyszedł, Thrall wstał z okrytego zwierzęcą skórą siedziska i zaczął spacerować po sali, wdzięczny za możliwość rozprostowania nóg. Nadal nie było żadnych wieści od Jainy w sprawie gromojaszczurów, lecz nie dostał też żadnych wiadomości, by te jaszczury czyniły jakieś szkody, dlatego zakładał, że sytuacja została opanowana. Miał tylko nadzieję, że Jaina rozwiąże ją na tyle szybko, by mógł zasięgnąć jej rady w sprawie tego Ognistego Miecza.

W tej samej chwili weszli Kalthar i Burx.

– Wodzu, jest ktoś, kto musi z tobą porozmawiać, i to natychmiast - powiedział z naciskiem Burx.

Thrallowi nie spodobało się, że Burx wydaje mu rozkazy, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Kalthar popatrzył na niego znacząco.

- Sądzisz, że powinienem się z nim spotkać, szamanie? - spytał Thrall.
- Owszem - odparł Kalthar.
- Dobrze. - Thrall pozostał na miejscu, ponieważ dosyć miał już siedzenia na tronie.

Burx wyszedł i wrócił z jednym ze zwiadowców. Był to troll z dżungli, w zbroi i masce typowej dla plemienia Mrocznej Włóczni: pióra, drewno i farba połączone z trójkątnym hełmem, mające wzbudzać strach. Kiedy jednak go zdjął, Thrall zobaczył przyjazną, otwartą twarz, znacznie łagodniejszą, niż należałoby się spodziewać po budzących grozę przedstawicielach Mrocznych Włóczni. Trolle z dżungli władały potężną magią, której inne rasy nawet nie zdołały opanować - chociaż Thrall słyszał o kilku ludziach, którzy próbowali i nie udało im się - a kosztowało ich to dusze. Plemię to złożyło mu przysięgę wierności.

- To - powiedział Burx - jest Rokhan.

Prezentacja była niepotrzebna - sława jednego z najlepszych zwiadowców Kalimdoru wyprzedzała trolla.

Rokhan, trzymając hełm pod pachą, zrobił krok do przodu.

- Obawiam się, że przynoszę złe wieści, panie. Ludzie przysłali do Northwatch więcej wojska.

Thrall nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Posiłki?

– Na to wygląda, panie. Widziałem wiele łodzi z żołnierzami, wszystkie płynęły prosto do Northwatch. Wysłali też na północ jeden ze swoich statków powietrznych, ale on poleciał w stronę Blizny.

Thrall zmarszczył brwi.

- Ile jest tego wojska?

Rokhan wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, lecz przynajmniej dwadzieścia łodzi, po dwudziestu ludzi w każdej.

– Czterystu żołnierzy - powiedział Burx. - I to zaraz po tym, jak twoja przyjaciółka Jaina wyruszyła rozwiązać problem z gromojaszczurami, który wywołali ludzie. Wodzu, nie możemy czekać, by dokończyła swoją robotę. Jestem pewien, że miała dobre zamiary, ale jej podwładni już nie. Nie możemy tego zignorować!

– Burx ma rację - powiedział Kalthar głosem, w którym słychać było zmęczenie; Thrall przypomniał sobie, jak bardzo stary jest szaman. - Utrzymanie twierdzy Northwatch to pokaz siły ze strony ludzi. Jednak w świetle innych wypadków, jakie miały ostatnio miejsce, można to uznać wyłącznie za akt agresji, który domaga się należytej odpowiedzi.

– To była twierdza admirała Proudmoore'a. - Burx nie musiał przypominać o tym Thrallowi, choć go to nie powstrzymało. - A teraz poddani jego córki usiłują dokończyć dzieła za jej plecami.

Słowa te nie zrobiły na Thrallu większego wrażenia, za to wypowiedź Kalthara - i owszem. Rokhan był jednym z najlepszych zwiadowców. Można mu było wierzyć.

– Bardzo dobrze. Burx, niech Nazgrel zbierze garnizon i wyśle go na Ziemię Jałowe. Niech zajmą stanowiska poza Northwatch. Potem niech flota naszych łodzi uczyni to samo.

Westchnął. Miał nadzieję, że dni, kiedy walczyli z ludźmi, należą już do przeszłości, lecz wyglądało na to, iż stare animozje nie ginęły tak łatwo.

– Jeśli ludzie będą chcieli walczyć, to godnie ich podejmiemy.



Burx przekazał polecenia Nazgrelowi i kapitanowi portu, po czym wrócił do domu. Musiał się przygotować na podróż za Wielkie Morze, by raz na zawsze położyć kres ludzkiej pladze.

Ostrzył właśnie topór, kiedy poczuł w chacie zapach siarki. Poczł ciepło w fałdzie spodni, gdzie w małej, ukrytej kieszonce nosił talizman, powierzony mu przez Zmodlora jako symbol sojuszu.

Galtak Ered'nash. Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

Burxowi nie podobał się pomysł składania przysięgi wierności komukolwiek poza własnym Wodzem, lecz ciągnął swoją grę dalej i odpowiedział:

– *Galtak Ered'nash.* Tak jest. Thrall wysyła wojska lądem i morzem. W ciągu dwóch dni zaczniemy wojnę z ludźmi. W ciągu tygodnia od tego momentu ludzie zostaną zniszczeni.

Wspaniale. Dobrze się spisałeś, Burksie.

– Czynie to tylko dla dobra orków. Tylko o to się troszczę.

Oczywiście. Ta wojna przysłuży się obu naszym sprawom. *Galtak Ered'nash.*

Zdaniem Burxa stanowiło to mniejsze zło. Owszem, demony były okrutne, lecz to one sprowadziły orki do tego świata, aby nim władały. To nie była wina demonów, że ludzie tak dobrze sobie poradzili, że je zniewolili i zmusili do zapomnienia, kim są. Oczywiście, demony posługiwały się orkami, ale przynajmniej nigdy nimi nie poniewierały.

Burx dorastał jako niewolnik. Ludzie regularnie go bili, wyśmiewali, pokrywali nieczystościami i przy wtórze śmiechu zmuszali do sprząwania po nich. Określali go całym szeregiem przydomków, z których najłagodniejszym było „ty zielonoskóry głupku” i starali się, by dostawał zawsze jak najgorsze zadania. Burx nigdy nie wiedział, dlaczego spośród

orków to właśnie jego wybrano do tak okropnych zadań - nikt nie trudził się, by mu to wyjaśnić. Może był to ślepy traf.

W porównaniu z tym, co przeszedł wśród ludzi, to, co zrobiły demony, było niczym. A jeśli dla usunięcia plagi ludzkości musiał współpracować z jednym z nich, to w porządku.

Zawdzięczał Thrallowi wszystko i jeszcze więcej, lecz Thrall nie mógł się pozbyć swojej słabości do ludzi. Jego właściciel wychował go bardzo dobrze. Owszem, Aedelas Blackmoore miał związane z nim paskudne plany, lecz i tak traktował go znacznie lepiej, niż właściciele Burxa - prawdę mówiąc, lepiej niż większość orków.

Wkrótce Thrall z pewnością dostrzeże błędy na swojej drodze. Wieść o zgromadzeniu ludzkich wojsk w Northwatch rozpoczęła ten proces. Od tej chwili wszystko już było kwestią czasu. Orki i trolle tak blisko ludzkich żołnierzy - to będzie jak beczka z prochem.

Burx skończył ostrzenie topora, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy stanie się czerwony od ludzkiej krwi.

OSIEMNAŚCIE



Serce tłuło w piersi Loreny niczym młot, miała kłopoty z oddychaniem. Czuła, że płytowa zbroja ją ściska. Lecz lady Proudmoore i jej przyjaciółka Aegwynn, na którą lady spoglądała z większym szacunkiem i podziwem, niż Lorena kiedykolwiek u niej widziała, zdołały przełamać więzące je, demoniczne zaklęcia. Najwyraźniej musiały w tym celu posłużyć się ciałem Loreny, pozostającym po drugiej stronie magicznej bariery. Pułkownik nic z tego nie rozumiała. Zwykle rozmowa na temat magii przyprawiała ją o ból głowy; interesowało ją tylko, czy magia działa, czy nie. Kiedy lady rzucała swe czary, niemal zawsze się jej to udawało.

– Magna, mam do ciebie prośbę - zwróciła się do swej towarzyszki lady Proudmoore.

– Tak?

– Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, by pomieszkać trochę z kilkoma gromojaszczurami? Mogę rzucić zaklęcia, które zabezpieczą twój dom, ogród i studnię. A góry je powstrzymają. - Opowiedziała o sprawach związanych z jaszczurami.

Słyszając to, stara kobieta roześmiała się.

– Nie mam nic przeciwko temu. Kiedyś trzymałam jednego w domu.

Lorena spojrzała zaskoczona.

– Niech pani powie, że to był żart.

– Wcale nie. To było wkrótce po moich czterechsetnych urodzinach. Po tak długim czasie zaczęła mi zbyt doskwierać samotność, więc postarałam się o jakiegoś zwierzaka. Uważałam, że udomowienie kodo będzie niezłym wyzwaniem. Nazwałam go na cześć swego mentora Scavell.

– Kodo? - Lorena zmarszczyła brwi.

– Tak je wtedy nazywaliśmy - wzruszyła ramionami Aegwynn. - W każdym razie zawsze miałam słabość do tych zwierząt, więc będę bardzo rada, mogąc podzielić się z nimi swoim domem.

– Dziękuję, Magna. - Lady zwróciła się do Loreny: - Daj mi kilka minut na dokończenie zadania, które sprowadziło mnie do Durotaru, a potem udamy się do Theramore... przeteleportuję nas trzy. Niech twoi żołnierze natychmiast wracają do Theramore na pokładzie statku powietrznego. - Uśmiechnęła się krzywo. - Obawiam się, że teleportowanie całego statku powietrznego, po tym jak sprowadzę tu gromojaszczury, sprawiłoby, że przestałabym być użyteczna.

– Dobrze, pani. - Lorena skinęła głową.

– Dziękuję, pani pułkownik.

Lady wypowiedziała te słowa ze szczerym uśmiechem, na widok którego Lorena odczuła przypływ dumy. Pułkownik bardzo ryzykowała przybywając tutaj, zawierając umiejętnościom Booraven, że ta zdoła odnaleźć lady Proudmoore w kraju orków, i mając nadzieję, że lady nie będzie rozgniewana, iż się jej przeszkadza. Wyglądało jednak na to, że słusznie zaufała swoim instynktom - poza tym bez niej lady i jej przyjaciółka nie zostałyby uwolnione.

Kiedy lady zamknęła oczy i skupiła się na rzucaniu czarów, Lorena spojrzała na starą kobietę.

– Naprawdę ma pani czterysta lat?
– Ponad osiemset.
– Aha - pokiwała głową Lorena i zamrugła szybko. - To nieźle się pani trzyma.

Aegwynn parsknęła.

– Powinnaś zobaczyć mnie trzydzieści lat temu.

Lorena uznała, że ta rozmowa robi się dla niej zbyt dziwna i podeszła do drabinki sznurowej, by przekazać majorowi Bekowi i pozostałym nowe rozkazy. Bek przyjął rozkaz, życzył jej powodzenia i przygotował statek na podróż powrotną.

Kiedy znów zeszła po drabince, lady Proudmoore już skończyła. Kiedy tylko Lorena stanęła na ziemi, Bek nakazał wciągnięcie drabinki i statek ruszył na południe.

– Szambelan spędza wiele czasu w sali tronowej. - Lorena nie mogła usunąć ze swego głosu pogardy, po czym zastanowiła się, dlaczego w ogóle próbowała to zrobić. - Z czego większość siedząc na tronie.

Lady Proudmoore pokiwała głową.

– Kristoff zawsze podkreślał, jak ważne dla władcy jest siedzenie na tronie.

– Jeśli o mnie chodzi, to nieco zbyt mocno. - Kiwnęła głową Lorena.

– W każdym razie jestem już gotowa.

Lorena przygotowała się. Jak do tej pory przechodziła teleportację tylko raz i do tej pory ją mdliło na to wspomnienie.

Świat stanął na głowie i wywrócił się na lewą stronę, poczuła się tak, jakby zdjęto jej głowę i umieszczono między kolanami, a stopy wystawały z karku.

Sekundę później świat wrócił do swoich normalnych rozmiarów i Lorena zgięła się w pół. Pochylając się nad kamienną posadzką, mgliście

zauważyła, że to sala tronowa lady Proudmoore i Duree skrzy czy ją za zapaskudzenie całej podłogi.

– Milady! - To był głos Kristoffa. - Wróciłaś... i to z panią pułkownik Loreną. Baliśmy się, że zostałyście schwytane przez Płonące Ostrze. Na pewno ucieszycie się na wieść, że wzmocniliśmy załogę Northwatch, i dobrze, bo lądem i morzem kierują się tam oddziały orków i trolli. A to kto?

Lorena znów się zgięła, żołądek ścisnął się jej tak bardzo, że w porównaniu z tym bycie pośrednikiem dla zaklęcia lady było cudownym doznaniem.

– Nazywam się Aegwynn.

– Doprawdy? - W głosie Kristoffa brzmiało zaskoczenie, jakby wiedział, kim była, o czym Lorena wciąż nie miała pojęcia.

– Owszem. I chociaż nie jestem już pełnoprawną Tirisfalen, nadal umiem rozpoznać smród demonów, kiedy tylko go poczuję, a ty roztaczasz go wszędzie.

Choć w żołądku Loreny nic już nie pozostało, zgięło ją ponownie. Zastanowiła się, czym były te fale tiris.

– O czym ty mówisz? - spytał Kristoff.

– Proszę, Kristoffie - powiedziała lady - powiedz mi, że Aegwynn się myli. Proszę powiedz mi, że nie sprzymierzyłeś się ze Zmodlorem i Płonącym Ostrzem.

– Milady, to nie tak, jak myślisz.

Żołądek przestał wreszcie znęcać się nad Loreną, mogła stanąć prosto. Zobaczyła dość ciekawą scenę. Kristoff, najwyraźniej przerażony, stał przed tronem. Aegwynn wyglądała na dość zirytowaną, co niespecjalnie różniło się od jej wyglądu w chwili, gdy Lorena ją poznała.

Lecz w lady Proudmoore zobaczyła coś nowego: zimną furię. W jej oczach zbierały się burzowe chmury i Lorena była bardzo wdzięczna, że lady jest po jej stronie.

– Nie tak, jak myślę? A co dokładnie powinnam myśleć, Kristoffie?

– Orki trzeba wyeliminować, milady. Zmodlor ma ten sam cel, a jest pomniejszym demonem. Już puściłem w ruch łańcuch zdarzeń, które wygnają go do reszty z tego świata, kiedy będzie po wszystkim.

– Po wszystkim? Z czym? Powiedz mi, co puściłeś w ruch.

– Cały łańcuch wydarzeń, które na zawsze wygnają orki z tego świata. To dla naszego dobra, milady. Nie należą do tego świata, i...

– Ty idioto!

Kristoff zachwiał się, jakby otrzymał policzek. Lorena była nie mniej zaskoczona niż szambelan. Przez cały okres swojej służby nigdy nie słyszała, by lady Proudmoore przemawiała z takim gniewem.

– Zmodlor to demon. Czy naprawdę wierzysz, że byłbyś w stanie go powstrzymać? - Wskazała na starą kobietę. - To jest Aegwynn, największa ze Strażników.

Słyszając te słowa, Aegwynn parsknęła, lecz zarówno lady, jak i Kristoff nie zwrócili na to uwagi.

– Nie była w stanie całkowicie pokonać Zmodlora będąc u szczytu swojej potęgi. Co daje ci prawo sądzić, że właśnie tobie się uda? A nawet gdyby tak się stało, żaden cel nie jest wart zawierania sojuszu z demonem. Ich jedynym celem jest sianie zniszczenia i zamętu. Czy nie wystarczyło ci zniszczenie Lordaeronu? Czy świeżo wybudowany Kalimdor musi podążyć w jego ślady, kiedy wybuchnie wojna, którą rozpocząłeś w Northwatch?

– Poza tym - dodała Aegwynn - nawet gdybyś dysponował środkami umożliwiającymi wygnanie lub zniszczenie Zmodlora, nie byłbyś w stanie tego zrobić. Jesteś w jego władzy.

– To jakiś absurd! - Kristoff stawał się coraz bardziej zdenerwowany. - To tylko dogodny sojusz, a kiedy orki zostaną wygnane...

– To orki są naszymi sojusznikami, Kristoffie! - Wokół złocistych włosów lady zatrzeszczały wyładowania, a przy jej kostkach zaczęła materializować się niewielka bryza, poruszając jej białym płaszczem. - Ten sojusz jest umocniony krwią. A demony to wrogowie wszystkiego, co żyje. Jak mogłeś teraz zdradzić nas, mnie, tak po prostu?

Kristoff zaczął się pocić.

– Przysięgam, milady, że to nie zdrada. Po prostu czynię to, co najlepsze dla Theramore! Płonące Ostrze to tylko kult czarnoksiężników pod kierownictwem Zmodlora, który sprowadza naturalną wrogość na orki. Nie robią nic poza podsycaniem tego, co już tu jest!

– A co z orkami, które są wśród nich? - spytała Lorena.

– Słucham? - spytał zaskoczony Kristoff.

– Orki, które zaatakowały mnie i moich żołnierzy w Northwatch, należą do Płonącego Ostrza... i to były orki. Jak ci to pasuje?

– J...ja... - Kristoff zgubił wątek.

– Ile jeszcze, Kristoffie? - Lady Proudmoore pokręciła gniewnie głową. - Ile jeszcze musi zginąć, byś mógł dostać swój idealny, wolny od orków świat?

Teraz Kristoff znalazł się na pewniejszym gruncie.

– Znacznie mniej, niż gdybyśmy mieli czekać, aż Thrall umrze i orki wrócą do poprzedniego stanu. To była tylko...

– Dość! - Wiatr stał się silniejszy, a z palców lady strzeliły błyskawice.

Sekundę później Kristoff wrzasnął, trzymając się za lewe ramię. Spomiędzy jego palców zaczął snuć się dym.

Lorena odruchowo podbiegła do niego i rozerwała materiał koszuli.

Na ramieniu znajdował się tatuaż ogarniętego płomieniami miecza, taki sam, jaki Lorena, Strov, Clai, Jalod i inni widzieli u orków, z którymi walczyli w Northwatch. Tatuaż płonął.

Chwilę potem zniknął, pozostawiając tylko spaloną skórę. Kristoff padł na podłogę jak worek sadła, z rozbieganym wzrokiem.

– Zmodlor odszedł - powiedziała cicho Aegwynn.

– Tak. - Głos lady Proudmoore był teraz znacznie spokojniejszy. - A rzucenie przeze mnie tego egzorcyzmu najprawdopodobniej powiadomiło go, że wiemy o jego działalności.

– Przykro mi...

Lorena uklękła przy Kristoffie. Mógł tylko szeptać.

– Myślałem... że robię to wszystko... z własnej woli... ale Zmodlor... kontrolował... wszystko. Tak mi... przykro... przykro...

W jego oczach zgasł blask. Przez kilka sekund trzy kobiety stały w milczeniu.

Dla Loreny smutne było to, iż w gruncie rzeczy Kristoff nie był złą osobą. Zrobił, co uważał za najlepsze dla Theramore. Wypełniał swój obowiązek. Oczywiście, wypełnił go w sposób wyjątkowo zły, lecz serce miał we właściwym miejscu. To z kolei sprawiło, że poczuła się winna. Zdarzały się chwile, kiedy życzyła mu śmierci, lecz teraz, kiedy rzeczywiście nie żył, czuła smutek.

Spojrzała na lady Proudmoore.

– Musimy udać się do Northwatch. Jeśli będziemy miały szczęście, wojna się jeszcze nie rozpoczęła, może nawet zdołamy zatrzymać maszerujące wojska. To jednak będziesz musiała uczynić osobiście, milady... major Davin nie przyjmie takich rozkazów od kogokolwiek innego.

Lady Proudmoore pokiwała głową.

– Masz rację. Ja...

– Nie.

To był głos Aegwynn. Lady popatrzyła na nią chłodno.

– Słucham?

– Mamy tu do czynienia z magią, lady Proudmoore, a ty jesteś jedyną osobą w Kalimdorze, która może ją powstrzymać. Twój były szambelan miał rację w jednej tylko rzeczy... Zmodlor to pomniejszy demon. To sługus Sargeasa. Nie ma dość mocy, by wpływać na tak wiele osób... albo by ściąć las i teleportować drzewa, jeśli już o tym mowa. To czarnoksiężnicy, o których wspominał Kristoff, są sprawcami tych wszystkich nieszczęść. - Pokręciła głową. - Czarnoksiężnicy podążają za czarami jak uzależnieni za makiem. To ohydne.

– Nie mamy czasu, by polować na grupę czarnoksiężników - zauważyła Lorena.

– Pani pułkownik, to właśnie oni są sprawcami tych wszystkich nieszczęść - powiedziała Aegwynn.

Lorena popatrzyła na lady Proudmoore.

– Według wszystkich posiadanych przez nas informacji, milady, walka już się rozpoczęła. Jeśli nie, to rozpocznie się w ciągu kilku sekund, o ile tylko Kristoff miał rację co do tych orków i trolli. Kiedy zacznie się walka, nie będzie już ważne, kto ją rozpoczął... nastąpi rozlew krwi, a poza tą granicą sojusz przepadnie.

Aegwynn także popatrzyła na lady.

– Najważniejszy jest czas. Sama powiedziałaś, że Zmodlor już wie o nas. Musimy zaatakować teraz, nim będzie miał okazję zmienić wymierzoną w ciebie strategię. A ty nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie.

Wtedy lady uśmiechnęła się. Był to promienny uśmiech, który Lorena przyjęła jako ulgę po gniewie, jaki lady okazała wobec Kristoffa.

– Nie muszę być w dwóch miejscach naraz.

Przeszła do swoich prywatnych komnat. Lorena i Aegwynn popatrzyły po sobie ze zdziwieniem, po czym ruszyły za nią.

Kiedy weszły do środka zobaczyły, jak lady wertuje zwoje leżące na biurku i wreszcie z tryumfalnym „Aha!” wyciągnęła coś.

Odwróciła się i uniosła skałę o dziwnym kształcie. Potem skała zaczęła się świecić...

DZIEWIĘTNAŚCIE



Sir, orki rozstawiły obóz.

Major Davin zaczął rwać brodę, niepomny na regulamin.

– Ile?

– Trudno ocenić, sir - odparł kapral Rych, wzruszając ramionami.

Davin zamknął oczy i policzył do pięciu.

– Spróbuj.

Znów wzruszenie ramionami.

– Czujka mówi, że około sześciuset, sir, ale trudno określić na pewno, sir. Rozłożyły się tak daleko, że nie naruszają granicy ani nic takiego, ale...

– Ale co? - westchnął Davin, widząc wahanie kaprała.

– Cóż, sir, jak na razie one tam po prostu siedzą, lecz nie sądzę, by to trwało bardzo długo, sir. Zwłaszcza kiedy przybędą łodzie.

Davin ponownie westchnął. Wyglądało na to, że dzisiaj tylko to mu pozostało. Wczoraj widziano tuziny łodzi z orkami i trollami na pokładzie, płynące Wielkim Morzem na południe, prosto w stronę Northwatch. Dopłyną na miejsce w ciągu kilku godzin.

W tym momencie Davin musiał podjąć decyzję.

Instrukcje od szambelana Kristoffa - który po porwaniu lady Proudmoore przez te Płonące Ostrza przejął władzę - mówiły, że mają utrzymać Northwatch *za wszelką cenę*..

Davin nie miał pojęcia, jak ma to osiągnąć.

Nigdy nie chciał być żołnierzem. Owszem, kiedy był chłopcem, miał w sobie dość skłonności do przemocy, która zwróciła na niego uwagę werbownika, który przybył do jego wioski, lecz był także wielkim tchórzem. Zdołał to jakoś ukryć podczas szkolenia, głównie dzięki temu, że właściwie nigdy nie znalazł się w żadnym niebezpieczeństwie. Jeśli chodziło o udawanie, Davin nie miał żadnych problemów. Porąbać mieczem kukłę z siana? Proszę bardzo. Ale prawdziwa walka z przeciwnikiem z krwi i kości? Wtedy stawał się bezradny.

Dlatego kiedy po raz pierwszy stanął oko w oko z żywym przeciwnikiem, myślał, że już po nim. Mimo to miał szczęście trafić do wyjątkowo utalentowanego plutonu. Davin niewiele uczynił, kiedy do jego wsi wpadła banda krasnoludzkich renegatów, umykających przed swoim wymiarem sprawiedliwości po tym, jak chcieli obalić prawowite władze. Lecz reszta jego oddziału poradziła sobie całkiem nieźle, zabijając lub łapiąc wszystkie krasnoludy. Davin miał okazję pławić się w odbitym blasku ich chwały.

A potem pojawił się Płonący Legion.

To było straszne. Wokół niego umierali ludzie. Lordaeron zostało zniszczone. Ludzie i orki walczyli ramię w ramię. Cały świat stanął na głowie. Davin nigdy nie zrozumiał, dlaczego lady Proudmoore postanowiła sprzymierzyć się z orkami, choć były to diabły niewiele lepsze od samych demonów, lecz nikt nie pytał Davina o zdanie.

Najgorsze wydarzyło się w pewnym lesie. Davin nie wiedział, gdzie to było, tylko że znalazł się tam z niedobitkami swojego plutonu i usiłowali

odnaleźć twierdzę demonów, by jakiś mag mógł poznać ich sekrety. Zadanie Davina było proste: chronić maga. Cała reszta szukała twierdzy. Mieli tego pecha, że ją znaleźli. Demonom bardzo się to nie spodobało.

Kiedy tylko się pojawiły, ze swoimi płonącymi oczami, Davin spanikował i skrył się za jednym z dębów. Pozostawił maga odsłoniętego, i chociaż ten robił, co mógł, aby się obronić, wreszcie jeden z demonów go podpalił. Davin przyglądał się ze swojej bezpiecznej kryjówki, jak mag, którego miał chronić, wrzeszczy i umiera bardzo, bardzo powoli.

Jakoś - Davin nigdy nie wiedział, dlaczego tak się stało - demony go nie zauważyły. Może nawet nie uznały go za zagrożenie, co z pewnością było prawdą. Tak czy inaczej, kiedy z jego plutonu nie pozostał nikt, a demony wróciły tam, skąd przyszły, Davin pobiegł do obozu, spodziewając się nagany za tchórzostwo, lecz jednocześnie gotów ponieść wszelkie konsekwencje, byleby tylko nie musiał wyruszać i oglądać takich rzeczy ponownie. Tymczasem dostał pochwałę za przeżycie rzezi i powrót z informacjami o tym, co się wydarzyło.

Awansowali go.

Davin był zaskoczony. Wcale nie był bohaterem, prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie, lecz każda próba oczyszczenia atmosfery kończyła się uwagami, że jest nieprzyzwoicie skromny. To doprowadzało go do szaleństwa - nie został zwolniony z walki, co więcej, powierzono mu dowodzenie innymi.

Wkrótce potem wojna była uprzejma się zakończyć, oszczędzając w ten sposób Davinowi kłopotu z dowodzeniem żołnierzami, których właściwie nie był w stanie poprowadzić do walki. Płonący Legion został zagnany z powrotem do piekła, z którego wypelzł, a Davin doczekał się kolejnego awansu, tym razem na majora. Po śmierci admirała Proudmoore'a Davin objął komendę nad Northwatch.

Podobało mu się to, aż do tej chwili. W Northwatch panował względny spokój i chociaż tchórzostwo Davina czyniło walkę niemożliwą, świetnie radził sobie z administrowaniem.

Zakładając oczywiście, że wszystko szło dobrze.

Choć Davin niezbyt przepadał za pułkownik Loreną, naprawdę żałował, że nie ma jej w tej chwili tutaj, lecz zniknęła razem z Płonącym Ostrzem. Przede wszystkim znacznie lepiej dawała sobie radę z dowodzeniem garnizonem wojsk niż on. W przeciwieństwie do Davina, jej awanse opierały się na prawdziwych zasługach. Z drugiej strony, skoro Płonące Ostrze dostało ją, nie mówiąc już o lady Proudmoore, jaką nadzieję mógł żywić Davin?

Wbiegł Oreil, podzwaniając przy każdym kroku zbyt dużą zbroją.

– Majorze Davin, majorze Davin! Orki się ruszyły! Jak tylko łodzie przybiły do brzegu!

Davin westchnął po raz kolejny.

– Kiedy to się stało?

– Nikt panu nie powiedział? - Oreil zamrugął kilka razy. - Och, zaraz, przecież ja miałem to zrobić. Przepraszam, sir, ale zanadto się tym wszystkim przejąłem. Proszę nie posyłać mnie pod sąd wojenny.

– W obecnej chwili, szeregowy, sąd wojenny jest najmniejszym z waszych problemów - powiedział Davin, wychodząc zza biurka i kierując się w stronę drzwi.

Powoli zszedł wąskimi schodami, prowadzącymi na parter mieszczącej się w centrum Northwatch wieży. Twierdzę zbudowano na nierównym wzgórzu, które łagodnie opadało w stronę Wielkiego Morza. Wschodni kraj murów zbudowano z kamieni między dwoma zboczami; budynki składające się na twierdzę znajdowały się po jego zachodniej stronie, zaś po

wschodniej była plaża, ograniczona drzewami palmowymi. Kiedy przeszedł pod prowadzącym na plażę łukiem w murze, zobaczył orki i trolle.

Bardzo, bardzo wiele orków i trolli.

Ich łodzie przywiązano do wbitych w piach drągów. Były ich dziesiątki, a w każdej przypłynął komplet około tuzina orków lub trolli. Niektóre z nich nosiły zwierzęce skóry, inne czaszki bestii jako hełmy. Wszystkie były uzbrojone w topory, miecze, morgenszterny, maczugi oraz inną broń, która na pierwszy rzut oka wydawała się Davinowi większa nawet od niego.

– Więc tak to wygląda - mruknął. - Jesteśmy zgubieni.

– Słucham, majorze? - spytał jeden z żołnierzy, pełniących wartę przy bramie.

– Nie, nic - odparł Davin, kręcąc głową. Jakoś udało mu się zmusić do stawiania jednej nogi przed drugą. Kiedy przeszedł przez bramę, buty zaczęły mu się zapadać w piasku.

Jak przez mgłę zorientował się, że kilkunastu żołnierzy stanęło za nim w szyku. Rzucił okiem za siebie i zobaczył, iż kilku z nich formuje przed murem luźny szyk, podczas gdy pozostali zajmują miejsca na jego szczycie. Davin był wdzięczny, że ktoś miał dość rozumu, by wydać ten rozkaz i przelotnie zastanowił się kto.

Odwróciwszy się do nowoprzybyłych, powiedział:

– Jestem maj...

Głos mu się załamał.

Przełknął ślinę i zaczął od nowa.

– Jestem major Davin, dowódca Northwatch. Co was tu sprowadza?

Przez krótką chwilę Davin rozkoszował się nadzieją, że orki powiedzą, iż zatrzymały się tu na krótki postój i po godzinie popłyną dalej. Miał na to równie mocną nadzieję jak na to, że powrót z masakry jego plutonu

skończy się zwolnieniem z wojska. Ta nadzieja wydawała mu się równie płonna, co pierwsza.

Ork budzący największy strach podszedł bliżej. Davin był skłonny przyznać, że wyglądał na największego i budzącego największą grozę, ponieważ to właśnie on podszedł.

– Jestem Burx. Mówię w imieniu Thralla, Wodza Hordy i Władcy Klanów. Ta twierdza stanowi naruszenie naszego z wami, ludźmi, sojuszu. Macie godzinę na zburzenie jej i zatarcie wszelkich śladów waszej obecności tutaj.

Davin zagotował się.

– Nie... nie możesz mówić poważnie. Nie ma sposobu, by zburzyć twierdzę w ciągu godziny!

Burx uśmiechnął się. Był to ten rodzaj uśmiechu, jaki pojawia się na twarzy wielkiego drapieżnika, nim zatopi kły w małej, bezbronnej ofierze.

– Jeśli nie zgadzasz się z tym poleceniem, zaatakujemy.

A wtedy zginiecie.

Co do tego Davin nie miał żadnych wątpliwości.

DWADZIEŚCIA



Jaina wysłała Aegwynn i Lorenę do małej jadalni, zarezerwowanej dla wysokich rangą oficerów i urzędników. Według Duree, niskiej staruszki, która towarzyszyła Jainie ze względów praktycznych, ta druga grupa składała się wyłącznie z nieżyjącego już Kristoffa i samej Jainy. Młoda czarodziejka pozwoliła Aegwynn wchodzić również tutaj. Kiedy Duree zaczęła się sprzeciwiać, Jaina zauważyła, że Strażnik ma znacznie wyższą rangę niż głowa państwa.

Sama Jaina wróciła do swoich komnat - ona również musiała jeść, lecz mogła to robić podczas pracy, usiłując określić położenie czarnoksiężników. Lorena pragnęła dołączyć do swoich żołnierzy w Northwatch, na wypadek, gdyby Thrall nie był w stanie powstrzymać walki, lecz Jaina nie zgodziła się na to. Po pierwsze, ufała Thrallowi. Po drugie, potrzebowała Loreny jako ochroniarza, kiedy przyjdzie im walczyć ze Zmodlorem i jego sługami, zwłaszcza że Kristoff wysłał do Northwatch jej straż przyboczną. Lecz Jaina musiała pracować w samotności, dlatego wysłała starą Strażniczkę i młodą panią pułkownik do jadalni.

Kiedy wszedł służący, Aegwynn poprosiła tylko o sałatę i odrobinę soku owocowego; Lorena zamówiła tacę mięs i dziczy grog. Aegwynn nigdy o

czymś takim nie słyszała, więc pułkownik wyjaśniła jej, że to orczy trunek.

– Ależ się te czasy zmieniły - westchnęła Aegwynn.

– Co masz na myśli?

– Nie tak dawno temu orki były tylko sługami demonów, których wygnaniu poświęciłam całe życie. Były to potwory, dzikusy niszczące kraj w imię Gul'dana, który z kolei działał na rzecz Sargerasa. Myśl o tym, że ludzie mogą pić orczy alkohol jest dla mnie co najmniej... dziwna.

Lorena uśmiechnęła się.

– Tak, ale czy w przypadku kogoś tak starego jak ty określenie „nie tak dawno temu” nie jest raczej względne?

– Słuszna uwaga. - Aegwynn uśmiechnęła się.

– Naprawdę masz tysiąc lat?

– Plus minus wiek - poprawiła Aegwynn z krzywym uśmiechem.

Lorena pokręciła głową.

– Magia. Nigdy jej nie rozumiałam... szczerze mówiąc, zawsze jej nienawidziłam, nawet kiedy służyła mnie.

Aegwynn wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie chciałam zostać nikim innym, jak tylko magiem, Od dzieciństwa tak właśnie odpowiadałam na te nużące pytania, kim chcę zostać, gdy dorosnę. Dorośli zawsze wtedy dziwnie na mnie patrzyli... w końcu wszyscy magowie byli mężczyznami. - Ostatnie zdanie wypowiedziała z goryczą.

– Tak samo jak żołnierze. Dorastałam z dziewięcioma braćmi i wszyscy, jak ojciec, zostali żołnierzami. Nie rozumiałam, dlaczego ja również nie mogłabym nim zostać - zaśmiała się Lorena. - I wierz mi, na mnie również się dziwnie patrzyli.

Chwilę później na stole pojawiły się napoje. Lorena uniosła kubek.

– Chcesz spróbować?

Dziczy grog śmierdział tak samo jak zwierzę, któremu zawdzięczał swoją nazwę. Aegwynn uprzejmie odmówiła, marszcząc nos.

– Obawiam się, że nie piłam alkoholu co najmniej od... no, kilku wieków. Magowie nie mogą pozwolić sobie na utratę trzeźwego osądu, dlatego jakiś czas temu straciłam na niego ochotę.

Uniosła swój kubek, który najwyraźniej zawierał wyciśnięty sok z trzech lub czterech różnych owoców.

– To najmocniejszy trunek, jaki zamierzam pić.

– Ma to sens. - Lorena przełknęła solidny łyk grogu. - Jeśli o mnie chodzi, to mogę wypić cztery kolejki pod rząd, zanim cokolwiek pocuję. Zawsze dobrze przyjmowałam alkohol.

Uśmiechnęła się.

– Jako początkujący żołnierz straży miejskiej Kul Tiras zawsze przepijałam facetów z koszar. Zaczęliśmy rywalizować z innymi garnizonami i zawsze stanowiłam ich tajną broń, - Roześmiała się. - W tamtym roku tylko dzięki zakładom czterokrotnie zwiększyłam swój dochód.

Aegwynn uśmiechnęła się, dziabiąc swoją sałatę. Dobrze rozmawiało się jej z tą kobietą i było to uczucie, którego jeszcze wczoraj nie znała. Była dogłębnie przekonana, że nie potrzebne jej już towarzystwo innych ludzi.

Służący przyniósł stertę mięs, przypieczonych na miły oku brąz. Aegwynn rozpoznała zaledwie kilka z nich, lecz zakładała, że zwierzęta na Kalimdorze były nieco inne. Minęły całe lata od chwili, gdy po raz ostatni jadła mięso i, w przeciwieństwie do zapachu napitku pani pułkownik, zapach pieczystego był niemal oszałamiający. Gdy była magiem, towarzyszył jej często - wyczerpujące rzucanie czarów wymagało stałej dostawy białka - lecz od chwili, kiedy skazała się na wygnanie do

Kalimdor, nie miała sił, by coś upolować, ani potrzeby, aby jeść mięso, i tak została wegetarianką.

– Pozwolisz, że się poczęstuję? - Ku swemu własnemu zaskoczeniu, Aegwynn zadała to pytanie niemal nieśmiało - kolejne uczucie, do którego, jak sądziła, nie była zdolna.

– Proszę cię bardzo - powiedziała Lorena, popychając w jej stronę tacę.

Kiedy Aegwynn żarłocznie wgrzyzała się w coś, co wyglądało jak kiełbaska z dzika, Lorena zapytała:

– Muszę spytać, Magna... jak to jest?

– Tylko Aegwynn - oparła z pełnymi ustami. - Przestałam być Strażnikiem, kiedy przekazałam swoją moc synowi. Obecnie nie jestem w stanie wypełniać wszelkich obowiązków związanych z tym tytułem.

Przełknęła.

– Jak to jest co?

– Żyć tak długo. Jestem żołnierzem i od chwili swoich narodzin wiedziałam, że prawdopodobnie nie dożyję czterdziestych urodzin. A ty dożyłaś osiemdziesiątego dziesięciolecia. Po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić.

Aegwynn odetchnęła głęboko - teraz jej oddech pachniał kiełbaską z dzika, jednak nadal był to zapach przyjemniejszy od grogu, który zawdzięczał swoją nazwę temu samemu zwierzęciu.

– Naprawdę nie było zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać. Niestety, bycie Strażnikiem to praca na cały etat. Demony zagrażały nam od zawsze. Później ich ataki stały się bardziej otwarte, co prawdopodobnie ułatwiało nam pracę. Lecz kiedy nie powstrzymywałam demonów, zacierałam dowody ich perfidii. Większość ludzi nie wiedziała o tym... ani o mnie... i rada wołała, by tak zostało.

Pokręciła głową.

– Dziwne... w tylu rzeczach się im przeciwstawiałam, ale tego jednego trzymałam się ściśle. Zastanawiam się, czy to był błąd. Tak, ludzie najprawdopodobniej czują się bezpieczniej, gdy nie znają prawdy, a w ostatnich wojnach zginęło zbyt wielu ludzi... lecz także demony zostały pokonane. Wasza lady Proudmoore i jej orczy sojusznik zadali im więcej strat, niż przez ostatnie tysiąclecia.

– My, ludzie, jesteśmy wojowniczymi istotami - uśmiechnęła się Lorena.
- Dajcie nam wroga, a będziemy go ścigać do śmierci. Albo i jeszcze dłużej, jeśli będzie trzeba.

– Rzeczywiście. Pani pułkownik, czy mogę sobie wziąć następny kawałek?

– Proszę - roześmiała się Lorena.

Biorąc następny kawałek mięsa - tym razem taki, jakiego nie była w stanie rozpoznać - Aegwynn zastanawiała się, co się stanie, kiedy to wszystko się skończy. Odkryła, że wizja powrotu do chatki na płaskowyżu Blizny jest mniej pociągająca, niż się jej wcześniej wydawało. Jaina miała rację - ludzie i orki stworzyły tu sobie nowe życie, a wszystko to z powodu Medivha. Co oznaczało wreszcie, że to przez nią. Być może najlepiej by było, gdyby sama zebrała owoce swojej pracy...

Nim zdołała pomyśleć nad tym dłużej, do sali weszła Jaina.

– Znalazłam ich. Musimy się pospieszyć.

Młoda czarodziejka wyglądała na zmęczoną.

– Dobrze się czujesz? - spytała Aegwynn, wstając.

– Jestem tylko trochę zmęczona, nic mi nie będzie. - Jaina machnęła ręką.

– Zjedz coś - Aegwynn wskazała na tacę z mięsem. - Nie przydasz się nikomu, jeśli się przewrócisz, a ja wiem lepiej niż ktokolwiek inny co się dzieje z zaklęciami, które nie są rzucane z pełną koncentracją.

Jaina otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

– Oczywiście, masz rację, Magna.

Lorena nachyliła się w jej stronę.

– Nie lubi, żeby się tak do niej zwracać.

Wtedy Aegwynn wybuchnęła śmiechem. Naprawdę zaczynała lubić tę pułkownik.

Po tym, jak Jaina pochłonęła część mięsa Loreny - Aegwynn z rozbawieniem zauważyła, że pułkownik zjadła najmniej ze swojej własnej porcji - powiedziała:

– Płonące Ostrze działa z jaskini położonej na szczycie Góry Straszliwej Mgły.

– Wspaniale - skrzywiła się Lorena.

– O co chodzi? - spytała ją Aegwynn.

– Straszliwa Mgła to bardzo odpowiednia nazwa. Wyższe partie góry są spowite pomarańczową mgłą.

– Pozostałość dawnego demonicznego przekleństwa - stwierdziła spokojnie Jaina. - Prawdopodobnie właśnie dlatego Zmodlor je wybrał... i ponieważ to miejsce leży w takiej samej odległości od Orgrimmaru i Theramore. W każdym razie, moja magia ochroni naszą trójkę przed skutkami działania mgły.

– To dobrze - powiedziała z naciskiem Lorena.

– Poza tym Duree znalazła to. - Jaina wyciągnęła z płaszcza znajomo wyglądający zwój ze złamaną pieczęcią i wręczyła go Aegwynn.

Kobieta wzięła go, zauważyła, że złamana pieczęć należy do Tirisfalen, rozwinęła zwój i wybuchnęła śmiechem. Rozpoznała własne pismo.

– To moja poprawiona wersja zaklęcia odpędzającego demony. Napisałam to jakieś trzysta lat temu, po śmierci Erthalifa, gdy uzyskałam dostęp do schedy po nim.

Wzdrygnęła się na wspomnienie biblioteki starego elfa, która musiałaby być o wiele, wiele porządniejsza, by można ją było nazwać po prostu zabałaganioną. Jej i służbie Erthalifa poskładanie zwojów, zeszkrobanie z nich plam z jedzenia i picia oraz wypędzenie gryzoni zajęło dziesięć tygodni. Kiedy w zapiskach legendarnego elfiego maga Kithrosa znalazła zaklęcie opisujące przenoszenie obiektów z jednego świata do drugiego, zdołała wpleść je w znacznie skuteczniejszy czar odpędzający demony.

– Śmiem twierdzić, że gdybym miała go osiemset lat temu, nie mielibyśmy teraz Zmodlora na karku.

– Nie sądzę. - Jaina schowała zwój do płaszcza. - Sprawdziłam to i wydaje się, że za pierwszym razem udało ci się całkowicie wygnać Zmodlora, lecz kiedy Płonący Legion zaatakował, zwerbowali wiele demonów, w tym te, które zostały przegnane przez Tirisfalen. Kiedy wojna dobiegła końca, kilku niedobitkom udało się pozostać w tym świecie, nawet po tym, jak odegnaliśmy legion.

– I Zmodlor jest jednym z nich? - spytała Aegwynn.

– Zgadza się - pokiwała głową Jaina.

– Milady, jeśli wolno spytać - powiedziała Lorena wyciągając swój miecz, co Aegwynn wydawało się nieco zbyt wojownicze dla kogoś, kogo z początku zniechęcała wizja udania się na szczyt Straszliwej Mgły - na co my jeszcze czekamy?

– Na to ostrzeżenie - odparła Jaina. - Nie byłam w stanie sprawdzić tego zbyt dokładnie, aby mnie nie wykryto, więc nie jestem pewna, jakie zabezpieczenia mają Zmodlor i jego czarnoksiężnicy. Musimy być gotowe na wszystko - odwróciła się do Aegwynn. - Magna... Aegwynn... nie musisz nam towarzyszyć. To może być niebezpieczne.

Aegwynn parsknęła. Świetny moment sobie wybrała, żeby to powiedzieć, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej poprzedni wykład o

obowiązkach Strażnika. Z drugiej strony, wtedy sądziły, że nie udało jej się wygnać Zmodlora, a teraz wiedziały, że to nie o to chodziło. Mimo to nadal czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za całą sytuację.

– Kiedy wasi praprapradziadkowie byli jeszcze mali, stawiałam czoła znacznie gorszym niebezpieczeństwom niż ten wypierdek demona. Tracimy tylko czas.

Jaina uśmiechnęła się.

– W takim razie chodźmy.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Kapral Rych nie miał pojęcia, kto zaczął walkę. W jednej chwili stał przed murami Northwatch, z szeregowym Hobanem po lewej i szeregowym Allynem po prawej. Stali około dwudziestu kroków za majorem Davinem. Sam major był zadziwiający, stawiał czoła tamtemu orkowi jak prawdziwy bohater, którym przecież był, nie bał się, ani nic. Wszyscy byli dumni z majora.

W następnej chwili szereg się rozpadł, a orki, trolle i ludzie wzięli się do bitki. Wszędzie wokół słyszał brzęk metalu o metal i krzyki obu stron błagających towarzyszy o zabicie przeciwników.

Rychowi wcale to nie przeszkadzało. Orki naprawdę były bezczelne. Nie tylko odstawiały swoje sztuczki w Ratchet, a przez ich strażników taki dobry człowiek jak kapitan Joq został wsadzony do paki, to jeszcze teraz próbowały wygonić ich z własnego terytorium, z Northwatch.

Rych nie miał zamiaru tego tolerować, o nie.

Wyciągnął dwuręczny miecz, rodowe dziedzictwo. W swoim czasie jego ojciec był członkiem pospolitego ruszenia Kul Tiras i zrobił tym mieczem dużo dobrego. Kiedy umarł na grypę, do walki poszła matka i zabiła wielu. Zginęła walcząc z Płonącym Legionem, a dwuręczny miecz dostał się

Rychowi - co bardzo go cieszyło, bo długi miecz, którego wcześniej używał, był złomem.

Choć nie posługiwał się nim tak dobrze jak matka, był lepszy od swego ojca i miał zamiar rozlać tym ostrzem wiele orczej i trollej krwi.

Jeden z trolli rzucił się na niego, unosząc potężny tasak. Rych sparował cios, po czym kopnął trolla w brzuch. Ta sztuczka zawsze działała na pijaków, których wyrzucał z tawerny Mowbry'ego w rodzinnym mieście.

Niestety, trolle miały twardsze brzuchy, a ten tutaj tylko roześmiał się i znów zamachnął tasakiem. Na piasku zebrała się kałuża krwi, lecz Rych nie miał czasu, by sprawdzić, do kogo należała, kiedy znów sparował cios.

– Od dawna na to zasługiwaliście - powiedział troll, unosząc tasak.

Podczas gdy troll marnował czas na gadanie, Rych pchnął go mieczem w pierś.

Uwolnił ostrze, a jego przeciwnik upadł na ziemię. Kiedy żołnierz się obrócił, ujrzał, że krew należała do Hobana i Allyna, którzy leżeli martwi na piasku, brocząc z licznych ran. W stronę bram twierdzy szarżował ork, wysoko unosząc okrwawiony topór. Rych rzucił się z wrzaskiem za orkiem i wbił mu ostrze w plecy.

– Ej! Człowieku!

Rych obrócił się i ujrzał kolejnego orka.

– Zabiłeś Gorxa!

– Gorx zabił moich przyjaciół - warknął Rych.

– Ta, walczył z nimi, ale ty mu wbiłeś miecz w plecy!

Rych nie uważał tego za wielki problem.

– On zabił moich przyjaciół!

Ork uniósł swój potężny miecz i krzyknął:

– Teraz ja ciebie zabiję!

Miecz orka był o wiele większy niż miecz Rycha, ale to znaczyło, że orkowi o wiele więcej czasu zajmowało zamachnięcie się nim, co dawało Rychowi czas na unik lub przygotowanie zastawy. Wywołane tym ostatnim uderzenie metalu o metal przepełniło całe ciało Rycha drżeniem. Wobec tego uznał, że pierwsze rozwiązanie jest jednak skuteczniejsze.

Tak w każdym razie myślał - do chwili, gdy po raz czwarty unikając ostrza, wpadł na szeregowego Nasha. To sprawiło, że Nash odwrócił się zaskoczony, odsłaniając się przed swoim przeciwnikiem.

Wściekłość sprawiła, że w Rychu zagotowała się krew. Orki nie tylko atakowały, ale jeszcze sprawiały, że niechcący skrzywdził swojego towarzysza. Wrzeszcząc coś nieskładnie, rzucił się na orka z mieczem.

Ork zrobił krok w lewo i wyciągnął swój miecz, który przebił płytę i brzuch Rycha, kiedy ten go mijał. Ból wypełnił ciało i sprawił, że żołnierz zaczął krzyczeć jeszcze bardziej niezrozumiale. Prawą ręką machał swoim mieczem, zaś lewą przycisnął do piersi.

Nagle ostrze zatrzymało się i nie chciało ruszyć dalej. Krzywiąc się z przeszywającego bólu, Rych obrócił się na prawo i ujrzał, że jego miecz wbił się w głowę orka.

– I dobrze ci tak - wydusił przez zaciśnięte zęby.

Wyrwał ostrze z czaszki orka, co wywołało jeszcze większy ból. Z jakiegoś powodu odgłosy bitwy ucichły i Rych słyszał jedynie nieustanny szum w uszach.

Wykorzystując odziedziczone ostrze jako prowizoryczną laskę, potykając się ruszył przez piach w poszukiwaniu kolejnych orków do zabicia.

DWADZIEŚCIA DWA



Jeszcze przed chwilą Aegwynn stała w Theramore. Jeszcze przed chwilą Lorena wzięła bardzo głęboki oddech i wyglądała na zaniepokojoną. Aegwynn przypomniała sobie pułkownik mówiącą, jak bardzo nie znosiła magii - nie wspominając już o mdłościach przy ostatniej teleportacji. Aegwynn przez chwilę zastanawiała się, czy Lorena dobrze zrobiła, że coś przed tym zjadła.

Jeszcze przed chwilą Jaina Proudmoore wyglądała na zdecydowaną. Teraz, kiedy stały u wylotu jaskini otoczonej smrodliwą pomarańczową mgłą, Aegwynn zrozumiała, dlaczego Lorena podeszła do tego bez entuzjazmu. Pomarańczowe wyziewy unosiły się w powietrzu niczym najgorsza mgła. Aegwynn niemal czuła się przytłoczona.

Czarodziejka już dawno uodporniła się na efekty teleportacji, więc jedyną dezorientację wywoływała w niej mgła. Spojrzała przelotnie na Lorenę, która wyglądała nieco blado, lecz wciąż trzymała miecz przed sobą, gotowa na wszystko. Jaina jednak wyglądała równie blado jak Lorena, co nie było dobrym znakiem.

Aegwynn nie odezwała się jednak. Nie było odwrotu, a Jaina z pewnością nie chciała, by ktoś zachowywał się wobec niej jak kwoka.

Aegwynn również nienawidziła, gdy ktoś - zazwyczaj Scavell, Jonas w okresie, gdy sypiali ze sobą, albo rada - martwił się o nią, gdy była wyczerpana i wciąż musiała walczyć, więc nie widziała powodu, by dręczyć tym Jainę.

Mimo to były powody do zmartwień. Tego dnia Jaina rzuciła cztery zaklęcia teleportacji - a przynajmniej o tylu Aegwynn wiedziała - przenosząc siebie samą do Blizny, jaszczury do Blizny, ich trójkę z powrotem do Theramore i ich trójkę do tej jaskini - nie wspominając już o magicznym wyszukiwaniu miejsca pobytu Zmodlora, utrzymaniu gromojaszczurów pod kontrolą. Już samo rzucanie tylu zaklęć w ciągu jednego dnia nie pozostało bez wpływu, a Aegwynn wiedziała, że to nie wszystko.

Kiedy Jaina poprowadziła je do wejścia do jaskini, Aegwynn zaczęła się zastanawiać, kiedy przestała myśleć o złotowłosej czarodziejce jako „Lady Proudmoore” - albo „irytującej dziewczynce” - a zaczęła o niej myśleć jako o „Jainie”.

Na głos powiedziała:

– Zmodlor tu jest, bez wątplenia. - Zadrzała. - Jest wszędzie.

Demon najwyraźniej założył sobie w tej jaskini kryjówkę, a jego esencja znajdowała się w samej skale. Nie czuła się tak przygnieciona przez zło od czasu, kiedy walczyła ze swoim synem w Kharazanie - choć część tego uczucia mogła być wywołana przez mgłę, która czyniła zatęchłą jaskinię jeszcze mniej przyjemną. Jaina rzuciła zaklęcie oświetlające, które miało pozwolić im widzieć, lecz sprawiło tylko, że mgła stała się nieco jaśniejsza. Zresztą, Aegwynn wcale nie miała ochoty przyglądać się uważniej wilgotnym ścianom, zwisającym z sufitu stalaktytom, które groziły przebicciem jej głowy, i nierównej kamiennej podłodze. Zrobiły może dwadzieścia kroków w głąb jaskini, gdy Aegwynn znieruchomiała.

– Jest tu...

– Mam to - odparła Jaina. Wymamrotała szybko inkantację.

Aegwynn kiwnęła głową. Zarówno ona, jak i Jaina wyczuły proste zaklęcie-pułapkę. Był to czar, który mógł rzucić nawet uczeń po pierwszym roku szkolenia; miał on prawdopodobnie powstrzymać zabłąkane zwierzęta lub ludzi od wchodzenia dalej bez zapowiedzi. Wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś spacerował w tym koszmarze, ale w swoim czasie Aegwynn widziała znacznie dziwniejsze rzeczy. Mógł to być wilk albo jakiś szalony krasnolud-wspinacz, który trafiłby tu w chwili, gdy Zmodlor i jego słudzy znajdowali się akurat w trakcie rzucania zaklęcia wymagającego koncentracji. Lepiej nie ryzykować.

Jednak unieszkodliwienie zaklęcia równie dobrze mogło posłużyć jako alarm. Aegwynn cały czas pilnowała, by oddzielać od reszty jaskini Lorenę z jej mieczem i Jainę z jej magią.

Sekundę później Lorena krzyknęła:

– Padnij!

Aegwynn nie była głupia i natychmiast rzuciła się na zimną podłogę, podobnie jak Lorena. Jednak Jaina nie ruszyła się, tylko uniosła rękę. Mknąca w jej stronę ognista kula już-już miała ją pochłonąć...

...zatrzymała się przed nią na wyciągnięcie ramienia i natychmiast zniknęła.

– Chyba wiedzą, że tu jesteśmy - powiedziała Aegwynn, gramoląc się na nogi.

– Owszem - odparła szeptem Jaina.

O, tak.

Aegwynn westchnęła. Głos zdawał się dochodzić zewsząd - była to popularna sztuczka demonów.

– Oszczędź sobie tanich sztuczek, Zmodlor. Nie jesteśmy twoimi pozbawionymi rozumu sługami, nie robi to na nas żadnego wrażenia.

Aegwynn! Co za niespodzianka! Sądziłem, że własny syn zabił cię już dawno temu. Jakie to szczęście, że będę mógł to zrobić osobiście. Jestem ci to winien za to, co mi zrobiłaś poprzednim razem.

Jeszcze w czasie tej tyrady Aegwynn usłyszała dziwne dźwięki, jakby chichoty.

– Znam ten śmiech - powiedziała z niesmakiem Lorena. - Grelkiny.

Rzeczywiście, w ich stronę szło kilkanaście małych demonów, okrytych futrem o barwie mgły.

– Naprawdę, naprawdę ich nie znoszę - powiedziała Lorena, wysuwając się do przodu tak, by osłaniać zarówno Aegwynn, jak i Jainę, po czym zaatakowała.

Kudłatych stworków byłoby zbyt wiele jak dla jednej kobiety - na całe szczęście były dwie. Jaina rzuciła kilka zaklęć, które miały rozmaity skutek. Futro niektórych stanęło w ogniu, inne przestały oddychać, a jeszcze następne zostały ciśnięte na ściany gwałtownymi podmuchami wiatru. Nie były to jakieś wyjątkowo skomplikowane czary, lecz na tyle słabe, by Jaina zachowała większość sił.

Lecz to była zaledwie pierwsza fala. Po tym, jak padło pierwsze dwadzieścia, zastąpiły je kolejne.

– Chce odwrócić naszą uwagę - powiedziała Aegwynn.

– Na pewno - przytaknęła Jaina. Rzuciła następny czar, który sprawił, że dwadzieścia grelkinów zniknęło.

Za nimi znajdowała się kolejna dwudziestka.

– Pułkownik - spytała szybko Jaina - da sobie pani z nimi radę?

– Tylko patrzcie - wyszczerzyła się radośnie Lorena.

– Dobrze.

Kiedy oficer zaszarżowała na demonicznych przeciwników, Jaina zamknęła oczy i omal się nie przewróciła. Aegwynn podbiegła, by ją podtrzymać.

– Wszystko w porządku?

– Nie - odparła czarodziejka z rozbijającą szczerością. - Zdołam rzucić zaklęcie odegnania, lecz tylko wtedy, jeśli nie rzucę już innego czaru. Lorena musi się zająć...

W jaskini rozległ się przesywający okrzyk, gdy Lorenie udało się przebić jednym ciosem trzy ostatnie grelkiny. Wyrwała broń i stwory padły na ziemię.

– Nigdy tego nie zmyję - westchnęła, spoglądając na poplamione krwią ostrze.

Przypuszczam, że to najmniejszy z waszych problemów.

Tym razem głos nie dobiegał zewsząd; jego źródło znajdowało się dokładnie przed nimi. Pomarańczowa mgła się rozproszyła, co Aegwynn uznała za zły znak. Odśloniła ona wielką postać Zmodlora.

DWADZIEŚCIA TRZY



Davina sparaliżowała panika. Wokół niego ginęli żołnierze, odcinano im kończyny, ostrza przebijały piersi, a topory zdejmowały głowy.

Major po prostu tam stał, czekając na śmierć.

Był pewien, że kiedy tylko rozpocznie się walka, Burx rozpląta go na dwoje swoim toporem, lecz ork skoczył w bok za kilkoma żołnierzami, którzy rzucili się bronić swojego dowódcy. Davin nie był pewien, co takiego uczynił, by zasłużyć sobie na taką lojalność.

Później nikt na niego nie nacierał. Orki i trolle wybierały sobie przeciwników lub na odwrót, jednak na Davina, stojącego bliżej brzegu niż ktokolwiek inny, jakoś nikt nie zwracał uwagi.

U jego stóp padło ciało trolla. Ciało kaprała Barnesesa zakreśliło w powietrzu łuk i wylądowało w wodzie. Davin zastanawiał się, dlaczego ork, który go pokonał, zdecydował się rzucić nim tak daleko, po czym uznał, że wcale nie chce tego wiedzieć.

A potem świat wokół eksplodował.

Ziemia zatrzęsała się tak mocno, że ogarnięty paniką Davin się poruszył, choć oznaczało to upadek. Choć jeszcze przed chwilą na niebie nie było ani jednej chmurki, teraz miało ono kolor ołowiu, zaś grzmoty i błyskawice

waliły w ziemię z ogłuszającym hukiem. Davin usłyszał łoskot, spojrzął w kierunku wody i zobaczył wznoszącą się z wolna, gigantyczną falę. Od czasu, kiedy Davin został przeniesiony do Northwatch nie widział nigdy tak wielkiej fali. Jednak ta fala była wysoka jak mury twierdzy... i zamierzała zwalić się prosto na Davina.

Usiłował się jak najszybciej podnieść, ale poślizgnął się na piachu i padł na twarz. Wypluwając piasek z ust i usiłując nie wciągnąć go nosem, przygotował się na nieuniknione i napiął mięśnie, wbijając pięści w piasek.

Woda zwała się na niego, niemal porywając go ze sobą, lecz zbroja i wbite w ziemię dłonie utrzymały go na miejscu. Zastanowił się, jak dają sobie radę inni żołnierze, którzy nie byli tak dobrze zabezpieczeni; nie przejmował się orkami i trollami. Przede wszystkim jednak zastanawiał się, czy zdoła jeszcze kiedykolwiek odetchnąć.

Kilka sekund później fala popłynęła w przeciwną stronę. Spłukała piach z jego twarzy, choć był teraz przemoczony, miał zlepione włosy i broda zaczęła mu ciążyć.

– Wojownicy, wstyd mi dziś za was!

Davin przetoczył się na plecy i popatrzył w górę. Niebo nadal było ciemne, z wyjątkiem jednego miejsca, w którym zawisł sterowiec.

Pozwolił sobie na isierkę nadziei - może był to statek pułkownik Loreny, której udało uwolnić siebie i lady Proudmoore z niewoli Płonącego Ostrza. Ten niespodziewany koszmar pogodowy łatwo mógł być jej dziełem. Przybyły, by zebrać wojsko, odpędzić orki i uratować ich wszystkich.

Potem przyjrzał się sterowcowi dokładnie i serce w nim zamarło. Płótno ozdobione było kilkoma dziwnymi symbolami, które major rozpoznał jako orcze. Przynajmniej dwa z nich były identyczne jak te, które widział na broni i zbrojach orków podczas wojny, nie mówiąc już o tych, którzy

właśnie zabijali jego żołnierzy. Dowódca plutonu Davina z czasów wojny tłumaczył, że to odpowiedniki herbów różnych klanów.

Davin nigdy nie uważał się za szczególnie religijną osobę. Modlił się w życiu tylko raz, kiedy krył się za drzewem i błagał, aby demony go nie zobaczyły. Tamta modlitwa została wysłuchana, lecz Davin wolał nie nadużywać swego szczęścia, dlatego nigdy więcej się nie modlił. Jednak teraz błagał, by dane mu było przeżyć ten dzień. Jakoś znalazł w sobie dość sił, by stanąć na nogi. Słowa, które usłyszał, dobiegały z pokładu sterowca. Ku ziemi opadła drabinka sznurowa i napięła się, kiedy ork, który to powiedział, zaczął po niej schodzić.

Kiedy stanął na brzegu, wszystkie orki - a przynajmniej te, które Davin widział, gdyż nie mógł oderwać wzroku od nowo przybyłego - uniosły swoją broń w salucie. Major zauważył też, że ork ma niebieskie oczy i od razu zorientował się, kto to. Aż do teraz Davin nigdy nie spotkał orczego Wodza, choć przypominał sobie, że Thrall był również szamanem, dysponującym potężną mocą. Podobnie jak lady Proudmoore, on też mógł wywołać tę powódź.

Uniółszy jedną ręką ogromny, dwuręczny młot - Davin wiedział, że to legendarny Młot Zagłady, należący niegdyś do mentora Thralla, Orgrima - ork zawołał:

– Jestem Thrall, Wódz Durotaru, Władca Klanów, Wódz Hordy! Przybywam, by powiedzieć wam, że ten ork - wskazał na Burxa - nie mówi w moim imieniu!

Przez ostatnie sześć lat Davin często rozmawiał z orkami. Wojna, a później umiejscowienie Northwatch na Kupieckim Wybrzeżu sprawiało, że w tej okolicy pojawiało się wiele z nich.

Przez cały ten czas, Davin nigdy nie widział na twarzy żadnego z nich takiego wyrazu, jak teraz u Burxa.

– Wojownicy Durotaru, opuśćcie broń! - Thrall znów wskazał na Burxa, tym razem młotem. - Ta ohydna istota weszła w konszachty z demonem, by doprowadzić do wojny z ludźmi. Nie złamię naszego sojuszu tylko dlatego, że jest to w smak tym samym istotom, które usiłowały nas zniszczyć!

– Byłem twoim lojalnym sługą! - warknął Burx.

Thrall pokręcił głową.

– Kilku wojowników, którzy pełnili służbę razem z tobą, doniosło mi, że nosisz talizman o kształcie płonącego miecza... to symbol Płonącego Ostrza. Według Jainy i wiekowej czarodziejki, która przystała do ludzi, każdy, kto nosi taki symbol, znajduje się w niewoli demona zwanego Zmodlorem, który usiłował wzniecić niepokoje w Kalimdorze i zniszczyć nasz sojusz. Jak zwykle, demony nas wykorzystują, aby potem zniszczyć.

– Oto ci, którzy usiłowali nas zniszczyć! - krzyknął Burx, wskazując swoją broń na Davina. - Zniewolili nas, upokorzyli, odebrali nam nasze dziedzictwo!

– Owszem, niektórzy z nich tak. - Spokojny głos Thralla kontrastował z histerią Burxa. - A stało się tak z powodu demonów, które wyssały nam dusze i zmusiły do walki z ludźmi z tego świata. Przegraliśmy tę wojnę, lecz zerwaliśmy w końcu kajdany i staliśmy się tak silni, jak nigdy wcześniej. A to dlatego, Burx, że jesteśmy wojownikami, bo mamy czystego ducha, a raczej posiada go większość z nas. Nie mogę nazywać czystymi tych, którzy wchodzi w konszachty z ohydnyimi bestiami, by orki złamały swoje słowo.

Orki i trolle popatrzyły na Burxa z mieszaniną zaskoczenia i obrzydzenia. Kilku, jak zauważył Davin, było zmieszanych. Jeden z nich odezwał się w końcu:

– Czy to prawda, Burksie? Zawarłeś układ z demonem?

– By zniszczyć ludzi, zawarłbym układ z tysiącem demonów! Powinni zostać zniszczeni!

A potem, jakby dla podkreślenia swoich słów, Burx zaszarżował wprost na Davina.

Instynkt nakazywał majorowi uciekać, lecz nie mógł zmusić swoich nóg do działania tak samo jak w chwili, kiedy uderzyła fala. Patrzył, jak Burx unosił swój topór, aby spuścić go na jego głowę.

Lecz nim zdołał zadać cios, ciało orka zadrżało. Zatrzymał się i padł na piasek. Wtedy Davin zobaczył, że Thrall ugodził Burxa Młotem Zagłady.

– Okryłeś Durotar hańbą, Burksie. Za twoją przyczyną trolle, orki i ludzie zginęli mało chwalebną śmiercią. Tę plamę zmyje tylko twoja śmierć. Moim obowiązkiem jako Wodza jest wykonać ten wyrok.

Thrall uniósł Młot Zagłady i z całej siły opuścił na głowę Burxa.

Davin skrzywił się, kiedy krew i mózg trysnęły na piasek, Thralla i jego samego. Był jednak zbyt przestraszony, by usunąć z siebie nawet krew mieszającą się na jego lewym policzku z wodą i kawałki czaszki z brody.

Thrall również nie zamierzał ścierać z siebie śladów po gwałtownej śmierci Burxa, choć było ich na nim znacznie więcej; Davin przypuszczał, że dla orka stanowi to rodzaj odznaki honorowej. Wódz podszedł do Davina.

– Majorze, proszę przyjąć moje przeprosiny za zachowanie tego zdrajcy, i za tę straszną bitwę, która się dziś rozegrała. Nie pozwolę, by Płonące Ostrze dalej wpływało na mój lud. Mam nadzieję, że jest pan w stanie powiedzieć to samo.

Davin nie był pewien, czy jego usta zechcą się normalnie poruszać, dlatego pokiwał tylko głową.

– Wracamy. Przykro mi, że nie zdążyłem zapobiec rozlewowi krwi, lecz najpierw musiałem uspokoić żołnierzy zgromadzonych na lądzie. Wrócimy

do Durotaru i nie będziemy was więcej atakować. - Wódz podszedł jeszcze bliżej - Chyba, że dacie nam ku temu powód.

Davin znów pokiwał głową, tym razem znacznie bardziej gorliwie. Stał tak, kiedy Thrall rozkazał swoim żołnierzom zebrać rannych i zabitych, a później wrócić do łodzi i popłynąć na północ, do Kolkar. Zabrudzony krwią, fragmentami czaszki i mózgu Burxa Davin stał w miejscu, pozwalając, by jego buty zapadały się w piasku, tymczasem Thrall wszedł po drabince sznurowej na pokład swego statku, po czym zarówno on, jak i łódzie, skierowali się na północ.

Davin z zaskoczeniem odkrył, że jego modlitwa po raz drugi została wysłuchana i zaczął już myśleć, że w tym modleniu się jednak coś jest.

Równie zaskoczony był, jak szybko wszystko się zmieniło - i to dzięki słowom Thralla. Owszem, jego dość spektakularne działania sprawiły, że walka skończyła się w przeciągu minuty, lecz przypuszczał, że to długo by nie potrwało. To właśnie słowa Thralla przekonały orki i trolle, by przestały walczyć i wycofały się. I niezależnie od tego, jak bardzo nie chciał tego przyznać w stosunku do orka, Davin był pod wrażeniem. Wreszcie pewien kapitan, którego nazwiska Davin za nic nie mógł zapamiętać, spytał:

– Jakie rozkazy, majorze?

– Ach... opuścić broń, kapitanie. - Wypuścił z siebie oddech, którego wstrzymywania nie był nawet świadom, i nagle poczuł się bardzo wyczerpany. - Opuścić broń.

DWADZIEŚCIA CZTERY



Przed pięcioma minutami Aegwynn nakłaniała Zmodlora, by zaprzestał swoich tanich sztuczek. Numer z bezcielesnym głosem może i przestraszyłby większość ludzi, ale taką sztuczką mógłby się posłużyć uczeń po pierwszym roku nauki, dlatego nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

Teraz, widząc stojącego przed sobą Zmodlora, wielką postać okrytą grubą skórą, ze skrzydłami nietoperza i płonącym wzrokiem, pomyślała, że może powinna była trzymać gębę na kłódkę. Demony w ogóle nie były ładne, ale Zmodlor wyglądał paskudnie nawet jak na jednego z nich.

Wokół niego stało osiem zakapturzonych postaci. Byli to zapewne czarnoksiężnicy, którzy wykonywali rytmiczny zaśpiew.

Jaina sięgnęła w głąb swego płaszcza i chwyciła zwój. Aegwynn była zadowolona, gdyż znaczyło to, że wkrótce będzie po wszystkim. Po tym, jak Zmodlor się odsłonił, Jaina będzie mogła rzucić zaklęcie odpędzania.

Nagle Jaina krzyknęła i upadła na podłogę.

– Jaina! - Aegwynn podbiegła do młodej czarodziejki. Lorena, jak przystało na doświadczonego żołnierza, natychmiast stanęła między nimi a demonem.

Jaina usiłowała dźwignąć się na kolana, a z jej czoła pociekł pot.

– Czarno... księżnicy... blokują... zakłęcie... - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Stojąc tak blisko, Aegwynn mogła czuć moc ich czaru. Było względnie słabe, tylko że ich było chyba dwunastu, co przydawało mocy ich zakłęciom. Mimo to mag tak potężny jak Jaina powinien bez problemu przebić się przez blokadę.

Chyba że się zbyt wyczerpał.

Jaina walczyła - Aegwynn czuła to - lecz przegrywała ze sługami Zmodlora.

To nawet lepsze, niż myślałem. Postaram się, by winą za śmierć Proudmoore obciążyć orki. To doprowadzi ludzi do szału. Nic ich nie powstrzyma od wojny, a bez niej przegrają... lecz nie wcześniej, niż zabiją tak wiele orków, jak to będzie możliwe. To będzie wspaniałe!

– Jak diabli - mruknęła Aegwynn. Pozostawało tylko jedno.

Minęły niemal cztery lata od chwili, kiedy sprowadziła z powrotem Medivha. Wtedy, jak powiedziała Jainie, kosztowało ją to utratę niemal całej magii - lecz magia nigdy nie odchodzi na zawsze. Dwadzieścia lat po tym, jak uciekła do Blizny, odzyskała ją na tyle, by sprowadzić syna. Choć nie miała jej choćby w przybliżeniu tyle, ile cztery lata temu, miała jej dość, by zrobić to, co było konieczne. Jeśli nie - no cóż, przeżyła już prawie tysiąc lat. Jak słusznie zauważyła Lorena, na tyle większość ludzi nie miała szans.

Pot ściekał z twarzy Jainy. Nadal klęczała, zaciskając pięści na biodrach. Aegwynn czuła, jak zapisane przez nią zakłęcie usiłuje przedrzeć się przez blokady wzniesione przez czarnoksiężników.

Przyklęknąwszy przy Jainie, Aegwynn chwyciła obiema dłońmi jej lewą pięść. Zamknęła oczy, zebrała myśli, moc, esencję życiową. Skupiła ją,

stopiła, przesunęła przez swoje ramiona, potem przedramiona... dłonie...

A potem do Jainy.

Zmęczenie dopadło ją nagle. Poczwała, że jej kości stają się nagle bardzo ciężkie, a oddech staje się płytki i urywany. Ignorując to wszystko, Aegwynn dalej skupiała myśli, kierując swoje życie, swoją magię, swoją duszę do Jainy Proudmoore.

Jaina otworzyła oczy. Zwykle jasnobłękitne, teraz były ognście czerwone.

Nie!

– Tak! - odparły jednocześnie Aegwynn i Jaina.

Nie powstrzymacie Płonącego Ostrza! Zwycięzimy was, zniszczymy wszystko na naszej drodze, a potem... aaaaaAAAAAARRRRRRGH!

Krzyk Zmodlora poniósł się echem nie tylko odbitym od ścian, lecz także zwielokrotniony przez usta czarnoksiężników, którzy przeżywali ten sam ból dzięki więzi łączącej ich z demonem. Choć wzrok zaczynał płatać Aegwynn figle, widziała, jak ohydne ciało Zmodlora zwija się i zgina, a z otwartych nagle ran chlusta krew.

Zerwał się wiatr, jakby samo powietrze zostało rozerwane zaklęciem napisanym przez Aegwynn - portalem do Wirującej Nicości - wciągając ciało Zmodlora do szczeliny.

Nieeee! Nie pozwolę, byście mnie znów uwię...

Słowa demona urwały się w chwili, kiedy jego głowa zniknęła w szczelinie. Lecz czarnoksiężnicy krzyczeli nadal, nawet ziemia zatrzęsała się pod nogami Aegwynn. Kilka chwil później oni również umilkli, gdyż także zostali wessani do Wirującej Nicości, gdzie będą cierpieć męki wielokrotnie gorsze od tych, które szykowali dla mieszkańców Kalimdoru.

Szczelina zamknęła się, lecz wstrząsy w jaskini trwały nadal.

– Musimy się stąd zabierać! - wrzasnęła Lorena, wykazując się typowo żołnierską umiejętnością wypowiedzenia rzeczy oczywistych.

Lecz Aegwynn nie mogła skłonić swoich kończyn do wykonania żadnego ruchu. Ręce i nogi były jak z drewna, a całą energię wkładała w trzymanie oczu otwartych. Jeden ze stalaktytów oderwał się z ostrym trzaskiem od sklepienia i wbił w ziemię o dłoń od miejsca, gdzie klęczały Aegwynn i Jaina. Aegwynn słyszała, jak Jaina zaczyna mamrotać inkantację zaklęcia teleportacyjnego.

A potem straciła przytomność.

EPILOG



Lady Jaina Proudmoore znów stała na szczycie Wzgórza Brzytwy, spoglądając z niego na Durotar. Niedługo potem usłyszała niski, miarowy łoskot zapowiadający przylot statku Thralla. Tym razem Wódz przybył ze swoją gwardią honorową. Większość z nich została w gondoli, on zaś zszedł po drabince, by przywitać się z Jainą. Za nim zszedł jeden z wojowników, którego czarodziejka nie знаła. Kiedy stanęli na skale, wojownik trzymał się trzy kroki za Thrалlem, prezentując przed sobą topór.

– Nie ufasz mi, Thrallu? - spytała Jaina z krzywym uśmiechem. Thrall odwzajemnił go.

– Zdradził mnie mój najbliższy doradca, Jaino. Sądę, że najlepiej będzie, jeśli nieustannie będę czujny... a ktoś będzie osłaniał mi plecy.

– Słuszne posunięcie.

– Czy naprawdę już jest po wszystkim? Jaina pokiwała głową.

– Na to wygląda. Zmodlor i czarnoksiężnicy, którzy rzucali jego zaklęcia, zostali wygnani do Wirującej Nicości. Nawet Płonącemu Legionowi będzie ciężko ich uwolnić, zresztą pomniejszy demon nie jest wart takiego wysiłku.

– Dobra robota. Żałuję tylko, że nie mogłem dotrzeć na miejsce przed niepotrzebnym rozlewem krwi.

Thrall sięgnął dłonią do pasa, przy którym wisiał talizman w kształcie płonącego miecza. Jaina domyślała się, że należał do Burxa, doradcy, który sprzymierzył się ze Zmodlorem tak samo, jak Kristoff. Według raportu majora Davina - dostarczonego wraz z jego pisemną rezygnacją - Thrall zabił Burxa za zadawanie się z Płonącym Ostrzem na oczach dużej liczby orków i trolli.

– Mieliśmy wiele szczęścia, Thrallu - westchnęła. - Zmodlor mógł być za to wszystko odpowiedzialny, lecz on tylko zebrał nienawiść, która już w nas tkwiła. Zobacz, z jakim zapalem twój i moi poddani rzucili się na siebie w Northwatch.

– Prawda. Łatwiej nam było współpracować, mając Płonący Legion za przeciwnika. A teraz... - urwał.

Przez kilka chwil trwało milczenie, które Jaina odważyła się wreszcie przerwać.

– Wcześniej powiedziałam, że po rozwiązaniu tego kryzysu powinniśmy pomówić o jakimś traktacie między naszymi ludami.

– Tak. Skoro nasz sojusz ma przeżyć nas dwoje, a musi, jeśli orki i ludzie mają przetrwać, trzeba go sformalizować.

– Sugeruję, żebyśmy spotkali się za tydzień w Ratchet... to neutralny port... i tam ustalili szczegóły.

– Zgoda. Wezmę ze sobą Kalthara, jest z nas najmądrzejszy.

– Mądrzejszy nawet od Wodza? - Jaina nie mogła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

– Znacznie mądrzejszy - roześmiał się Thrall. - Tak się stanie, Jaino.

– Znakomicie. Do widzenia, Thrallu. Spotkamy się za tydzień.

– Do zobaczenia, Jaino. Może wyjdziemy z tego kryzysu silniejsi, niż kiedykolwiek.

Kiwając głową Jaina rzuciła czar, który miał przenieść ją do jej komnat. Czekala tam już na nią Aegwynn. Minęło kilka dni, nim kobieta obudziła się ze śpiączki, w którą zapadła w jaskini. Przez cały czas Jaina bała się, że Strażniczka nie obudzi się w ogóle.

Jainie pozostało wówczas zaledwie dość mocy, by teleportować całą trójkę do podnóża Góry Straszliwej Mgły, z daleka od jej pomarańczowych pasm. Nie mogła zabrać ich dalej; w jakiś sposób udało się jej nawiązać kontakt z Theramore i poprosić o przysłanie statku powietrznego.

Kiedy jednak sterowiec się zjawił, Jaina była mocno wyczerpana, a Aegwynn słaba jak kociak. Jainie wystarczył ciepły posiłek i sen, jednak Aegwynn potrzebowała znacznie więcej. Pierwsza prognoza naczelnego uzdrowiciela nie była dobra, lecz po kilku dniach uznał, że kobieta ma wytrzymałość elfa.

I rzeczywiście, w pełni wróciła do siebie. Siedziała teraz na krześle dla gości w komnatach Jainy.

– W samą porę.

– Widzę, że jesteś w pełni sił, Magna... nawet jeśli chodzi o język.

– Na to wygląda - roześmiała się Aegwynn.

Jaina klapnęła raczej, niż usiadła na swoim krześle, czując się dość zmęczona. Nie miałyby nic przeciwko kilku dniom odpoczynku, lecz nie mogła sobie na to pozwolić. Nie było szambelana, który wykonałby za nią część pracy. Duree robiła, co mogła, lecz przy całej swojej użyteczności nie umiała sobie poradzić z bardziej skomplikowanymi sprawami Theramore. Lorena okazała się bardziej pomocna, przynajmniej, jeśli chodzi o sprawy wojskowe, ale o innych kwestiach nie miała zielonego pojęcia. I tak, ku

irytacji uzdrowiciela, Jaina nie mogła pozwolić sobie na całkowity odpoczynek i cały czas była zmęczona.

Popatrzyła na Aegwynn, która odwzajemniła spojrzenie swoich głębokich, zielonych oczu. Jainę przerażała myśl, że całe to zwycięstwo nad Zmodlorem zostało odniesione tylko dlatego, że przypadkowo wybrała Płaskowyż Blizny na miejsce przeniesienia gromojaszczurów. Nawet gdyby odkryła, że za tym wszystkim stoi Zmodlor, to bez byłej Strażniczki nigdy nie pokonałaby demona i jego sług.

– Chciałabym ci podziękować, Mag... Aegwynn. Bez ciebie wszystko poszłoby na marne.

Aegwynn skłoniła lekko głowę.

– Domyślam się, że chcesz wrócić do Blizny?

– Właściwie - powiedziała ze smutnym uśmiechem - raczej nie.

– Nie? - zamrugła zaskoczona Jaina.

– Chciałabym tam wrócić, by zabrać parę rzeczy i ostatni raz zebrać plony z ogródka, nim gromojaszczury zادهpczą go do reszty. Byłam zbyt długo poza światem. Sądzę, iż pora, abym zaczęła w nim żyć na nowo. Zakładając, w każdym razie, że świat mnie zechce.

– Na pewno. - Jaina wyprostowała się na swoim krześle. Miała nadzieję, że Aegwynn zechce zostać, lecz nigdy, nawet w swoich najbardziej szalonych snach nie sądziła, że jej życzenie się spełni, – Mam wolne miejsce dla szambelana. Stanowisko to wymaga wiedzy, wnikliwości, a także gotowości do przywołania mnie do porządku i złajania, kiedy zajdzie taka potrzeba. Śmiem twierdzić, że znakomicie sprawdzasz się we wszystkich tych dziedzinach, zwłaszcza w tej ostatniej.

– Na pewno, choć co do tych dwóch pierwszych można się spierać - roześmiała się Aegwynn. - Mimo to, przypuszczam, że przez tysiąc lat zyskałam pewną wiedzę i wnikliwość.

Obie kobiety wstały. Aegwynn wyciągnęła rękę.

– Przyjmuję.

– Wspaniale - odpowiedziała Jaina, ściskając jej dłoń. - Jeszcze raz ci dziękuję, Aegwynn. Nie pożałujesz tego.

– Nie, ale ty możesz. - Aegwynn cofnęła dłoń i usiadła z powrotem. - Oto moja pierwsza rada jako szambelana: Kristoff miał rację. Zmodlor to pomniejszy demon. Nie miał dość rozumu, by przygotować coś takiego.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, iż to on założył Płonące Ostrze.

– Tak, lecz tylko po to, by zdobywać dusze, zaś cały ten złożony plan przekracza jego umiejętności. Sama powiedziałaś, że Zmodlor nie był jedynym demonem, który pozostał, kiedy odparto Płonący Legion.

Mimo iż Jaina знаła odpowiedź na swoje pytanie, i tak chciała usłyszeć ją z ust Strażniczki.

– A co ty powiesz, Aegwynn?

– Powiem, Jaino, że chyba jeszcze usłyszymy o Płonącym Ostrzu.